

2

~~Handwritten text, possibly a title or name, which is heavily obscured and illegible.~~

Handwritten mark or signature, possibly a red wax seal or stamp, which is faint and partially obscured.

Exz. archiwalny 111

ZYDZIAK.

Szkic psychologiczno-społeczny

przez

WILHELMA FELDMANA.

INSTITUT
BADEN LIBRARY KICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. ~~...~~ Świat 73
Tel. 26-58-68

LWÓW, 1889.

Nakładem księgarni J. LEONA PORDESA.

z drukarni J. Czajńskiego w Gródku.



21.934

CZEŚĆ PIERWSZA.

I.

Maryem Graf wróciła pewnego wieczora z miasta nadzwyczaj osłabiona. Dziś nie biegła wiele: nosiła tylko do kilku domów „obywatelskich“ drób i świeże masło; nie klóciła się dzisiaj z nikim wbrew swemu zwyczajowi, a przecież... Położyła się więc do brudnego łoża i — w kilka godzin później obdarzyła świat pulchnym, wrzeszczącym obywatelem.

— Niech będzie imię boże pochwalone — wyszepnął nabożnie reb Mendel, mąż Maryemy, zwiędły *mekabeł* o zatabaczonym nosie, spiczastej brodzie i pięknie zakręconych pejsach. Nie okazywał przytem ani radości ani smutku. Noworodek — szósty z kolei żyjących — nie był szczęśliwym przybytkiem dla biednej rodziny; jednakowoż jako owoc *mycwy* nie budził w ojcu myśli trwożliwych.

— Bóg pamięta i o najdrobniejszym robaczku, to też i o nas nie zapomni — wyrzekł głośno z silnem przekonaniem.

Dobrze było tak mówić temu człowiekowi ślepej wiary, który był przekonany, iż ogolenie je

dnego włoska z brody jest targnięciem się na fundamenta religii Mojżesza i proroków, i że bez wyraźnej woli bożej nie spadnie ani jedno ździebełko słomy z głowy wiecznie nieczesanej jego córki.

Wiara działa cuda. A wiarą tą przepelniony reb Mendel, siedział do tej chwili spokojnie, otoczony gronem swych dzieciaków, i opowiadał im zastosowane do chwili podania talmudyczne. Mówił, jako przed przyjściem na świat, Bóg najwyższy wyznacza każdej duszyczce koleje przyszłego jej na ziemi żywota. Postanawia: ten będzie bogatym, ten ubogim; ów mądrym a ten głupim; tamten silnym — ten słabym; ale kto będzie uczciwym i pobożnym a kto nim nie będzie, tego Bóg nie naznacza a zostawia to całkowicie sumieniu każdego. Opowieść tę zakończył stosowną nauką moralną.

Do pokoju nie pozwoliła mu akuszerka jeszcze wejść z dziećmi, zabawił je więc reb Mendel opowiadaniem: Każda dusza, zanim się wcieli w noworodka, zna dokładnie całą przeszłość i przyszłość świata. Lecz w chwili decydującej, gdy już nosek na świat wystawia, przylatuje anioł i daje dziecku szc lutka; tem wybija mu z pamięci wszystkie wiadomości i dlatego też każdy człowiek ma na wierzchniej wardze podłużny dołek, to jest ślad szc lutka anielskiego.

Szc lutka ów musiał się dotkliwie dać uczuć najmłodszemu potomkowi reb Mendla, gdyż wrzask jego i konwulsyjne drgania zadziwiły

samą nawet *bubę*. A może płacz ten z innego płynął źródła! Z raju — dostawszy się nagle w szorstkie ręce akuszerki, uderzony wyziewami i chłodem pokoju, smugami światła dziennego i w ogóle tak różną od dotychczasowej a silnie jego wątłym organizmem wstrząsającą atmosferą — miał noworodek motywa dość materyalistyczne do kwilenia głośnego.

Spowodowało to ojca do wejścia do pokoju. Przystąpił do szaflika, spełniającego teraz funkcyę wanny, gdzie akuszerka z całą znajomością rzeczy trzymała różowego malca, zmywając zeń resztki tamtego, może lepszego świata. Uroczyście, z rozczeniem patrzył ojciec przez chwilę na najmłodszą latorośl szczepu swojego i z pewnem wahaniem zbliżył się do wilgotnego łoża położnicy. Błada, ciężko oddychając, leżała żona jego z przymkniętymi oczyma. Przez usta jego nie przeszedł żaden wyraz czułości ni kontemplacyi. Był już przyzwyczajony do podobnych aktów.

— Mężu! — wyrzekła nagle małżonka. — Przyniesz-no ze skrzyni te stare niepotrzebne koszule, com odłożyła na pieluszki.

Spełniwszy nakazaną czynność, siadł reb Mendel do stolika i zapisał gęsim piórem kilka kartek drobnem pismem hebrajskiem. Mieścił się na nich psalm 121, dalej modlitwa do aniołów nieba, by strzegli położnicy przed złymi duchami piekła, następnie obok wielu formułek kabalistycznych, wielkimi literami wydrukował: „Wszech

mocny, zwalcz szatana!“ i sześć kombinacyj zdania: „czarownica niech nie pozostaje przy życiu!“ Kartki owe, będące — podług wielkiego cudotwórcy — skuteczną tarczą dla noworodka przeciw złości wszelkich *mines* i *klipes* (dyabolic i złych duchów), porozwieszał nad wszystkimi oknami i drzwiami nędznej swej izdebki, a największą przypiął do prześcieradła, którem — jako bardzo taną kotarą — łóżko Maryemy było osłonięte. Zaś pod jej poduszką ukrył ostry nóż dla odstraszania szkodników piekielnych, mających — jak wiadomo — szczególne upodobanie w wysysaniu mózgow niemowlęcych.

Zabezpieczywszy w ten sposób dziecko przed złośliwością upiórów, pomyślał reb Mendel także o odpędzeniu upiórów ziemskich, w postaci zimna, głodu i niewygód czyhających na jego rodzinę. To zaś przychodziło mu zazwyczaj z większą trudnością niż walka z potęgami nadnaturalnemi.

Dla zaspokojenia nadzwyczajnych potrzeb domu grafowskiego zbierali więc o tej porze dwaj pobożni żydzi składki po całym mieście.

W sześć dni później zesła się ogromna czereda dzieciaków chederowych i pod przewodnictwem belfera odmówiła krzykliwie modlitwę „szema“, za co obdarzono malców drobnymi pierniczками. Nazajutrz zaś kręciła się już Maryem zwawo po pokoju, częstując świątecznie ustrojone sąsiadki ciastkami i słodzoną wódką.

O godzinie jedenastej zapakowała akuszerka piszcącego bębna szczelnie do wielkiej poduszki

i pochód kobiet ruszył uroczyście do „*bathamidrassu*“. Tam one stanęły przy drzwiach a dziecko z rąk do rąk podawane dostało się na podwyższenie, gdzie obrzezacz i wysysacz ostrym nożem i strugą krwi wprowadzili kosmopolitycznego bezwyznaniowca w grono „*Izraela*“.

Od tego dnia żydowstwo miasta Zapiecka pomnożyło się o jednego nędzarza, księga metrykalna miejscowa — o jedną pozycję, a rodzina Grafów — o jeden żołądek więcej.

II.

Na razie nie konsumował on dużo, ale i skromnych jego potrzeb nie zaspakajano regularnie i wystarczająco. Byłoby to zbyt wygodnem dla ludzkości. Maryem była zaprzędaną zajęciom różnorodnym; sama jedna wyżywiała siedmioro istot, z natężeniem głowy, ust, nóg i — sumienia. Musiała. W wolnych chwilach wpadała do domu, rzucała najstarszej córce pietruszkę i trochę grochu na „*juszkę*“, dorosłemu bachorowi dawała dwa centy i kawał chleba miasto obiadu, a młodszym — po połowie kwaśnego ogórka lub cebuli. Gderała przytem, szturkała, robiła porządek, łajała bezustanku, wymyślała mężowi i ocierała nos dwuletniej Ryfce — a wszystko to w pospiechu, „na jednej nodze“.

— I cóż Jicchok? wołała stając na progu.

— Znowu mokry! i posłała pół tuzina przekleństw pod adresem najstarszej córki.

— To czyste skaranie boskie! narzekała, — ale to już „*wyszkrobok*“ (ostatni).

Całowała go, przytulała, połykając sporządzoną na prędcie „cykoryą“ i równocześnie dając dziecku odkrytą pierś białą. Przytem jej sniada, pofałdowana twarz mieniła się pod naciskiem najrozmaitszych uczuć i myśli. Bo też „pełnem“, wielostronnem było życie tej kobiety. Raz wpatrywała się w oblicze swego niemowlęcia z czułością niewymowną, to ze zwierzęcą zaciekłością ujadła się o cent zarobku z babą, mającą kilka jaj lub kur na sprzedaż; raz znowu wzdychała na widok bosych, obdartych swych dzieciaków, by za chwilę kopać je nogą i wołać: „*bodaj cię szlag*“. Wielkie zgryzoty, drobne uciechy, trudy i zgorzknienie wpisały swe ślady na obliczu doskonałej tej samicy-matki; była też wiecznie ruchliwem kółkiem w ogromnej świata maszynie, której motorem: głód i miłość.

Po trzecim tygodniu zaczęto dziecko karmić ukropkiem, złożonym z masy wody i homeopatycznej dozy mleka. Niebawem przeniesiono Jicchoka do kołyski, która znała już kilka pokoleń grafowskich. Wprzódę wrzucono do niej dużo kawałków piernika a przywołane dzieci sąsiedzkie chciwie wyławiały rzadkie owe przysmaki, niosąc tem „szczęście w wychowaniu“.

Nad kolebką Jicchoka nie rozbrzmiewał nigdy słodki, serdeczny śpiew matki. Pieśni, budzące fantazyą i serce, przenikające dziecko wraz z mlekiem matczynem, by później być po

ezya życia i kwiatem jego wspomnień — nie rozlegały się nigdy w tym przybytku nędzy i roboty. Od czasu do czasu starsza siostra mruknęła melodią, usłyszaną przy sobotniej uciecie ojca, a najczęściej puszczał w ruch kołyskę kogoś z rodziny, nakrzyczał się trochę, i za hukane, oszołomione dziecko zasypiało.

W dziewięć miesięcy później brudny i cuchnący Jicchok łaził na czworakach i ssał ciepłe ziemniaki. Wydawał już z siebie różne nieartykułowane głosy, które resztę rodziny pobudzały do ogromnej wesołości. Ojca targał za brodę, do matki pełzał zawsze żwawo, wyciągając ku niej ręce i wystawiając język. Otrzymywał w zimie kartoflę, w lecie śliwkę bez pestki, a czasem nawet miękką gruszkę. Klaskaniem i niewyraźnym jakimś rzeniem okazywał wówczas serdeczne swe zadowolenie, częściej jednak rozlegał się niestrudzony krzyk jego i płacz przeraźliwy.

Żył w gronie rodziny, pielęgnowany troskliwie, podług wypróbowanej metody pedagogicznej, stosowanej z powodzeniem przez wieśniaka galicyjskiego do roślin swego ogrodu: podlewa, gdy posucha dotkliwie już doskwiera; podlewa, gdy paszytne narośle zanadto już soki wysysają. I Jicchok spotykał się z wodą raz na tydzień; zatykano mu usta, gdy zanadto już płakał i wrzucano do kołyski, gdy się w domu stawał zbędnym.

W trzecim roku życia nosił Jicchok zawsze mokrą koszulę i „cyces“, na głowie zaś zatłuszczoną ojca jarmułkę. Głowę mu ogolono, zo-

stawiwszy tylko ogonki koło uszu. Wlókł się dzień cały po pobliskiej uliczce, a najrzadziej przesiadywał w domu, z powodu ciasnoty. Buzię miał wiecznie zasmarowaną, a czoło ozdobione guzami.

Ukończywszy trzydziesty szósty miesiąc istnienia na powierzchni kuli ziemskiej, otrzymał młodziutki Graf długie barchanowe spodnie i trzewiki. Ostatnie — wyłącznie na szabas. Kołysząc się jak kaczką, dreptał już czasem za matką na miasto; czarnemi oczyma patrzył na wszystko i wszystkich, pracując ciężko myślą. Miliony obrazów, nowości, wrażeń i uczuć uderzały w jego mózgownicę, i w epoce, kiedy inne dzieci uczą się więcej, aniżeli później przez cały wiek młodzieńczy, on miał zamknięte usta — tylko oczy się świeciły. Niebawem jednak został wprzęgnięty do obowiązku kołysania maluchnej istoty, którą w owej porze znowu wzbogaciła się rodzina reb Mendla.

— Co to jest? zapytał Jicchok ciekawie, gdy mu pokazano kwilącą, pieluchami skrępowaną dziecinę. W poczuciu swej wyższości śmiał się do rozpuku z niekształtnej tej postaci; nalegał mocno, aby siostrzyczkę wyrzucić za drzwi, drugiego zaś tygodnia nie odstępował jej ani na chwilę i płakał przeraźliwie, gdy grożono, że ją wyrzucą.

Niedługo jednak szczęście jego trwało. Siostrzyczkę, owiniętą całkiem w prześcieradło, żyd wyniósł pod pachą na okopisko, a rodzice wdali się w walną naradę.

— Trzeba coś zrobić z Jicchokiem — wypowiedział ojciec.

— On jeszcze taki wątpliwy, bezsilny — szepnęła matka.

— To nic, wyrobi się, jak go belfer weźmie do roboty.

— On i mówić nie umie, cóż, ma przecież dopiero trzy lata.

— Więc chcesz go mieć w domu? Jak ja był w jego wieku, jużem dawno siedział w chajderze.

— Ty! i Maryem pogardliwie się uśmiechnęła mimo wielkiego uwielbienia, jakim w duszy była przejęta dla mądrości i uczoności talmudycznej męża.

— Koniec końców, on musi pójść do chajderu, w domu przecież nie masz dlań miejsca, zawadza.

To zdecydowało o losie człowieka.

Nie przejmowało to rodziców głębszą myślą. Nie zastanawiali się, iż ów człowiek ma też być ogniwem w łańcuchu walczącej ludzkości, iż jest członkiem wielkiej rodziny, która jako naród, kraj lub społeczność nakłada na swe dzieci pewne prawa i obowiązki i *tylko* ich zrozumienie i wypełnianie uprawnia do życia i do noszenia miana *człowieka*. O tem nikt nie myślał — będzie zatem późniejszy dorosły Jicchok winien, jeśli myśliciel lub sędzia społeczny nie przyzna mu godności człowieczeństwa?

III.

Chajder — izba duża, niska, o ścianach szarych i podłodze błotnistej, mieści w sobie cały dobytek mełameda i szacownej jego rodziny; następnie: niepospolitych rozmiarów piec, dymiący w lecie i zimie bezustanku, i cztery ogromne stoły, za którymi siedzi „czeladka boża“, ucząca się dziatwa. Obok ścian, na ziemi siedzą gromadki malców, bawiąc się piaskiem; w drugim kącie delectuje się liczna czereda kawałkami plaacka, kupionego u żony mełameda, która jest równocześnie piekarką; za piecem zaś zgromadziło się kilkoro dzieci, przeważnie roślejsze dziewczęta i usilnie pracują nad wyczyszczeniem ogromnych rondli mełamedowej. Do roboty tej rwą się wszyscy, by tem zasłużyć na jej łaskawą protekcją i być zwolnionym od nauki.

Właściwa fabrykacya mądrości dokonywa się przy stołach. Tam dłudzy, wyschli belferzy, rządzą wszechwładnie, mając w ręku berła — kańczuki. W pokoju panuje duszność i ścisk niemiłosierny, powietrze — jakby mgła jesienna, a przepełnione zapachem pieczywa mełamedowej, tabaki jej męża i wszystkich tych oddechów i wyziewów, jakie z siebie wydają setki ściśniętych dzieciaków. Pstrokacizna strojów, mieniających się najróżniejszymi barwami i formami; rojące się jednostki i gromadki o bladych zapadniętych policzkach; przytłumione śmiechy, głośny płacz, chrapliwe nawoływania belferów i suchy bas mełameda przy akompaniamencie piskliwego sopranu jego zacnej

połowicy; nierzadki świst rzemieni kańczuka, spadającego na czyjeś plecy i wybuchający zaraz krzyk bóleści, przytem szum jakiś niewyraźny, głuchy i odgłosy z ulicy — to wszystko składa się na kalejdoskopowy chaos uczelni. Ale cel uświęca środki. Chajder zaś jest przecież przedsionkiem raj, wrotami, prowadzącymi do zbawienia wiecznego.

Funkcye chajderu nie są ciasne, zwłaszcza jeżeli rektor jego dobrze pojmuje swe posłannictwo. I tak n. p. mełamed niniejszej akademii duchowej w najszerszem znaczeniu słowa, wziął na się pracę nietylko około przygotowania, ale i jak najprędszej ekspedycyi swych uczniów do żywota niebieskiego. Świadczy o tem przy najmniej kilka wypadków nieco drażliwej natury, jakie w jego zakładzie i nie bez jego współudziału miały miejsce. Toż n. p. sam rudy Chaim był winien, iż niepojętością swą wprawił w ruch nogę nauczyciela w okolicę swego brzucha i tem kopnięciem sprowadził na się śmierć. Przecież to mełamed wcale krwiożerczych nie miał zamiarów spuszczać kańczuk na kulawego Szłomę, a tylko duch nieczysty uderzył rzemieniem chłopca w oko, tak że ono zaraz na miejscu wyciekło. Były później z tego powodu burze w mieście, wzywano poczciwego mełameda przed rabina, który mu wykladał że niebo wprowadzie z utęsknieniem oczekuje na dzieci Izraela, ale i na ziemi są one potrzebne, zbytnia gorliwość w ich wyprawianiu nie jest więc pochwałą

godną, a przynajmniej za taką nie uważają jej organa policyi, nie rozumiejące intencji mełameda, a gotowe go wsadzić do kozy w razie donosu.

Ale jakoś dzięki Bogu wszystko przeszło spokojnie. Mełamed wytłumaczył się z czynionych sobie zarzutów, wykazał iż od czterdziestu lat zajmuje się wychowaniem Izraela, a że w tym czasie przyczepiła się doń jakaś drażliwość, jakaś świerzbączka, tak że kańczuk za często jest w robocie — czyż jego w tem wina? Należy przecież uwzględnić, iż jego zakład jest pierwszym w mieście i że u niego studyował też reb X., teraźniejszy rabin sąsiedzkiej gminy świętej.

Były to argumenta nader przekonujące i rzecz stanęła na tem, iż zakład niniejszego mełameda jest pierwszym w mieście i że względy na duszę, powinny przeważać nad troską o ciało.

Do tego chajdera oddał syna Mendel Graf.

— Przeprowadzam wam mego Jicchoka — rzekł do mełameda, przedstawiając mu swą pociechę.

Ten powitał malca życzliwym uszczypnięciem w policzek i powierzwszy go opiece duchowej „podbelfera“ nie patrzył nań więcej.

Nowe zaczęło się życie dla Jicchoka.

Dwa razy na dzień sadzał go podbelfer koło siebie, wskazywał na pewne czarne punkta w podartej i potłuszczonej od wieloletniego użycia księdze, wbijając mu w pamięć słowa, jak gwoździe:

— *Kik*, to jest *alef*!

— To jest *alef*! — powtarzał Jicchok za belferem, krzywiąc się.

— Pamiętaj, że po mięsnem nie wolno jadać potraw mlecznych! mówił doń belfer już w półtora lat później.

I to Jicchok za nim powtórzył. Wierzył mu zupełnie, bo i czemużby nie miał wierzyć? Po to, aby oberwać kilka guzów? Zanadto już wówczas był mądry. Nie rozumiał, co doń mówiono, nie pojmował swego otoczenia, wiedział jednak, że zwierzchności trzeba ślepo słuchać, aby uchronić mięso swe od uszczypnień i szturchańców, a uszy i pejsy od targnięć bolesnych. Doświadczenia tego nabył prędko — wypisał mu je belfer na skórce, gdyż i tam trzymają się metody empirycznej — w nauce.

Rósł Jicchok. O ósmej rano zapędzał go belfer wraz z resztą swej partyi tej ulicy do chajderu, tak jak na wsi pastuszek trzodę gminną. Zaopatrzony w kawałek chleba przesiadywał tam malec do drugiej. W zimie nie chodził na obiad. „Juszkę“ jakąś w garnuszku przynosił mu belfer, wystygłą, bez smaku.

Z chajderu wychodził o ósmej; zimą — wcześniej.

Z tem wszystkim czuł się Jicchok szczęśliwym.

O innem życiu nie miał pojęcia. Stopniowanie pozycji społecznych spostrzegał czasem w tem, że niektórzy jego koledzy jadali obarzanki

i ubierali się piękniej. Zresztą — nie zazdrościł nikomu niczego. Nie wiedział jak to się gdzieś-indziej dzieje: w jakim raju przebywają dzieci, wśród jakich pieśczęt i starań słodkich...

I jego kochała matka, czasem całowała ale częściej biła i przeklinała. Nie dziwił się chłopiec temu — bo od czegoż ona matką?

Czasami widywał w mieście dzieci w swoim wieku, piękne, strojne, pachnące, prowadzone za rękę przez bogate panie. Były to dzieci urzędników. Patrzał na nie Jicchok, mlaskał przytem językiem z podziwu, a zresztą — myślał — cóż tu osobliwego? Od czegoż to dzieci pańskie?

Od tych ostatnich czuł się wyższym, dumniejszym. One były „gojami“ — on „żydowskiem dzieckiem.“ A różnicę tę pojmował już doskonale, wbijano mu ją w pamięć, stawiano zawsze przed oczy — w domu, w chajderze, przy zabawie.

W chajderze bowiem bawią się także.

Latem wysypywała się cała gromada dzieciaków na pagórek, tuż w pobliżu swej uczelni. Weszło tam było, gwarno, rojno. Starsze bawiły się „w konie“, Jicchok kopał nory lub gniótl glinę, z Blimą bawił się w męża i żonę albo wtykali patyczki w miękki grunt, co — stosownie do życzeń pracowników — przedstawiało ogród lub sad, a najczęściej milezący grzał się na słońcu jak kociak i dumał — o Mesyaszu.

— Ach, Mesyasz, Mesyasz!

Mówił raz belfer, iż czas przyjścia jego niedaleki. Zbliża się już straszny dzień, kiedy przy-

będzie, archanioł Gabryel z polecenia bożego jedną nogą stanie na synagodze, drugą na okopisku i strasznie zadmie w swą trąbę. Wówczas nastaną straszne burze i wypadki straszne; wszyscy strefnieni żydzi zginą, wszyscy błogosławieni zmartwychwstaną i ruszą do Jerozolimy. Świat cały pójdzie za nimi, ale w pobliżu ziemi obiecanej znajduje się straszna woda. Tam staną dwa mosty: jeden z pajęczyny, drugi — żelazny. Wybrańcy Boga przejdą przez pierwszy cało i szczęśliwie, pod niedowiarkami zaś ze strasznym łoskotem załamie się most żelazny i wszyscy znikną z oblicza ziemi.

A czas ten bliski.

Jakżeż pragnęła go dziatwa, biedna, katowana przez wszelkie zło! Z jakimż utęsknieniem oczekiwali ci nędzarze dnia owego, gdy wszyscy będą królewietami i Bóg w całym majestacie ku nim zstąpi, pobłogosławi, uszczęśliwi i raj utworzy na ziemi. Wówczas — wówczas nie trzeba będzie pracować, mięso Lewiatana i olbrzymiego wołu wszystkich nakarmi, wino przechowywane od czasów Adama wszystkich napoi — a dalej błogie będzie życie, cały świat omal będzie im służył, wszystkie narody kłaniać się, pola będą wydawać nie jeno rośliny, lecz gotowe już strawy, gotowe już pierniki, pierogi, kugle...

Co za rozkosz, co za szczęście!

Cóż wobec tego pomyślność i siła *gojów* ?...

Oni nie dostąpią zbawienia, nie!...

Przejęty temi myślami malec czuł się wielkim

i krzepkim, czuł się dumnym ze swego pochodzenia i ze swej przyszłości. Za nic by jej nie poświęcił, za nią warto cierpieć, warto znosić wszystkie próby boże!

IV.

A Bóg — jak mełamed nauczał teoretycznie i praktycznie — ciężko różgą doświadczenia próbuje swoich ulubieńców. Sądząc według tego należał tedy Graf do najukochańszych jego dzieci.

Za każdym uderzeniem „różgi bożej“ matka płakała a ojciec powtarzał stereotypowo:

— Pan niepojęty... I to ku dobremu! (*Gam ze le'towu*).

I znowu puszczał Jicchoka samopas w dalszą drogę...

Na drodze tej rozmaite były rowy i pokrzywy i kamienie ostre, i liczne etapy. Choroby, dolegliwości fizyczne gościły często w ciasnej, dusznej, brudnej izbie grafowskiej, i chajderu. Jicchok był wytrzymały. Przeszedł wszystkie cierpienia dziecięce bez pomocy lekarza.

— Bo i poco? mówił ojciec. — Napisano mu w niebie, by żył, to lekarze niepotrzebni; chce Bóg jego śmierci — doktorzy nie pomogą.

Widocznie Bóg chciał, by malec żył na pożytek i pociechę — w pierwszym rzędzie Marjemie.

Wiele to marzeń i planów przesuwało się po jej głowie, gdy wydawała za mąż starsze córki i patrzyła na swego pędraka, jedyne

pleci męskiej, jaki się jej pozostał. Jak słodko śniła ona w wolnych chwilach o przyszłości swego dziecięcia...

Nie zaniedbywała niczego, coby go zbliżało do tego ideału. Z wzrastającą pociechą widziała swych zabiegów rezultaty świetne, nad wyraz! Co prawda, nie podobala jej się bladość oblicza dziecka, wątłość i chudość; co prawda, niemile ją uderzał czasem wyraz jego oczu i usta najczęściej milczące, ale — uspokajała się sama — mniejsza o to. Ciało nie jest przecie niczem więcej jak tylko naczyniem i sługą ducha. Zato, jaki on już rozwinięty, jaki mądry, jaki uczony... aj — aj — aj!

Rzeczywiście, w piątym roku życia czytał już Jicchok po hebrajsku płynnie, jak maszynka dobrze nakręcona; nie rozumiał atoli ni słowa z ustępów czytanych. Wówczas przeszedł w ręce starszego belfera i zaczął się uczyć pięcioksięgu Mojżesza. W domu wydano w sobotę ucztę dla znajomych rodzicielskich i kolegów Jicchoka. Ow nastrojony dokładnie, przystrojony w nowy ubiór, wlaźł na stół i wraz z współuczniem wypowiedział „*druszę*“, t. j. wdał się w długą, wyuczoną dysputę na temat pierwszych wierszy rozdziału „*Wajikru*“. Ojciec zacierał ręce z zadowoleniem, zachwycona matka była w siódmem niebie.

— Szczęśliwaś ty Marjem — powtarzały sąsiadki. — Masz syna, który będzie „*lamdon*“ (uczonym w zakonie).

Marjem ze łzami w oczach dziękowała Bogu za to szczęście i pracowała, jak wół, celem hodowania tych nadziei. Była jako piłka gumowa i toczyła się po nizinach, każde uderzenie losu podrzucało ją w górę, a wszystko to, dzięki jej elastyczności... A małżonek, bogobojny i uczony w zakonie reb Mendel, zakręcał pejsy niby świ-derki; jak dawniej, tak i teraz chodził na wszystkie uroczystości, jakie się wydarzyły w mieście z okazji narodzin, czy wesela lub rocznicy śmierci czyjejs. Odmawiał błogosławieństwo „*mi sze-berach*“, lub modlitwę „*el mole rachmim*“, pi-jał wódkę i brał po szóstaku.

Z dziećmi swemi nie miał nic do czynienia, czasem tylko w sobotę po drzemce poobiednej przepytywał ich lekcye; matka również niewiele czasu mogła im poświęcić, więc żyły sobie swo- bodnie. A że dzieci, które sobie z ust wyrrywają każdy kawał chleba, które kłóca się o ciepły kącik w domu lub o przenoszona przez ojca ko- szulę, nie mają dla siebie wiele pieśczoł i czu- łości — więc Jicchok, jako najmłodszy, przez wszystkich poszturkiwany i krzywdzony, żył so- bie na osobności, nie narzucał się, nie garnął do drugich i nieraz godzinami dumał. O czem? nikomu nie mówił.

Raz jednak zdradził się przed całym światem.

Mając lat ośm ośmielił się na coś nadzwy- czajnego — wdał się w dysputę z samym me- łamedem.

— *Rebe* — wyrzekł drżącym głosem i z roz-

iskrzonemi oczyma, — wczoraj uczyłem się o stworzeniu świata. Powiedźcie mi rebe, jak można było z niczego wszystko stworzyć?

— Jak? jak? pytasz. — Powiem ci. Powiem. Od tego Bóg jest Bogiem, aby wszystko mógł...

— Od tego Bóg jest Bogiem. A powiedźcie mi jeszcze, *rebe*, skąd się wziął sam Bóg?

Melamed stanął jak wryty. Uderzyła go zachwałość chłopca, czy się sam może nigdy nad tem nie zastanawiał?

— *Gaj, di szajgec!* zawołał szorstko. — A pamiętaj gałganie, o takich rzeczach myśleć nie wolno.

— O takich rzeczach myśleć nie wolno — powtórzył za nim Jicchok i oczy mu przygasty.

Nie pytał już o nic i bardziej jeszcze zamykał się w sobie. Ale „rozhovor“ ten smutną mu zrobił sławę w całym partykularzu i przyniósł mu opinią dziecka opętanego przez nieczystego ducha. Samem stawianiem pytania popełnił przecież zbrodnię tak potworną, tak niesłychaną! I skądże taki wyrodek w cnotliwej rodzinie Grafów?!

Marjem przytulała go, ścisłała.

— Dziecko moje słodkie, co tobie przyszło do głowy?

Ojciec również postanowił sam udzielać jedynekowi swemu nauk świętych, by go lepiej uzbroić przeciw mocy dyabelskiej. Mały Jicchok dał wszystko ze sobą robić. Wiele wówczas słyszał o dyabłach i piekle, snił o smole i „że-

laznych kukurudzach“ które przypadają w udziale grzesznikom; opowiadał o nich ojciec, belfer; o przerażających sądach i karach słyszał od wszystkich towarzyszy. A przy nauce rebe powtarzał ciągle tubalnym swym głosem przymioty Boga: jaki on wielki, sprawiedliwy, potężny, straszny, mściwy, jak przenika człowieka nie przebacza mu nawet myśli złej.

Drżał wówczas malec, zrywał się ze snu — ale złe myśli często mu w głowie igrały.

Gdy przeszedł do wyższego mełameda i zaczął uczyć się *gemary* — było mu bardzo dobrze. Nauka ta polega całkiem na stawianiu i roztrząsaniu pytań talmudycznych. Pytał więc Jicchok, a nauczyciel go nawet chwalił za gorliwość i bystrość myśli.

Nie długo jednak trwało to szczęście. Na każde zagadnienie była u mełameda i w *misznie* gotowa odpowiedź, wpakowana ściśle w kleszcze dogmatycznego tekstu rabinicznego lub biblijnego. Naokoło tej osi muszą wszystkie umysły i rozprawy się obracać, tylko nad tym poziomem się unosić, a wyższy, śmiały lot — wzbroniony.

I już w talmudzie wyczytywał Jicchok słowa: „o tem mówić, o tem myśleć nie wolno,“ „zakazał to Bóg, ten Bóg, co przodków wyprowadził z ziemi egipskiej i który jest...“ tu znów szereg epitetów, wśród których nie było słowa „miłościwy“.

Nie te tylko kule wisiały u nóg zrywającemu się w górę chłopcowi. Ośmioletni malec zaczął

się uczyć talmudu. I o czemż talmud traktuje? Przeważnie o ustawodawstwie, o prawie małżeńskim, o prawie karnem, cywilnem. Prawa te rozpatrywane ze stanowiska obyczajowego i dogmatycznie religijnego, ze wszystkimi swemi komplikacyami i rozgałęzieniami miały stanowić pokarm duchowy, chleb powszedni dla wyrostka, podczas gdy dzisiaj są one przedmiotem dla dojrzałego, przygotowanego umysłu. Na ogrom olbrzymiej tej suchej pustyni zjawiały się czasem, jako urocze oazy, piękne przypowieści i obrazki, bogatym językiem wschodnim pisane i one to pobudzały fantazyą, dawały materiał myślom. Ale nie na długo. W inną stronę wiał prąd jego ducha.

W sobotę popołudniu siedział raz jedenastoletni Graf na przyzbie, przed domem. Język mu się wówczas rozwiązał, bo przy obiedzie tłusty miał kugel, po południu słyszał świetną *druszę* u przejeżdżającego *baldarszona* (kaznodziei), a teraz niezły miał apetyt.

— *Mame* — rzecze — jam głodny.

— Czekaj, obżartusie — odparła — mogę ci dać chleba z masłem, ale dopiero za godzinę.

— Czemu nie teraz?

— Bo jeszcze nie minęło sześć godzin, gdyś jadł mięso.

— A gdy nie minęło sześć godzin, to czemu nie mogę jeść *mlecznego*?

— Dlatego, bo to grzech, bo nie wolno.

— A dlaczego to grzech, dlaczego nie wolno?

— Bo Bóg zakazał.

— A dlaczego Bóg zakazał?

Matka przez chwilę nie odpowiedziała.

— A ja dziś widziałem, jak jakiś ulicznik zarał chleb z masłem i kielbasę.

— Świninę... brr... Otóż widzisz, bo on goj. to jemu wolno, a my żydzi, to nam nie wolno.

— Ale dlaczego, dlaczego?

Matka się rozdrażniła i on się zaciął. Per-swazyje jej nie mogły mu trafić do rozumu. Spo-sępniał chłopczyzna, czoło jego fałdowało się przed-wcześnie a oczy niespokojnie przebiegały za-wsze po kartach ksiąg naukowych. — A nuż tam znajdują...

W chajderze odosobnił się od kolegów, nie brał udziału w grach ich, ni w figlach. Kiedy w zimie wieczorem wszyscy robili ogromnego bałwana ze śniegu i wstawiali w usta jego świecę płonąca — on siedział w *bethamidiaszu* za piecem i mruzczał traktaty rabiniczne. To mu jednało wielu nieprzyjaciół.

Przy migotliwym blasku łójówki siedzieli wszyscy uczniowie za stołem, późnym wieczorem zimowym. Leniwie, przecierając klejące się oczy, partya jedna wybębniała ustęp jakiś talmudyczny, a druga, w kącie bawiła się w najlepsze „w gu-ziki“. Jicchok z innym jakimś ochotnikiem siedział obok ściany, trzymając na kufrze foliały talmudowe i łamiąc sobie głowę nad zagadnie-niem, co mu miga przed oczyma, jak ogromny znak zapytania, od dłuższego już czasu.

— Czy Bóg jest wszechmocny i wszechwiedzący, czy nie? Jeżeli tak, to przecież wiedział, że Adam i Ewa skosztują jabłka i zgrzeszą. Po cóż ich więc tam wsadził i pozwalał, by wąż ich kusił? Aby mieć sposobność do rzucenia na nich przekleństwa i unieszczęśliwienia świata...? Jeżeli zaś Bóg nie wiedział o tem z góry — jest-że on doskonałym?

Skąd do młodego, mającego niespełna trzynaście lat talmudysty, podobne myśli? skąd?

Zapytany, jaką drogą zaszedł do tych wątpiewań i krytyk, nie mógłby Jicchok dać odpowiedzi. Alboż on wie, jak powstały te obrazy, co mu oddawna wirują w głowie? skąd te myśli, co jak ptaki, biją skrzydłami o jego piersi i szumią i rwą się do lotu...

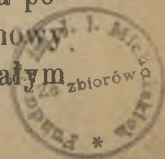
Wie tylko, że mu bardzo źle, bo dusza nie ma spokoju ni zadowolenia. A co będzie z tego dalej?

Gdy tak дума, nagle w gwarnej izbie chejderowej zapanowała cisza.

— Co tam zaszło? pyta.

Nie nadzwyczajnego. Nauczyciel, wyczerpany i znużony, przytem cokolwiek podpity, zasnął przy stole. Chłopcy zaczęli się wzajemnie poszukiwać na znak porozumienia.

Mełamed chrapał już głośno, opierając brodę na kułaku, spoczywającym na jakiejś księdze, wtem najbliższy chłopak zgrabnie, znienacka pościągnął księgę owę i czcigodny ojciec duchowy stracił punkt oparcia dla kułaka i uderzył całym



ciężarem szanownej swej głowy o stół, aż zębami zadzwonił.

Zerwał się na równe nogi a w okolo śmiech syczy przytłumiony.

— A wy hultaje, draby, *szrucym*, zbóje! huknął. — Kto to zrobił? Mówcie, bo was wszystkich pozabijam.

Jicchoka scena ta rozzłościła.

Zbliżył się, jakoby chcąc dać odpowiedź na pytanie powyższe i prędko cofnął. Wstydził się fagasować.

— Jicchok! Jicchok! szepnęli koledzy błagalnie, zauważywszy jego zamiar.

— Jicchok! krzyknął *rebe* gwałtownie. — To ty, łajdaku jakiś!

Graf się oburzył.

— Ale, ale — zaczął, lecz znajdował się już w szponach rozwścieczonego pedagoga.

— Ja nie winien, *rebe*, ja nie winien! wołał.

— Znam cię, hunewocie, kapcanie! piorunował mełamed, targając go z całych sił i młóćąc.

Jicchok prędko się wyrwał, wyszedł na dwór i boleśnie zapłakał.

— I gdzie tu sprawiedliwość? powtarzał.

Doznana krzywda mocno go bolała, a jeszcze więcej — niegodziwość kolegów, z których żaden go nie bronił, a wielu się cieszyło.

— A może to kara za mój grzech? powiedział sobie za chwilę z konsekwentną logiką obskurnego wyrostka.

Znowu zaczął myśleć o swych grzechach i

wybuchnął gniewem na siebie:

— Ja podły, występny! wołał. — Hańba mi! wstyd mi! Poważam się wątpić o tem, w co wierzyli przodkowie i uczeni i święci... Ośmielam się pytać o to, co pod pieczęcią wiecznej tajemnicy ma być zamknięte.

Zaczynał po prostu sam wierzyć, iż jakiś zły duch go opętał. Przeraził się tego przypuszczenia i drżał o życie swe i o zbawienie wieczne. Bo nie inaczej, tylko szatan go tak kusi... potwierdzą to wszyscy pobożni i wielcy w Izraelu... i on sam wie dobrze... wszak ma głowę niepospolicie „wyostrzoną“...

Plakał Jicchok w bożnicy podczas modłów, bił się w piersi i pościł — a przed oczyma przesuwano mu się: dlaczego to, dlaczego? I wbrew jego woli, duch jakiś wewnętrzny kłócąc się z nim niemiłosiernie, przykładał powyższe pytanie do każdego uczynku religijnego, do każdego przykazania i przepisu.

Teraz właśnie zbliżał się dlań dzień ważny i uroczysty, dzień confirmacyi. Ojciec miał w bożnicy nad nim wymówić „*Baruch szeputraanu*“. „Dzięki Bogu, żem się go pozbył“ ze swego sumienia, że chłopak sam już przed niebem będzie odpowiedzialnym za swe występki, podczas gdy dotąd ciężar ten na mnie spoczywał.

Jicchok był bliski rozpacz. Z trwogą myślał o nadchodzącej pełnoletności swego sumienia. A jak będzie mógł zakładać „*tefilin*“ na tę głowę, pełną dzikich myśli heretyckich, które

w nim kipią... Oby już rozsadziły raz kruche to naczynie!

Prędko jednak młodziuchny niedowiarek przekonał się, iż Bóg nie zapomina o swoich ulubieńcach.

Do miasta zagościł *cadyk* — cudotworca.

Oddawna już Jicchok o nim słyszał, jako o poufałym powierniku opatrności, słyszał o cudach jego, wpływach w sferach niebieskich i potędze w sferach ziemskich. Z pokorną czcią, z fanatycznym uwielbieniem mówili o nim bliżsi i dalsi, a Jicchok wyssał te uczucia z mlekiem matczynym, z chlebem codziennym.

Obecnie stało mu się jasno jak na dłoni, iż cadyk istotnie posiada mądrości nieba i ziemi, jest rzeczywiście ogromnem słońcem, z którego dużo światła się leje.

Cudotworca wypowiedział przy uczcie kazanie mistyczne na temat „Izraelu, tyś naród wybrany“. Jicchok je prawie całe zrozumiał, przejął się niem, i oczarowany, rozgorączkowany — pojął wszystkie tajniki maszyny życia, przez Najwyższego kierowanej.

Nareszcie miał odpowiedź!

Bóg — tak brzmiał ten system — stworzył świat cały. Ale z pomiędzy wszystkich ludów wybrał sobie Izraela za dziedzictwo, chcąc go zbawić i uszczęśliwić. I by się przekonać o jego wierności, wystawia go nieraz na próby i w dowód swej miłości dał mu „*tore*“ i sześćset trzy-naścioro przykazań (*tarjag mycwot*), aby pobożni

je spełniali i wskutek tej zasługi szli do raju na wieczne szczęście.

Pogląd ten wyratował go z przepaści, na której brzegu już stał. Silnym zapłonął ogniem. Modlił się z patosem, pilnował przepisów zakonu, jak żrenicy oka. I w pamiętnym dniu ukończenia trzynastego roku życia zjednął się z Bogiem. W modlitewni, obok ołtarza, wraz z kilku najlepszymi przyjaciółmi, zaprzysiągł dozgonną wiarę zakonowi Mojżesza i rabinów. „Nigdy nie dotknę się słońcy, nigdy nie ostrzygę sobie pejsów, nigdy nie będę służył Baalowi, ani Molochowi — powtarzał z silnem postanowieniem — a za to Ty, Panie świata, dotrzyмай mi przyrzeczenia, daj doczekać Mesyasza, albo po śmierci daruj mi trzysta dzieśnię światów!“

I po zawarciu tego ślubu czuł się czystym i w błogiem usposobieniu.

V.

Był piękny dzień majowy. Słońce nie paliło jeno rzucało na świat spokojne, łagodne i świetne blaski. Lasy, pola, łąki budziły się z długiego uspienia zimowego, zielone, wesołe przywdziewając szaty. Powietrze było przepelnione zapachami fiołków, bzu, wszelkich roślinności i świergotem ptasząt, echemi spiewów i nawoływań rolników. Wraz z kwiatami zakwitąło nowe życie, pełne świeżości, ruchu i nadziei.

Lecz w martwej ciszy spało miasteczko Zapiecko. Sobota jest bowiem jedynym dniem, w

którym pracowici próżniacy żydowscy pozwalają sobie wschodniej rozkoszy: długiego, gnuśnego spoczynku. W izdebkach ciasnych, cuchnących, wylęgiwało się pod pierzynami sławetne obywatelstwo miejscowe. Na rynku i placach targowych pusto i eicho, gdyż jedyne motory ruchu handlowego – nieobecne; a w zaułkach partykularza panuje przygnębiająca duszność, brud i martwota.

Na rogu jednej z pobocznych uliczek wznosi się budynek niski i szczupły. Ściany jego niegdyś żółte, dziś barwy brudno-gliniastej, pokryte są dachem pstrokatym, na którym obok zezerniałych gontów rozściela się mech zielony i nie jedna łąta z białych desek; okna, czyszczone dwa razy na rok, mają pozór szkieł, dopiero co zużytych przez fotografa. Jądrem tej skorupy jest mały pokój, najważniejszy punkt w całym mieście. Jestto świątynia chasydów miejscowych.

Teraz dość pusta, niebardzo wygląda uroczyście. Z popękanego sufitu zwieszają się nisko dwunastoramienne pająki mosiężne, z góry tamując przechód; na podłodze krzyżują się stołki, ławki, stoły i tamują przechód z dołu. Najbardziej przedstawia się ściana wschodnia. W środku niej znajduje się szafka, u której wierzchu króluje dziesięcioro przykazań, wyrzeźbione na drzewie pozłacanem, zaś obok drzwiczek ma ona kolumny, naśladowujące marmur a przytrzymane przez parę czerwonych lwów. W szafie tej znajdują się rodały. Drzwiczki są osłonięte jedwabną

franką, na której błyszczy „tarcza Dawida“, dwa splecione trójkąty z „złotej“ tasiemki na tle zielonawem.

Po prawej stronie tego sanctissimum, „świętej skrzyni“, stoi do połowy ciała ludzkiego sięgająca szafeczka, właściwy ołtarz, przy którym „chazum“ odprawia modły. Mieści ona w sobie wódkę i świece pozostające pod zarządem sługi bożnicy „szamesa“; u wierzchu ma część spadzistą, na której leży księga do nabożeństwa, a wyżej — płaską, gdzie stoją lichtarze; tam też w szklance, wypełnionej oliwą i wodą tli się knot za jakąś pobożną duszyczką. Na ścianie zaś, wprost przed oczyma modlącego się, wisi obraz — „myzroch“. Jestto arcydzieło kunsztu rzeźbiarskiego i malarskiego. Z białego papieru wycięty, następnie pomalowany farbami wodnymi i nalepiony na papierze czerwonym — przedstawia on orła i ptaszki, o których żadna zoologia nie wie, dalej coś na kształt lwów i tygrysów, trzymających ogony w paszczekach, i kwiaty, nieznanie żadnemu botanikowi. Praca ta wyszła z pod scyzoryka i pędzla Jicchoka Grafa.

Wzdłuż ścian po obu stronach ciągną się ławki, przeznaczone dla najwybitniejszych członków modlitewni; ławki są też wszędzie, przy wszystkich ścianach i naokoło stołu, zajmującego środek sali, przed niemi zaś sprzęty długie, wąskie, dwunożne, podobne do ławek szkolnych, trochę do pulpitów na nuty. Każdy obywatel trzyma podczas modlitwy księgę na tym pulcie

a w otworze — czapkę, względnie futrzaną szabasówkę i chustkę, jeżeli się takową posługuje.

Bardzo ważnemi częściami składowemi domu bożego są: piec olbrzymi, karty z tekstem kilku modlitw i w ścianie południowej szafka, zawierająca do użytku powszechnego tomy talmudy czne przerażającej wielkości i objętości.

W „*klaus*“ znajduje się obecnie kilku młodych ludzi. Nie chcą oni wiedzieć, iż o kilkadziesiąt kroków rozkwita piękna i bogata przyroda, jedyna skarbnica rozkoszy i nauki; siedzą nad pismami uczonych w zakonie, by stąd czerpać mądrość i słodycz życia.

Jednym z nich jest Jicchok Graf.

Kończy on rok siedmnaście, ale czoło myślące, twarz obrosła, rysy ostre i cera pergaminowa, czynią, że wydaje się o wiele starszym, mimo że jak dziecko wąły i chudy, mimo że ręce małe ma i przezroczyste, plecy wąskie, a mięśnie niewyro-bione; mimo że nie ma w sobie krwi ni siły młodzieńczej.

Bo i skądżeż ta do niego? Miał-żeż jej zaczerpać w atmosferze chejderowej, gdzie tyle młodych roślin wiednieje i ginie? Czy w domu rodzinnym, dokąd nigdy nie zaglądał wesoły promień słońca ni błysk losu pomyślnego? Lub może w „*klaus*“, dokąd spieszy codzien o piątej i przebywa do późnej nocy z małemi przerwami?

Siły ni energii nie dało mu domowe życie z dnia na dzień szare, kwaśno-gorzkie, ciekące gnuśnie, bez żywszych wzruszeń, wyższych dą-

zeń, zdarzeń wybitniejszych. Spokoju ni zadowolenia nie przywiodło mu bezustanne ślęczenie nad pismami świętymi, w zgłębianiu których doszedł już pewnej doskonałości. I acz najbardziej znany, najwięcej obiecujący ze wszystkich młodych ludzi, oddających się studjom; acz wszyscy go poważają i wychwalają pobożność jego, spokój i talenta — on jednak nie powtórzyłby już teraz słów ślubu, uczynionego przed laty kilku.

— Dlaczego?

Siedzi teraz na uboczu schylony nad księgą, głowę trzyma w obu dłoniach a wzrok jego patrzy przed się nieruchomo. Widzi, jak myśli jakieś rwące, niby woda górską, żłobią sobie w nim korytło coraz głębsze, coraz szersze, i jak tem korytem pędzą fale niepowstrzymane, druzgoczące w biegu wszystkie podstawy dawniejszego myślenia, wszystkie kruche zapory religijne...

Także owe mgły mistycyzmu, jakie niedawno jeszcze umysł jego okrywały, rozwiewał obecnie ostry, zimny wiatr krytyki, jaki przezeń przelał — niewiedzieć skąd i dokąd...

Podług opinii całego Zapiecka postępował Jicchok na coraz wyższe szczeble wiedzy; to znaczy: u coraz większych mełamedów badał coraz zawilsze i bardziej oderwane kwestye, studyował do nich nader uczone komentarze i objaśnienia tych komentarzy i jeszcze uczeńsze komentarze do powyższych objaśnień komentarzy — ale w tych wszystkich poważnych i szacownych dziełach nie było życia. Wszystkie przy-

mowały pewną ilość kategoriycznych przepisów możeszowych i rabinicznych, jako dogmata, a Jicchok te właśnie podawał w wątpliwość.

Nie mając rozwiązania, tarza się w bólu i zamęcie, nie znosi życia, rwie się i szamoce bezustannie.

Powtórzył raz scenę, jaka się odegrała za dni chłopięcych.

Jak wówczas tak i niedawno, kończąc rok piętnasty i najwyższy chajder w mieście, zbliżył się do mełameda, będącego głośnym mędrcom i zastępcą rabina miejscowego, i rzekł:

— *Rebe*, mnie oddawna dręczą wielkie sprzeczności i zagadki. Powiedźcie mi rebe, skąd pochodzi Bóg?

Tem nauczyciel nie był oburzony. Uśmiechnął się łagodnie i oko jego zaszło mgłą. Patrzał zadumany, jakby gonił myślą własne wspomnienia lat młodocianych.

— Jicchok — odrzekł on powoli. — Znam cię lepiej, niż drudzy, niż ty sam myślisz. Choć usta twoje wiecznie mileczą, widziałem ja w oczach twoich nieraz przy nauce złe blaski i na ustach złe uśmiechy. Wierz mi, to bardzo niedobrze. Czemu? zapytasz. Ot, po prostu, nie warto sobie niczego brać do serca. Bo i do czegoż doprowadzisz?

A po chwili dodał silniejszym głosem:

— Wiesz przecież, o takich rzeczach nie wolno myśleć.

Młodzieniec wyszedł ze wzrokiem spuszczo-

nym, ale na ulicy podniósł ku niebu oczy, w których się palił ogień gorący a piersi jego oddychały prędko. Po milczącym i cichym chłopcu nikt nie byłby się spodziewał, iż tak zuchwałe pytania umie stawiać i tak hardo patrzy w górę.

— A przecież muszę mieć odpowiedź! — przedsięwziął sobie w duchu młody Jicchok.

I poszedł do „*klaus*“. Matka powiedziała doń :

— Ja od ciebie niczego nie chcę. Dam ci jedzenie i picie i odzież, jak długo sam tylko zechcesz. A ty ucz mi się i zostań rabinem.

— Ucz mi się i zostań rabinem — powtarzał ojciec. — I zrobisz lepsze na świecie szczęście, niż ja.

A on dumiał :

— Będę się uczył, przestudyuję wszystkie księgi, znajdujące się w szafie naszej modlitewni, a odpowiedź mieć muszę.

I rozpoczął poszukiwania.

Całą siłę woli skupił około dążenia do przebicia gęstych ciemności. Był już uzbrojony nauką kilkunastoletnią i wierzył, iż połączwszy treść wszystkich ksiąg, znajdujących się w modlitewni, będzie miał odpowiedź.

Jakżeż bo mogłoby być inaczej? Przecież foliały owe mieszczą w sobie mądrość największą Izraela, to jest wszystkiego, co świat posiada szlachetnego i rozumnego!

Ze oprócz Izraela istnieje jeszcze świat z ludźmi myślącymi, o tem Graf nie wiedział wcale. Zaskorupiony zaś ciągle wśród czterech ścian

uczelnia nie ulegał wpływom zewnętrznym, ani ludzi ani przyrody.

Jednakże ostatni rok, jak i poprzednie bezpłodny, wzbudził w potulnym młodzieńcu zgorzkniałość i niechęć.

— Gdzie prawda? gdzie? wołał tak długo a obecnie zaczyna mniemać, iż woła na puszczy. W żadnej księdze nie znalazł echa, wszystkie były satelitami *Szulchan-Aruchu*. Ten zaś, ze wszystkimi postanowieniami, normującymi życie żydowskie i myśli i obyczaje i wiarę i kuchnię i małżeństwo i handel, olbrzymi ten labirynt doprowadzał Jicchoka do rozpacz.

— Dlaczego to? dlaczego? pytał na każdym kroku.

— Czyż doprawdy od takiej błahostki, od wykonywania przepisu, którego rozumem wytłumaczyć nie można, zależy przyszłość Izraela i los mój własny? pytał tysiąckrotnie.

— Bóg tak chce! krzyknął nań zaraz surowy głos wewnętrzny. — Myśleć o tem nie wolno...

— Nie wolno? czemu nie wolno? a od czegoż mam władze myślenia? miotał się młodzieńiec — a gdy będę myślał, to co?

Przed rozpaloną wyobraźnią stawało mu ogniem ziejące piekło, i dyabły, szarpiące rozżarzonemi obcęgami duszę nieśmiertelną...

Wzdrygał się i zaraz przytem zauważył:

— Dziwna... Czemu, w biblii, w podstawie naszej wiary, niema wzmianki żadnej o nagrodzie pośmiertnej, o dyabłach, o piekle, o nieśmiertel-

ności duszy?... Może Mojżesz o tym aparacie karnym nie wiedział i dopiero później go wymyślono...

— Wymyślono!! tu za włosy się uchwycił.
— Co ja plotę, ja szaleniec bezbożny, heretyk opętany...

By zakrzyczeć huczące wewnątrz głosy, modlił się często, żarliwie, naśladując najpobożniejszych chusydów; by je zagłuszyć — umartwiał grzeszne ciało postami, bezustannem grzebaniem się w pyłe ksiąg naukowych, odmawianiem sobie przyjemności i uciech...

Przy tem miał usta zamknięte. Komuż mógł przedstawić palące go wątpliwości? Z pomiędzy ślepych fanatyków i spracowanych biedaków, ktoby dlań miał wyrozumiałość, radę, naukę wyższą, jaśniejszą?...

Siedzi więc tak w *klauz*, szarpany i dręczony...

A w tej chwili strzeliła mu nagle idea do głowy:

— Myślę bezustannie o rzeczach niedozwolonych. Rabini i księgi święte grożą za to karami boskimi i śmiercią. Biada mi! zasłużyłem na to w zupełności. A czemuż mnie nie złego się nie staje?... Może więc święte te księgi zawierają fałszywe?... Albo może — może nie ma Boga!?

.

VI.

Zaledwie myśl ta błysnęła mu w głowie, przejął go strach wielki. Wstrząsł się na całym

ciele i zerwał z siedzenia.

A tuż wokoło niego siedziało w modlitewni kilku kolegów i zabawiało się w najlepsze.

Byli to młodzieńcy poświęceni nauce i Bogu, kwiat i przyszłość chusydów miejscowych. Prawie wszyscy pochodzili z gniazd biednych, a wszyscy też uważali się za będących w drodze do świetnej karyery; albowiem ćwicząc się w pobożności i umiejętnościach „świętych“ mieli nadzieje: poślubić niebawem córkę jakiegoś bogobojnego starowiercy, albo objąć z czasem niekoniecznie tłustą, ale zawsze wysoką posadę rabina.

Mimo górnolotnych tych aspiracyj byli oni przecież młodymi ludźmi i lubieli od czasu do czasu używać przyjemności niekoniecznie świętych, n. p. grę w „iks, miks, driks“, albo w „31 kartek“. Jicchok zazwyczaj do nich się nie przyłączał i dlatego nie bardzo go kochali.

Nadto górował Graf nad wszystkimi inteligencją i zdolnościami, rabin miejscowy prorokował mu, iż będzie kiedyś „gaonem“, a i teraz miasto zwało go „ituj“. Przydomki podobne rzadko jeszcze komuś dostawały się w udziale — i to było też powodem niepopularności Jicchoka między kolegami.

Jako dobrzy chusydzci byli wszyscy ci *buchery* (młodzieńcy) zawsze w najlepszym humorze. O chleb codzienny nie kłopotali się, gdyż mieli go w domu albo u bogatych współwyznawców, którzy brali do swego stołu zdolnych talmudy-

stów. Aby nie tracić animuszu i wesołości duszy, podsycali ją często tem, czem Bóg dał: czasem butelczyną wódki, czasem delikatniejszym jakimś napojem. Leży to zupełnie w trybie życia chusydów, a tradycyi tej nie przestrzegał wątlęgo zdrowia, poważnego umysłu i zamknięty w sobie Jicchok — stąd znowu powód do rzucenia nań kamieniem potępienia.

W tej chwili jednak zgromadzeni nie oddają się żadnej świeckiej zabawie. Dziś przecież sobota — nie wolno więc niczem się zajmować, jak tylko nauką i sprawami, dotyczącymi jakichkolwiek świętości.

Ponieważ najwyższą świętością jest *cadyk*, przeto około jego osoby obraca się główny wątek gawęd.

— Słyszeliście o najnowszym cudzie jego? pytał jeden.

— Cóż? cóż? wołali wszyscy.

— Jakto, jeszcze nie wiecie? Przed tygodniem przywieźli doń chłopca, który wciąż się rzucał i miotał. Oczywiście, iż *nieczysty* w nim przebywał. Rebe pyta chłopca:

— Co ci jest? — On powiada:

„Bóg mnie ukarał. Powziąłem był trefny zamiar uczenia się języka gojów i siedziałem nad książką na strychu, aż tu „*dybek*“ (duch pokutujący) wszedł we mnie i dotąd mię dręczy.“

Cadyk długo nawet się zastanawiał, czy warto tak zepsutego chłopca oswobodzić, aliści uległ błaganiom rodziców i zaklął nieczystego.

— Kto ty jesteś, co przesiadujesz w duszy dziecka izraelskiego? —

„Jam duch „*apikoresa*“. Za życia goliłem sobie brodę, dlatego teraz nie mam spokoju; nie chcę mnie przyjąć ani do raju ani do piekła i muszę się wiecznie włóczyć. Upatrzywszy zaś wyborną sposobność, ulokowałem się w tym kandydacie do chrztu“ — odrzekł *dybek*.

Cadyk modlił się przez chwil kilka, potem wziął do rąk cudowną „*kameę*“ (zwitek pergaminu, na którym napisana modlitwa kabalistyczna) i zaczął straszonym głosem zaklęcia, aby nieczysty opuścił ciało chłopca.

— Nie chcę, nie chcę — wołał *dybek* — mnie tutaj dobrze, mam tu prawo mieszkać.

Walka między cudotwórcą naszym a złym duchem trwała długo. Wszyscy obecni truchleli przed nadnaturalnem tem dziwem. Wreszcie rebe wyrzekł:

— Wyjdź stąd zaraz, a obiecuję odmawiać za twą duszę „*kadesz*“ (modlitwa za umarłych). Wtenczas dopiero dało się słyszeć pytanie:

— Którędy mam wyjść?

— Nie przez gardło — odparł *cadyk* — bo go udusisz i nie przez głowę, bo ją zanieczysz, tylko przez rękę.

I w tej chwili chłopiec rzucił się, jakby w „wielkiej chorobie“; dał się słyszeć szum i z małego palca lewej ręki chłopca uniósł się niebieski dym. Wszyscy to widzieli — a chłopiec całkiem już teraz zdrów.

Obecni przysłuchiwali się tej opowieści z rozwartemi ustami i z pobożnym zachwytem.

— Cudowne.

— Niepojęte.

— I któż jeszcze powie, iż *cadyk* nie jest palcem boskim? —

— Bah — zaczął inny, może czternastoletni, z wyłupiastemi oczyma i głupkowatą miną *bucher*. — Ja wam opowiem cud, co rabin poczynił niedawno w naszej familji. Wprawdzie rodzice nie każą o tem mówić, ale nie rozumiem, czemuż tego nadzwyczajnego zdarzenia nie rozpowiadać!? Otóż wiadomo wam, iż siostra moja piękna Chana-Sura wyszła przed pięciu laty za sześćdziesięcioletniego Fajbisza. Atoli przez kilka lat nie mieli dzieci i stąd rozpacz i narzekanie. Aż przed rokiem pojechali do „dobrego żyda“. Dali naturalnie dobry „*pydjon*“ a rebe powiedział:

— Bóg pomoże, tylko młoda niewiasta musi tu przez pewien czas przychodzić co drugi dzień po moje błogosławieństwo.

I oczywiście siostra moja, „piękna Chana-Sura“ przychodziła co drugi dzień do cadyka po błogosławieństwo, które albo on sam, albo, jak zanadto był zajęty, udzielał jej „*gabe*“ (adjutant) i cóż myślicie — przed dwoma miesiącami porodziła dziecko, że aż nu!

Przez kilka chwil po tem opowiadaniu cisza zapanowała w *klauz*. Niektórym twarzy przedłużyły się, na niektórych uśmieszek zaigrał. Nieba-

wem atoli wszczeły się znowu rozmowy.

— Dlaczego — rzecze jeden — to podczas ślubu ma się *kała* siedm razy obracać naokoło *chusena*?

— Hm... a któż wie...

— Dlaczego — pyta drugi — kobiety muszą spełniać niektóre „*mycwy*“ (przykazania boskie) i dobre uczynki, kiedy nie mają duszy?

— Proszę was — zaczął inny „*mechaker*“ (myśliciel) — czy Adam, który nie był zrodzony z niewiasty, miał pępek, czy nie?

— A wiecie, co się stało? zawołał nagle *bacher* jakiś wpadłszy z ulicy. — Słyszałem, iż ktoś czytał w gazecie, że *Fonie* (Rosya) znalazł niedawno nad Araratem arkę Noego, buduje z niej okropne okręty i puszcza się do Ameryki, aby zbić Turków.

— Doprawdy?

— Więc będzie wojna?!

Podniosły się liczne zapytania i wykrzykniki. Wtem wszedł do *klausz* starszy *chusyd* i zawołał na progu:

— Szszsz... *szabas kodesz l'adonaj* (*szabas* jest święty ku czci bożej).

Jakby dotknięci laską czarodziejską, siedzieli już w okamgnieniu wszyscy nad księgami, pomrukując z cicha dane traktaty. Spokój zapanował wzorowy. W tej samej chwili zbudził się właśnie Jicchok ze swoich rozmyślań, zakończonych takim zgrzytem.

Dreszcz nim wstrząsał. Przeszedł się kilka razy po ciasnej świątyni i znowu usiadł na da-

wnem miejscu. Obok niego jeden z kolegów zaczął półgłosem powtarzać z „*Szulchan-Aruchu*“ :

— Wstawszy rano, należy najsamprzód wzuć but na nogę prawą a później dopiero na lewą.

— Jankiel — rzecze cicho Jicchok do sąsiada.

— Czy ty sobie nie myślisz czasem : czemu Bóg i zakon żądają koniecznie, abyśmy wprzód ubierali but prawy, później lewy, a nie odwrotnie lub jakbądź?

— Ja? odrzekł Jankiel zdziwiony. — Skoro *Szulchan-Aruch* tak przykazał, pocóż pytać? czy ja to zmienię? a gdy mam się tego trzymać, na co darmo głowę łamać?

Jicchokowi nagle stało się bardzo gorąco. Stał przed oknem i michinalnie je otworzył. Z niedalekiego lasu wiatr oblał go strumieniem chłodnego, wonnego powietrza. Oko jego padło na wspaniałą krajobraz zielonych drzew, na opromieniony blaskami zachodzącego słońca pagórek.

Młodzieniec odetchnął całą pierś i wyrzekł, jakby do kolegów :

— Jakie to ładne... tam musi teraz być dobrze!

— Co? co on mówi? zawołał ów wiekowy *chusyd*, który był „*szamesem*“ (posługaczem świątyni).

Koledzy otoczyli go.

— A czyż ty nie pamiętasz — krzyczał stary dalej — co w *Pirka Aboth* napisano: „Ten co powiada: jak pięknem jest to drzewo, jak piękną jest ta okolica, ten godzien kary śmierci“.

— Cóż! odparł Jicchok. — Rabini przecież nie

chcieli zakazać podziwiania pięknych tworów bożych.

— Nie, powiadasz, kiedy ci przytoczyłem wyraźnie!?

— To ma zapewne coś innego znaczyć. Nie można tego przecież brać dosłownie.

— My słuchamy, co napisano. Ty już chcesz „tłómaczyć“ zakon. I wy chłopcy uważajcie, co ten wygaduje. Oho, bratku, zaczynasz nam się niepodobać. I to w sobotę, teraz, zajmują go takie *dwurym batajłym* (czcze sprawy). Porachujemy się później.

To mówiąc zaczął *szames*, też jeden z nieprzyjaciół Jicchoka, bo konkurent jego ojca, szepać coś na ucho kilku *bucherom*, gestykułując żywo.

Tymczasem mały lokal bóżnicy zaludniał się powoli. Napływali chusydzi z całego miasta, wszyscy w szabasowych czapkach, w atłasowych bekieszach, po największej części podartych; z tymi paradnymi strojami harmonizowały długie kołnierze u koszul, niezwiązanych krawatem, i długie, niekoniecznie czyste pończochy, tkwiące na górze za szarawarami a na dole w kłękających pantoflach.

Powietrze coraz duszniejsze i ciemności wypełniały izdebkę. Każdy cisnął się na wygodne miejsce koło pieca i koło ołtarza, rozmawiając żywo o sprawach natury religijnej lub rabinackiej, gdyż soboty nie należy profanować gawędami o rzeczach materyalnych.

Gdy się już dobrze ściemniło, zasiedli wszy-

scy za wielkim stołem w środku świątyni. I nagle dom boży zamienił się w izbę karczemną. Miano odprawić ostatnią ucztę sobotnią. Szames rozdzielił wódkę i wszyscy pili po kolei, zakąsując *sztruclem*, przyniesionym z domu.

I rozpoczęła się biesiada, złożona z rzeczy wysoce prozaicznych, jak wódka, bułka, ryby— i z rzeczy wysoce duchowych, jak roztrząsanie kwestyj „naukowych“, śpiewy i modły.

Po każdej przekąsce następowała modlitwa. śpiewana chórem. Z kilkudziesięciu piersi wybuchaly głosy dzikie, nieharmonijne, a jednak mające wdzięk jakiś i urok. Starsze i młodsze głosy, ochryple, basowe i cienkie dziecięce głosiki mieszały się, dzwoniąc melodye szalone, huczne, szybkie a tęskne i smętne; to znowu przyciszonym tonem zaczęły wywodzić śpiewy łzawe i zadumane, albo przeciągłe, poważne, patetyczne. Za chwilę uderzyły znów w ton wesoły, kończąc fortissime skocznym marszem, przy którym głosy starszych brzmiały jak rzenie, a głosy młode, jak pianie.

Trwało to kilka godzin, albowiem jak długo wierny izraelita święci dzień sobotni, dyabły nie mogą zapędzać dusz pokutujących do piekła. I miłosierni chusydzci, siedząc nad wódką, gotowi przeciągać ucztę jak najdłużej, naturalnie tylko dla dobra nieboszczyków. W głowach tańczą im myśli coraz szaleniiej, języki płaczą się coraz bardziej nieprzyzwoicie, a głosy brzęczały coraz fałszywiej, zmieniając się w ryki i poświsty gardłowe.

Noc panowała już w świątyni, a światła nie wolno zapalać. Najrozmaitsze wyziewy i zaduchy dławily wszystkich, w kątach wzmagały się hałas i nieporządki.

Jicchok siedział przez cały czas przy piecu. Nie pił i nie jadł niczego, śpiewał tylko z głębi serca odczute psalmy i modły, wlewając w nie tęsknoty swe, skarżąc się w nich z swych udręczeń i strapiień.

Wtem uczuł nagle, iż kilku ludzi ścisnęło się koło niego i naraz kilka ciężkich, bo porządnie zatłuszczonych jarmułek spadło na twarz jego i głowę.

— Masz, ty *rusze*, (przewrotny) zapłatę za wszystko.

Przeraził się Jicchok niespodzianego tego napadu. Dorozumiał się, że to ręce zawistnych i zazdrośnych koleżków, podsyconych przez *szamesa*, karzącego go wrzekomo za grzech poobiedni. Czy doprawdy tylko za grzech? Nie poznawał jednak nikogo wśród gęstych ciemności, nie chciał się też bić, wiedząc iż musi uleść, a krzyczeć tu, upokorzyć się nie warto...

Lepiej więc ustąpić głupszym.

Tłumiąc w sobie wykrzyki gniewu i bólu wysunął się Jicchok po omacku z izby. Znalazłszy się w ciemnej sieni odetchnął, aż tu nagle kilka postaci przytłoczyło go do ściany.

— Ty *rusze*, *merysze*, obłudniku, *szajgec*, masz za wszystko...

I teraz już nietylko jarmułki, ale kilkanaście

pantofli spadło na niego. Zacisnąwszy zęby, nie chcąc wołać z dumy i z przekonania, iż nic mu to nie pomoże, szarpał się młócony Graf i nakoniec wy dostał na ulicę.

Nad nim błyszczały gwiazdy świetlane; z modlitewni huczał dziki wrzask na chwałę bożą; z lasu wiały zapachy i szumy wieczorne, a z miasta głosy współwyznawców, zaprzęgających się do roboty codziennej.

Jicchok zwrócił się ku domowi. Sińce nie bardzo go bolały, więcej — myśli.

— Bili mię, bo mnie nie lubią, bom od nich lepszy. Ale niektórzy bili istotnie za mój występpek poobiedni. Prawda, słowa me były grzeszne wobec brzmienia zakonu, ale czy to grzech, żem powiedział iż świat wydaje mi się pięknym? A jeśli to grzech — jakże nazwać me dotychczasowe rozumowania? A jeśli za to wykroczenie zasłużyłem na karę, co mi się należy za me myśli? Nie potrafię jednak ich zabić. Cóż więc będzie... co będzie?

VII.

W domu został Jicchok powitany przez nowe zmartwienie. Matka jego leżała w łóżku obłożnie chora.

Marjem zapadała w ostatnich czasach często na zdrowiu; zmęczone wieczną bieganiną nogi odmawiały jej posłuszeństwa; zmordowane piersi ścisnęły się nieraz ciężkim bolem aż oddychać było trudno. Ale dziś już bardzo źle. Położywszy

się po obiedzie — nie może teraz się podźwignąć, a sapie wciąż chrapliwie i skarży się na bole krzyża, łamanie w stawach i t. d.

— To nic, to przejdzie — dodaje, jednakowoż przez całą noc stękała a nazajutrz myślała, iż ma wszystkie kości połamane, a na piersiach kamień młyński.

Choć mąż jej uchodził za „głowę rodziny“, była ona faktycznie jej żywicielką. Teraz nastały w domu zamieszania i bieda.

Gdy zaś minęło dni kilka, tydzień jeden i drugi a Marjem ubezwładniona nie mogła opuszczać łoża boleści — rozpacz zapanowała w nędznej izbie Grafów.

A co najgorsza — Marjem musiała rozpruć swój woreczek i stamtąd wydawać na ręce córki w pocie czoła zarobione oszczędności na bieżące potrzeby domowe. Rzewnie się rozplakała, wydobywając stąd pierwszy papierek, głośno szlochała też córka: wszak odłożony grosz ten miał stanowić jej posag... a teraz...

Pobożny reb Mendel pędził życie jak dotychczas. Jicchok zaś przyjmował z początku niewybredne swe potrawy z rąk siostry; dbał o matkę i mało kłopotał się o finanse, lecz bieg wypadków i burze domowe zapędziły mu do głowy szereg myśli, z których na pierwszy plan wysuwało się pytanie:

— Czemu ojciec nie utrzymuje rodziny?

I wstyd ogarniał młodzieńca, gdy widział jak ojciec, który prawie nigdy niczego do domu nie

przynosił, zbliżał się do chorej żony z pokorną prośbą o kilka centów na tabakę.

— Czemuż on nie pracuje? czemu nie zarabia? — mówił sobie Jicchok.

— Próżniaku, darmozjadzie, niedołęgo! — zawołała też raz na swego pana małżonka Marjem.

— Czemu nie zarabiasz?

Pod czaszką Jicchoka nowa burza zaczęła wrzeć, aliści wyszedłszy z pokoju usłyszał na przyzbie jęki i płacz gorący. Zbliżył się—to jego ojciec, skuliwszy we dwoje i tak zgarbioną swą postać, szlochał jak dziecko bezsilne, nieporadne.

— Widzisz mię Jicchok — stękał stary przytłumionym głosem.— Gdyby Bóg był zechciał, byłbym mógł zostać wielkim rabinem, a teraz jestem żebrakiem. W domu nędza, niezadługo głód zacznie nas trawić, a ja... Cóż mi z mojej pobożności, cóż z ogromnej mej wiedzy? Nauczono mię co robić, aby dostąpić raju, czego nie wolno, aby pozostać dobrym chusydem, ale co należy czynić, aby mieć kawał chleba — tego mnie nie uczono!

I znowu wybuchnął płaczem.

— Tego w talmudzie nie znalazłem, o tem święte księgi nasze i wszyscy rabini milczą... Ja nędzny, nieszczęśliwy, haniebny!

Głośne łkanie przerwało mu znowu mowę. Po chwili wykrztusił z siebie:

— I gdybym przynajmniej miał siły... Ale gdzie tam... Trefny goj, co robi jak bydłę, jest zdrów

jak bydlę. Zwyczajny prostak ma kark tęgi i może być tragarzem, może nosić wodę lub drwa rąbać. A ja, com zawsze ku chwale bożej modlił się i uczył — jestem bez sił, mam ręce jak patyki i trzęsę się i muszę zawsze siedzieć za piecem. Co z nas będzie — *rebone szel olem* (panie świata) co z nas będzie!

Z początku przejął Jicchoka wstyd i rodzaj wstrętu do mężczyzny, płaczącego i narzekającego jak dziecko. Lecz za chwilę zapomniał o tem, zapomniał, że to ojciec, że matka słaba, że wszystkich czeka beznadziejne jutro.

— Czy to prawda, że te wszystkie okropności wygadywał ojciec, uczony w zakonie, bogobojny chusyd?

Zaraz też uderzyła go czarna prawda niedawno usłyszanych wyrazów; otworzyły mu one oczy na położenie ekonomiczne wielu współwyznawców i zadrzał o siebie.

Rozpaczliwą miał noc, tyle kamieni wypadło z murów jego dotychczasowej wiary; tyle drzew musiał wyrwać z korzeniami i tyle nowych źródeł myśli ciężką pracą wykopać.

Na drugi dzień ozwał się temi słowy do rodziców:

— Chcę wam ułatwić życie a sobie zapewnić bezpieczną przyszłość. Dlatego zamierzam wyszukać sobie jakieś zajęcie.

Zanim rodzice mogli wyjść ze zdumienia, ciągnął on dalej:

— Jestem biegłym talmudystą, ale rabinem

nie zostanę ponoś nigdy. Wiecie, trzeba przepływać pół gminy, a na to nie będę miał. Zresztą — możebym i nie chciał. Widziałem także, jak ty matko w pocie czoła pracowałaś na kilka groszy. Do takiego handlu ja brać się nie mogę. Nie mogę też mieć się interesu sklepowego, bo widzę, jak źle się ma mój szwagier, krom tego powiada on, że chłopci są już teraz inni, i że w naszym mieście będzie niebawem więcej sklepów, niż kupujących. Zresztą — aby przystąpić do jakiegokolwiek interesu, trzeba mieć gotówkę. Cóż mi więc pozostaje robić, gdy chcę być uczciwym człowiekiem i nie umierać z głodu? oto, nauczę się jakiegoś rzemiosła.

Krzyk oburzenia wyrwał się nagle z ust rodzicom.

— Ty chcesz zostać rzemieślnikiem?

Myśl ta wydawała się tak potworną, tak upokarzającą, iż ojciec, który znowu był w zwyczajnym usposobieniu, zaczął rzucać się, jakby na widok kawałka wieprzowiny; a matka nie mogąc podnieść się z łóżka, miała tylko twarz nabrzmiałą, czerwoną i wywijając rękami w powietrzu.

— Ty Jicchok, rzemieślnikiem!

Powoli uspokoili się. Poczem Marjem zaczęła opowiadać, wiele lat żyje myślą, iż choć jeden syn jej zostanie *gaonem* i rabinem; że myśl ta była jedyną sprężyną jej działalności i mąk, i że gdyby musiała porzucić tę nadzieję, nie miałaby już poco żyć.

I ojcu, który był całkiem innym człowiekiem, niż wczoraj wieczór, wydawał się ten projekt szalonym. — Jakto — „*iluj*“ ma się tak zniżyć? w takie błoto wleść? On, potomek tylu sławnych talmudystów, krewny tylu rabinów, ma stać się szewczykiem, lub chłopcem u stolarza?! Śmieszne to, jeżeli nie przerażające.

— Ależ zginę przy was — wykrzyknął młodzieniec.

— No, no — uspokajała go matka — tak źle nie będzie. Mam jeszcze dosyć gotówki. Starczy na czas pewien. A zresztą — możesz przecie robić, jak tylu innych bucherów... Stołować się u bogaczy...

— Nigdy — zawołał Jicchok. — To żebractwo, gdy człowiek ma dziesięć zdrowych palców.

Sprzeczka trwała długo; wszyscy się zirytowali i w końcu Jicchok uczynił coś niesłychanego, rozzłoszczony wypadł z domu trzasnąwszy drzwiami za sobą. Było to niepraktykowane uchyczenie rodzicom.

— Czy znowu coś *nieczystego* do niego przystąpiło? — pytali się starzy wzajemnie.

Nakoniec uznali, iż w mowie syna tkwi przecież dobre ziarno, i że póki matka leży, póty są wszyscy pastwą najokropniejszych obaw i — broń Boże — gorszej jeszcze przyszłości.

— Muszę się przecież ratować — zakonkludowała Marjem — zwłaszcza, że od dni kilku strasznie mi źle; i boleśnie jęknęła.

Dotychczas nie radziła się lekarzy. Nie miała

do nich najmniejszego zaufania, skąpiła krwawo zapracowanego grosza, a sądząc iż słabość jej pochodzi tylko ze zbytniego natężenia i zmęczenia, mówiła ciągle: to przejdzie, wypocznę tylko porządnie.

Nareszcie zdecydowała się na krok radykalny.

— Masz mężu 20 reńskich i jutro pojedziesz wraz z Jicchokiem do naszego *cadyka*.

Gdy Jicchokowi zakomunikowano wieść tę, ucieszył się nadzwyczaj, a na drugi dzień wyruszył wraz z ojcem *bałagutą* do rezydencyi cudami słynącego *rebe'go*.

VIII.

Gdy rzucisz kamień w spokojne wód kryształę, zapienią się one miotając białą pianę, zakipią w krótkiej burzy, a niebawem powierzchnia ich znów się wygładzi i będzie dalej miarowo falowała. Ale kamień zmąciwszy spokój i blask zwierciadeł wodnych, pada ciężko na dno i przyniata i niszczy bujną jego roślinność.

Kamień, ciśnięty w głąb duszy ludzkiej takie same sprawia skutki.

Podobnych ciosów bez liku doznała w ostatnich czasach dusza biednego Jicchoka. Za każdym razem szumiał on i pieniał się, choć niedługo; twarz wygładzał prędko, lecz kwiaty dawnej jego wiary w świat nadnaturalny i ziemski, ginęły pod ciężarem wpadłych kamieni.

A sypały się one ze wszech stron. Żył dotychczas jak nienależący do tego świata, jak

senny przechodził przez partykularz, mrowiący się i brzęczący; nie pytał czemu? po co? Bezmyślnie, tylko w nadzwyczajnej potrzebie przyjmował udział w życiu praktycznym, uważając je zasadniczo za przedsiónek do żywota wiecznego. Teraz wyostrzyły się nagle wszystkie zmysły młodzieńca, szeroko roztwarł oczy i spostrzegł światła i cienie dawniej nieznane; wyciągnął ręce i natrafił na ciernie i tamujące głazy, nieuczuwane przedtem. Przytem pozwolił mu przypadek rozejrzeć się trochę po szerszym horyzoncie, zasianym przeróżnymi nowymi obrazami i Jicchoka uderzył legion ciekawych, niewytłumaczonych zjawisk.

Najważniejszym punktem, o który ciągle uderzały fale myśli, stało się przeświadczenie, że „cudotwórca“ jest niczem więcej, tylko człowiekiem i to człowiekiem o wiele niższym od ideału, wypiełgnowanego w duszy młodzieńczej przez talmud, przez podanie domowe i osobiste życzenia.

Widział Jicchok miścinę nędzną, brudną, cuchnącą, mieszkańców w łachmanach i przygarbionych, a nad nimi wznosił się *cadyk*. Widział kilkuset młodych, zdrowych ludzi, żyjących na jego dworze, dzielących czas swój między modły, opowiadania o wielkości *rebe'go* i hulaszczą pijatykę. To go niezmiernie oburzało, gdyż próżniactwem gardził a wierzył, iż celem życia jest — jak Bóg przykazał — zgłębianie tajemnic umiejętności świętych „*li'szmoh*“ (nauka dla nauki).

Widział najbliższe otoczenie „dobrego żyda“. Adjutanci jego rządili pięścią i potęgą duchową. Za łatwe przypuszczenie przed „jego“ oblicze żądali „łapowego“; za udzielenie dobrego miejsca podczas sobotniej uczty przy „jego“ stole żądali kubana, w przeciwnym razie kułakowali i policzkowali młodych i siwowłosych, dając im nieraz tygodniami całymi czekać przede drzwiami.

Widział cadyka samego, człowieka niskiego, tłuściutkiego, o świdrującem spojrzeniu i rudym zaroście, liczącego lat trzydzieści kilka, ubranego w biały chałat i wyciągającego do wszystkich na powitanie „szulem alejchem“ rękę, biorąc mimochodem *pydjon*. Każdego pozbywał się prędko, każdego oczarowywał mruczeniem niezrozumiałych błogosławieństw, i cudownem przewracaniem oczyma, każdego odprawiał stereotypowem: Idź, Bóg dopomoże.

Widział „go“ Jicchok dalej, odprawiającego w całym majestacie ucztę posobotnią w asystencyi najwierniejszych chusydów, okrążonego ciżbą kilkuset głów, wpatrzonych weń, jak w fetysza. Cadyk nigdy niczego nie jadał, cudem bożym wzrósł imponujący brzuch jego; z każdego półmiska kosztował tylko po dwie łyżeczki a pozostałość rozdzielał *gabe* między obecnych, którzy błogosławione te „resztki“ sownie opłacali. Następnie jego świątobliwość wygłosił „słowa boże“. Jicchok umiał ocenić wartość swą naukową, w chaosie wiedzy rabinicznej obracał się z całą swobodą dzielnego znawcy, mimo to nie

rozumiał prawie ani słowa z spekulatywnej części usłyszanego wykładu, gdyż był on treści kabalistycznej; cadyk komentował „Zohar“. Ale wszyscy obecni zachwycali się uczcią tą niebiańską, mówiąc, iż są ograniczeni i niegodni pojąć mędrca czytającego z ksiąg archanielskich; wszyscy dobrze zrozumieli, co rabbi kilkakrotnie z naciskiem powtarzał: I mówił Bóg do Adama: ze wszystkich drzew raju możesz jadać, tylko z drzewa poznania — nie.

Ta część kazania, obszernie motywowana i zastosowana do spraw bieżących, zaostrzyła najbardziej krytycyzm Jicchoka, który mówił dalej: Drzewo poznania, zwane jest w biblji także drzewem życia.

Widział on nakoniec wspaniały powóz, prowadzony przez czwórkę dzielnych siwoszów, a w powozie rozpierała się żona i wnuczki „dobrego żyda“, obwieszone złotymi łańcuchami i pierścieniami i ukazające się tłumom w coraz to innych strojach, sprowadzonych wprost z Wiednia, podczas gdy głodna i obdarta hołota zносиła cadykowi ostatni grosz, szukając pociechy, ratunku i nadziei.

To wszystko widział Jicchok i to utkwilo mu w pamięci. Musiał przyznać, iż świat cudotwórcy nie jest światem czystości, mądrości i bojaźni bożej. I cóż cadyk wielkiego dokonał? Ze raczył przyjść na świat jako syn starego cadyka... Stąd jego świątobliwość i powszechna dla niego czołobitność.

Nie koniec na tem. Raz młody jakiś „*batlan*“ pchając się do cadyka został potężnie wypoliczkowany przez *gabe'go*. Zaczerwieniony pobiegł on do *klaus* i solennie się upił, potem zaczął pocichutku opowiadać historye... historye o szalbierstwach i wyzyskiwaczach i komedyantach, historye bardzo ciekawe...

Dosyć, że z siedziby cadyka Jicchok wyjechał jako przeciwnik jego osobistości i instytucji przezeń reprezentowanej. Niewiara ta była jednym z ogniw coraz bardziej się przedłużającego łańcucha negacyi.

Rodzice i najbliżsi jego uważali wiarę w cudotwórcę za podstawę i warunek religii, a on...

IX.

Na egzaltowanego, gorącego talmudystę świat wylał nagle strumień zimnej wody; ostudziła ona w nim żar religijny i wprowadziła w szybki ruch koła myślowe, zrywając równocześnie wszystkie podwaliny dawniejszych pojęć.

Włócząc się *bałagutą* do grodu rodzinnego zawadził Jicchok o jedno z większych miast Galicyi. Ujrzał po raz pierwszy kawał Europy: piękne kamienice, świetne sklepy, park przyjemny, ozdobny, ruch i gwar uliczny, czystość i porządek. Na znaczniejszych punktach miasta ludzie jakoś w innem świetle mu się przedstawiali, nosili się pięknie, wyglądali okazale. W ogrodzie słyszał muzykę, która mu tak serdecznie brzmiała! Piękno, ład, dziwa architektury i przemysłu u-

sposabiały do rozmyślań.

Z szeroko rozwartemi oczyma patrzył na wszystko wyszły z mysiej dziury żyd i bąknął: czemuż i u nas nie tak pięknie? Byłoby przecież o wiele lepiej i Bogu nie sprawiałoby to szkody. Cóż zmieniło to miejsce tak, iż zdaje się nie z naszego być świata?

Zobaczył Jicchok jeszcze oświetlenie gazowe, kolej żelazną, telegraf, fabrykę olbrzymią, dyszącą pracą setek robotników.

Towarzysze podróży rozmawiali o wszystkich tych cudach. Jeden mówił, iż furmanką musi jechać do domu dwa dni, koleją zaś przybyłby tam za pięć godzin, nie ma jednak tyle pieniędzy... Drugi mówił, iż radosną wieść, jaką w sprawach familijnych wiezie do domu, udzieli rodzinie dopiero za trzy doby a telegraf zaniósłby ją tam za kilka kwadransów, nie ma jednak pieniędzy... Trzeci opowiadał o fabryce, która daje zarobek wielkiej liczbie familii biednych i produkuje sprzęty o połowę tańsze jak dotąd płacono a nierównie lepsze. Czwarty wielbił telefony, które przenoszą dźwięki mowy z błyskawiczną szybkością.

— Korzystając z tych wszystkich cudów — dumiał Jicchok — musi człowiek prowadzić o wiele wygodniejsze życie i mieć dużo czasu i wolną głowę do pracy i do nauk. Czemuż nie są te dobrodziejstwa udziałem wszystkich? Czemu służą tylko małej części, podczas gdy większość nie wie nawet o ich istnieniu?

Ale... ale... skąd powstały wszystkie te czary? Jakie siły kierują cudownymi tymi przyrządami?

Wynalazki przemysłu, dzieci nauki, oblokły się w jego wyobraźni w świetne szaty cudów. Ale tylko w fantazyi jego, niedoświadczonego młodzika.

Stara jakaś żydowica, której język przez całą drogę był w ruchu nieustannym, mówiła z głębokim przekonaniem, że kolej — to dzieło szatana. W pierwszym wózku siedzi dyabeł i pali fajkę — stąd dym; gwizdże — stąd świst przeraźliwy; macha bezustannie rękoma — to osie tłokowe; do jego zaś ogona są przyczepione wagony. Ot i cała sztuczka piekielna!

Atoli tej filozofii nie wierzył Jicchok ani na chwilę.

Bardziej myśl jego zajęło objaśnienie pewnego „kupca“, tłumaczącego że siła poruszająca kolej — to para. Opowiadał ów adept Merkurego, iż jakiś *metamed* postawił był kiedyś kipiący samowar na małym wózku dziecięcym i nagle para, buchająca z samowaru, popchnęła wózek naprzód.

— Cóż to jest jednak para? Jak ona działa? Na to nikt już nie umiał odpowiedzieć, ani określić istoty reszty widzianych cudów. Ciekawość dręczyła Jicchoka w najwyższym stopniu i od czasu pielgrzymki do cadyka pogрузzył się w głębszej zadumie.

Strona naukowa i społeczna cywilizacji nowoczesnej uderzyła go błyskawicznie; stosunek jej do warstw, z których pochodził, przejął go żalem i bolem.

Najboleśniej dotknęła go świadomość, że w całej znanej sobie literaturze biblijnej i talmudycznej nie ma ani wzmianki o nadzwyczajnych sprawach.

— Jakto? myślał — więc wśród wszystkich potoków najwyższej mądrości nie znajdę ani jednej wysepki, gdzieby umysł strudzony bezowocnym szukaniem mógł odpocząć? Chyba — to nie potoki, sączące się z żywych źródeł, to bagna martwe, nieodświeżające się, w których się nie skąpiesz, ani popłyniesz, tylko ugrzęzniesz! Bo i jakżeż, w księgach, powstałych pod natchnieniem bożem, nie znajdę wytłómaczenia rzeczy olbrzymiej doniosłości, rzeczy bardzo prostych, gdyż powszechnie używanych?

I pomyślał:

— W czasach, kiedy pisma święte powstały, nie było jeszcze ani kolei, ani telegrafu. Aby te ostatnie urobić, potrzeba więc było innej nauki. Pisma święte nie są zatem kwintessencją wszechwiedzy. Mądrość ich jest zatem ograniczona. Gdzież jej szukać?

I myśli Jicchoka zogniskowały się około pytań:

Jakie zająć stanowisko wobec kardynalnego brzmienia zakonu, iż całe życie należy poświęcić li tylko umiejętnościom świętym? następnie, gdzie szukać dopełnienia wiedzy, gdzie światła, coby objaśniło świat żywy, terażniejszy?

— Światła tego pragnę, pożądam go wszystkimi siłami — powtarzał w duchu od tego czasu

gorąco i wpadał w coraz czarniejszy smutek, gdyż nie wiedział, skąd mu jaśniejszy brzask błysnie — a w około ciemniało.

X.

W sąsiedztwie Grafów mieszkała jakaś rodzina rzemieślnicza, której syn uczęszczał do miejscowej szkoły ludowej. Na tego „szkołnyka“ patrzył Jicchok dotąd pogardliwie i lekceważąco, bo wbito mu w głowę, że w szkole wypalają węglami pejsy i zmuszają do pisania w sobotę, a nie powiedziano mu że tam uczą czytać, pisać i rachować. Zresztą — to ostatnie, cóż to za wielkie *chochmes* (mądrości)?

Przechadzając się wieczorem, spotkał Jicchok raz tego „szkołnyka“ bębniącego z otwartej książki szkolnej głośno jakieś, niezrozumiałe dla uczonego w zakonie wyrazy. Nastrój umysłowy, w jakim „uczony“ ów w ostatnich czasach pozostawał, zbliżył go teraz do pracującego chłopca.

— Co ty robisz, Szlojme?

— Uczę się, reb Jicchok — odpowiedział jedenastoletni malec — bo u nas za dwa tygodnie egzamin.

— A czego się uczysz?

Szlojme niezmiernie zdziwiony, że chusydzki bucher zapuszcza się z nim w rozmowę, odrzekł:

— Powtarzam teraz fizykę.

— Co to znaczy?

— To znaczy, to znaczy... na przykład teraz się uczę — i tu malec zaczął z książki swej tło-

maczyć na żargon — że tęcza powstaje wskutek załamania się i rozszczepienia promieni światła w kropelkach chmury deszczowej.

— Co ty mówisz, co? przecież tęczę zesłał Bóg.

— Nie wiem reb Jicchok. Tak stoi w mojej książce.

Szlojme, który był najlepszym uczniem w czwartej klasie, wyjaśnił Jicchokowi całą istotę tego zjawiska i dodał, iż w szkole udowodnił im to nauczyciel na szklance wody, trzymanej na-przeciw promieni słonecznych.

Jicchok szybko się oddalił. Był głęboko zdziwiony.

— Więc tęcza to rzecz całkiem naturalna, wywołują ją tak proste przyczyny, a pismo święte uczyło mię dotąd, że tęczę zesłał Bóg naprzód Noemu, jako oznakę przymierza, iż potopu nigdy nie będzie, a teraz przypomina nią światu gniew swój i łaskę.

Na drugi dzień udał się Jicchok znów do studencika. Dowiedział się u niego, że świat istnieje już miliony lat.

Talmudysta roześmiał się szyderczo.

— Toż w torze udowodniono, iż ziemia liczy lat pięć tysięcy sześćset kilkadziesiąt.

— Bardzo być może — odrzekł malec flegmatycznie. — Ale cóż to mię obchodzi? Ja mam się tylko lekcyi wyuczyć. W książce zaś wydrukowano, że ziemia jest tak starożytną i na to są nawet dowody. Ciekawiście?

Z nateżeniem wszystkich władz umysłowych

śledził Jicchok wywody geologiczne swego mistrza. Każde, udowadniające prawdę ziarnko żwiru, padało na pierś młodzieńca druzgocącym ciężarem, sprawiając mu ból i radość.

Trzeciego dnia wyszukał znów malca.

— A teraz czego się uczysz?

— O piorunach — i tłómaczył mu żargonem odnośny ustęp z książki.

Jicchok odszedłszy na nowo musiał się szamotać z dotychczasowem mniemaniem, że pioruny i grzmoty — to dzieła Boga, ostrzegające nimi ludzkość przed karami za występki. Więc — myślał — zjawiska owe są tylko rezultatem ścierania się pewnych sił natury a pojawiają się bez fatygi boskiej i bez żadnej intencji.

Czwartego dnia, z upragnieniem oczekiwał Szlojmy.

— Co dzisiaj robiłeś?

— Powtarzałem lekcję o trzęsieniu ziemi.

— I cóż?

Dotąd wierzył, że trzęsienia ziemi nie są tylko groźbami, ale już karami nieba za grzechy; pamiętał też wersje, że trzęsienie ziemi powstaje przez ruchy ogona Lewiatana lub wskutek zaburzeń Koracha i jego towarzyszy w podziemiach... a teraz!

Dowiedział się też Jicchok, iż przypływ i odpływ morza są zjawiskami spowodowanymi przez wpływy przyciągające księżycyca i słońca. Znowu powstał wyłom w murach jego prawowierności. Więc nie można i nie potrzeba było na-

wet wywołać przyływu i odpływu morza za dotknięciem laski Mojżesza *rabenu*.

Następnie opowiedział Szlojme Jicchokowi o istocie i sile pary i elektryczności. Opadły temsamem zasłony z tajemnic fabryk, kolei i telegrafu.

Każda nowa wiadomość naukowa była gromem, rozbijającym drewniany, spruchniały system wiary zakonu i rozświetlającym daleki horyzont. Przytem szowinistyczny dotychczas talmudysta musiał podziwiać arcydzieła obce zakonowi, wyszłe z rozumu i pracy nieżydów.

— A zatem „goje“ nie są tem, za co ich dotąd uważałem, a w badaniu i zużytkowaniu prawdy przewyższają „naród wybrany“!

Konferencye owe naukowe z rozwiniętym chłopcem wprowadziły Jicchoka na całkiem nowe tory. Przez wybite szczeliny przedarło się do krytycznego jego rozumu wiele światła. Talent wrodzony, rozwinięty tryb logicznego myślenia i intuicya podały teraz sobie ręce i parły go naprzód... Przez ciernie i osty, borykając się z upiorami tradycyj i widmami żrących powątpiezań, kroczył wciąż wyżej... Teraz zaczęła mu w głowie świtać idea, iż zjawiska przyrody nie są przypadkowemi, ani też dowolnem narzędziem w czyichś rękach, ale są zespolone ze sobą i całym wszechświatem, mechanicznym niejako łańcuchem przyczyn i skutków, których poznanie jest mądrością, a użytecznością — ich zużytkowanie dla dobra ludzi...

Chwile, spędzane na ciężkiej ze sobą walce wydały mu się latami, tyle w nich cierpiał i myślał:

— Gdzież prawda? gdzie?

Szale niedługo się wahały.

Wkrótce jako pewniki ugruntowały się w nim przekonania, że wszystko co dotąd za cud uważał, nie płynie z rąk jakiejś osobowej siły twórczej, i że martwy talmudyzm jest jego braciom zawalidrogą w przekształcaniu się na ludzi mądrych i użytecznych.

Był już innym człowiekiem.

Gdy po raz pierwszy to sobie powiedział, ogarnęło go głębokie wzruszenie. Usiadł na przyzbie mocno przygnębiony. Niebo nad nim było ciemne, jak całun pogrzebowy, nie świeciła na niem ani jedna gwiazda. Wokół żaden go głos nie dochodził. Jicchok uczuł się samotnym i biednym. Nie znał istoty, którejby mógł otworzyć tajniki swej duszy, źródła bólów swych i radości; nikogo, coby mu wskazał ścieżkę dalej... Żal ścisnął mu serce i czarnej nocy powierzył rozpalone westchnienia; nakoniec wybuchnął gorącym, wstrząsającym płaczem.

Płakał — na grobie dawnego Jicchoka.

Trwało to dość długo, ale ulżyło mu trochę. Wszedłszy do izby, rzucił się na twarde swój tapezan i rozmyślał o nowych cudach i bóstwach, które od niedawna poznał, a które wzbudziły w nim gorące pragnienie osiągnięcia szczebli drabiny, wiodącej: do światła, do prawdy.

Codziennie schadzał się z młodym swym sąsiadem. W zdolności myślenia więcej odeń rozwinięty, nie posiadał Jicchok jednak materiału naukowego, czego serdecznie małemu swemu mistrzowi zazdrości.

Prawie z zawiścią patrzył na malca, gdy ten skacząc, wołał rozpromieniony :

— Jestem pierwszym „premiantem !“ Skończyłem już szkołę.

— I cóż teraz poczniesz? — pytał Graf.

— Pojadę do wyższych szkół.

— I cóż?

— Będę dalej się uczył. Co wy myślicie, reb Jicchok, że ja będę tak żył, jak moi rodzice? Że ja mam ochotę niby kiepska maszyna 16 godzin na dzień w cuchnącej izbie robić czapki chłopskie? że moja żona będzie haratać się cały dzień z babami o jaja i cebulę, jak wasza matka?! Nie głupim!

— A cóż z ciebie będzie?

— Ja będę doktorem, będę leczył ludzi; albo zostanę inżynierem, będę budował mosty, koleje i prowadził fabryki.

— Ba, a zanim do tego dojdiesz!

— Owa, czyż to ja pierwszy? Jam najlepszy uczeń — z dumą wykrzyknął żwawy malec. — Mnie profesorowie przyrzekli pomoc i lekcyę. I tak to jakoś będzie.

Na poparcie swych słów opowiedział Szlojme znane sobie biografie kilku ludzi, co wyszedłszy

<http://rcin.org.pl>

z pod słomianej strzechy, stali się później nauczycielami i ubóstwianymi mistrzami swego kraju.

— Bądź co bądź — zakończył studencik — ja tam Ameryki nie odkryję, lecz nie będę żył jak bydlę.

— Ach, kto wie, wiele jeszcze Ameryk czeka swych odkrywców — myślał Jicchok w tej chwili. — Jabył może odkrył nową, albo braci mych wprowadził do dawno odkrytych, a im nieznanym krain.

W posępne popadł marzenia. Jakiem zadowoleniem przejmowało go dawniej przewyciężanie kazuistyki talmudycznej, jak wielkim i zasłużonym widział się w snach przyszłości, kiedy przypuszczał, iż potrafi niejedną rozwiązać zagadkę, n. p. co oznaczają pewne słowa sławnego „tinity“ lub ciemne litery biblii. A teraz — łaza zawisła mu u powiek. Na czem stracił najpiękniejsze lata młodociane? W co się obróciły długoletnie, bezustanne wysiłki jego i „badania!“ Teraz ten chłopiec dziesięcioletni wydaje mu się mędrcom, jego wiadomości — skarbem królewskim, jego widoki na przyszłość — rajskimi.

Bo i czegoż lepszego może dusza zapragnąć! Czerpać bezustannie z krynicy nauk... odsłaniać zakryte oblicze świata i natury... tworzyć dzieła co ludzi wzbogacą, byt ich uprzyjemnią, uszlachetnią, podniosą... Jakie błogie myśli — co za szczytne cele!

— A czemżeż ja jestem? — wołał z rozpaczą. — Czemżeż będę? Tem, czem mój ojciec, czem

moi szwagrowie, tem, czem jest ta cała rzesza, cały nasz „kuhol“ (gmina). I wiecznie żyć będę w nędzy i ciemności! Podczas gdy inni pną się coraz wyżej, odkrywają Ameryki, wynajdują telegrafy i kto wie, co jeszcze robią — ja nie znam nawet małej części świata!

— Światła, światła! marzył teraz bezustannie, nie mogąc tego słowa głośno wymówić. I dnie, spędzane przy talmudzie nad myślami wcale nie-talmudycznymi, noce bezsenne, w których był łupem najbujniejszych, najdzikszych fantazyj, stały się dlań męczarnią nieznośną.

Bole te jednak sprawiały mu przyjemność.

— Lepsze one, niż bezmyślność, niż gnucie żywcem — mniemał — zwłaszcza, iż ja się w czas opamiętał, iż dla mnie jutro jeszcze nie stracone.

XI.

Szłojme nauczył Jicchoka abecadła polskiego i niemieckiego i dał mu za mały pieniądz zużyty elementarz.

Elementarz ten Jicchok ucałował i zabrał się z zapalem do studyów.

Naturalnie z zachowaniem największych ostrożności. Był przekonany, że gdyby nie obawa przed policją, ukamienowaliby go koledzy i znajomi, zastawszy go przy czytaniu „trefy-pusyl“. Wiedział też, iż uniewinnić się, przekonać przeciwników nie potrafi, gdyż każdy miał mózg skamieniały lub zamknięty na cztery zamki i za-

pieczętowany napisem: „O tem i owem myśleć nie wolno“.

Radził sobie Jicchok, jak mógł. Siedział, jak dawniej w *klausz*, odosobniony w kącie, a na rozwartych foliałach przenajświętszego „*Szulchan-Aruch'u*“ trzymał swój bezbożny elementarz, zgłębiając jego tajemnice. Umiał już czytać wielkie i małe abecadło, gdy mały Szlojme wyjechał na wieś, by przez wakacye zarobić nauczaniem kilka złotych.

Wieleż to razy Grafowi się zdarzyło, iż zawistny kolega nagle się zbliżył, albo starszy *morejne* przysiadł się doń do nauki. Gdyby nie karta talmudowa w czas przewrócona celem zasłonięcia książki, gdyby nie prędkie wsunięcie jej w niezgłębione kieszenie bekieszy — miałyby Jicchok oddawna kości połamane.

W domu tymczasem szło coraz gorzej. Matka bezsilna nie mogła wstawać z łóżka, a z nią chyliła się ku ziemi jedyna podpora rodziny. Ojciec w końcu uczynił krok nadzwyczajny: przystał na pomocnika do głównego mełameda wyższych nauk talmudycznych, ale to niewiele przynosiło; raz bo mistrz sam źle się miewał, powtóre, bo szanowny reb Mendel był zleniwiałym, słabym i apatycznym człowieczkiem. W chwili gorętszej biedy lub rozbudzonej energii porywał się z protestem sam przeciwko sobie, a niebawem znowu popadał w poprzednie odrętwienie, „*lazarone'a*“.

Marjem nie narzekała na niego, gdyż nigdy

po nim niczego się nie spodziewała; czasem tylko robiła mu wymówki dlatego, że niedawno... jeździł do cudotworcy.

— Moje dwadzieścia reńskich, moje dwadzieścia reńskich — powtarzała żałośnie.

— Czyby nie było lepiej — powążył się raz wtrącić Jicchok — gdyby *mame* nie była wydała tych pieniędzy na naszą podróż do *rebe'go*, tylko zużyła je na mięso i piwo dla siebie, lub na lekarza.

Marjem się oburzyła.

— Pewnieś już u cadyka miał te myśli, *szajgecu* jakiś — sarknęła — i co dziwnego iż jego błogosławieństwo nie skutkuje.

— Co tobie znowu zajechało do głowy Jicchoku, co ci? pytał ojciec.

— Nic, lepiej posłuchajcie mnie, posłijcie po doktora.

Sprzeczał się z rodzicami, mówił, iż lekarz tyle lat się uczy, iż uzdrowił niejedną już w miesiące osobę, aż familia Grałowska zdecydowała się zasięgnąć rady medyka.

Oględziny jego niedługo trwały i odpowiedź była krótka. Skonstatował upadek sił, powolne wyczerpanie soków żywotnych i radził troskliwie się pielegnować, pić wody mineralne, używać kąpieli i t. d.

— W dobrej misce szukajcie zdrowia — powtarzał tym nędzarzom, żywiącym się zgniłym powietrzem i nadpsutemi ziemniakami.

— Wcale dobrze radzi — zauważył z gorzkim uśmiechem reb Mendel.

— Przecież coś można robić.

— Musi się.

Od tego dnia worek Marjemy coraz bardziej chudł, a ona miewała już codzień mięso, a rano mleko.

Nie codziennie jednak je pijała.

Raz w przystępie gorliwości zerwał się Jicchok wcześniej z tapczana i podał stękającej matce garnuszek mleka.

Ona zamiast wypić, rzuciła je na ziemię i zawołała oburzona:

— *Oj waj*, czegom się doczekała! Wstawszy z łóżka bierzesz się do roboty, a nie myjesz sobie wprzódki paznogi.

Szulchan-Aruch grozi za takie przestępstwo śmiercią, bo rano jest człowiek nieczystym, na jego rękach lęgną się „*klipes*“, a samem dotknięciem kała już wszystko.

Tego samego dnia zdarzyło się jeszcze większe nieszczęście. Kilka kropli mleka trysnęło z rondla pod garnki, w których grzała się zupa dla chorej. Rzecz oparła się o rabina i ten *strefnił* nietylko rosół ale i wszystkie „mięsne“ naczynia, stojące wówczas przy ogniu. Szkoda była podwójna a na stosunki Grafiowstwa — nader dotkliwą.

W Jicchoku krew kipiała.

— Dlaczego to wszystko, dlaczego? grzmiał w myśli, bo „bezbożne“ słowo głośno wyrze-

czone, doprowadzało matkę do najsroźszej irytacji.

Innym znów razem umarło w sąsiedztwie dziecko. Dowiedzieli się Grafowie o tem po upływie pół godziny — a ponieważ już po zaszłej śmierci przystawili rosół do ognia, musieli go teraz wylać na podwórze, gdyż — jak wiadomo — *malach ha'mowes* (anioł śmierci) przecina każdemu umierającemu gardło pod skórą, później umywa swój „*chałef*“ (nóż rytualny) we wszystkich wodach, znajdujących się w sąsiednich domach, z powodu czego wody te, jakoteż gotowane w nich potrawy, są niedozwolone.

I podobnej natury przeszkody tamowały wyzdrowienie Marjemy. Ona nie pijała wody mineralnej, ni wina, ale przed upłynięciem sześciu godzin od *mięsnego* nie jadła *mlecznego*, strzegła wszystkich przepisów prawdziwego zakonu i — marniała; topniało i znikało jej ciało w miarę, jak dusza rosła i wzbogacała się „dobrymi uczynkami“.

Jicchok znienawidził Szulchan-Aruch i rabinizm. Teorye i praktyki splotły się w jedno negacyi pasmo, które go mocno spętało. Był już kompletnym niedowiarkiem a teraz postanowił rozbić te kajdany, skuwające życie jego współbraci, wywrócić, z fundamentami zburzyć ciasną i niezdrową budowę, w której duchy współwyznawców mieszkały. Cóż się potem stać może? Powstanie łomot i kurzawa, ale nie na długo. Świeże powietrze, jasne, ciepłe słońce owieją siłą i blaskami ciemnych, nieświadomych, marniejących.

XII.

Nauka przedmiotów świeckich, dawniej przezeń pogardzana, obecnie wyszydzana i prześladowana przez najbliższych, miała być stem i bussolą dla jego przyszłości. Teraz czytał Jicchok już drukowanemi literami wielkie abecadło.

Jeżeli w studyach powolnym szedł krokiem, to dlatego, że zbywało mu na czasie i sposobności do pracy. Musiał zawsze uczyć się pokryjomu, a żadnej znikąd nie miał pomocy.

Teraz szczęśliwa myśl przyszła mu do głowy. Na świecie gorące, duszne lato, pocóż siedzieć między czterema ścianami modlitewni?

Odtąd chodził codziennie do pobliskiego lasu. Pod pachą trzymał księgę talmudyczną — a w niezgłębionej kieszeni — elementarz.

Było to w drugiej połowie czerwca.

Mały lasek wyglądał uroczo. Woń i świeżość wiały z sosen i świerków. Potężne dęby rozprzestrzeniały szeroko konary i kerony, służąc za siedzibę figlarnym wiewiórkom a za estradę spiewającej ptasząt republice. Roje przeróżnych muszek, komarów i motyli brzęczały, szumiały, przerywając wraz z koncertem ptasim niezamąconą ciszę napowietrzną. Mchy aksamitne i bujna trawa, przeplatana gęsto krzaczkami poziomek, borówek, ożyn; gdzieniegdzie bukietem róż dzikich, dzwonków, jaskieru lub stokrótek, to krwawymi kalinami i pokrzywami; zielone, żółte, różnobarwne kwiecie zaścielało ziemię pachnącą.

Na niej skakały gdzieniegdzie żaby szmaragdowe, to wiły się grzyby, chrząszcze lub mrówek armie. A poprzez gęste sploty liści i konarów przedierały się blaski słoneczne, złocąc i srebrząc, ożywiając i pieszcząc całusami światek leśny. Łagodne, tajemnicze szelesty i szумы igrały tak jakoś dziwnie, rozmarzająco...

Jicchok był poraz pierwszy w lesie. Jak wszyscy rówieśnicy nie umiał on odróżnić żyta od pszenicy; o istnieniu nauki botaniki nie miał pojęcia, a nie znając natury, nie miał też dotąd poczucia piękna przyrody. Teraz, może skutkiem ogólnego podniecenia umysłu, w jakim pozostawał od dłuższego czasu, stanął oszołomiony, jakby w świątyni.

Potem zaczął przechadzkę. Powoli, zamyślony, wyprostował zgarbioną postać, oddychał całą pierśią i schylał się co chwila, aby się przypatrzeć pstrej i woniejącej roślinności lub ruchliwemu krzątaniu się żyjątek, to wznosił oczy w górę, by oglądać skrawki błękitu, co się rozlał nad całym lasem, okrywając go wspaniałym baldachimem. Co tu nowości a jak cudownych!

Chodził długo a po głowie snuły mu się myśli tysiączne, zmienne, bujne, różnobarwne, jak tło naokoło. Wtem przystanął.

Przed nim zalsniła wstęga wąska, srebrzysta, wijąca się krętym wężem w dal. Brzegi niskie, oblamowane niezapominajkami, były zakryte trawą i pniakami i rzadkim szuwarem. A naprzeciwko

rozłożyły się bezmierne łąny, na których zboże zielniało i falowało pod wiatrem, jak powierzchnia wody. W błyszczącej rzeczulce odbijały się szczyty drzew drżące i jastrząb, szybujący wysoko. Od chwili do chwili rozlegał się plusk jakiś i szum, lub klekotanie bociana, to turkot niezbyt oddalonego młyna dolatywał monotownie, tu żaby dawały nurka przed niebezpieczeństwem.

Jicchok usiadł. Słuchał — patrzył — jakieś nieznane tony w nim zabrzmiały; milczące kwiaty jakby doń przemówiły, misterne formy i wonie przejęły go miękką jakąś serdeczną rozkoszą. Zadumał się, rozmarzył, zachwycony topił oczy w falach przeźroczystych, biegnących w drogi nieznane.

Tego dnia nie otworzył Jicchok w lesie żadnej z przyniesionych dwu ksiązek. Drugiego dnia znalazł się także w lesie, trzeciego i czwartego również. Błądził tu długimi godzinami, napawając się nowymi wrażeniami i widokami i powstającymi rojeniami. Raz zaszedł daleko — blisko osady jakiejś, położonej u brzegu lasu.

Tu stanął jak wryty. Miał przed sobą zwyczajną chałupę chłopską, ogrodzoną płotem, a przylegającą do dalszych budowli gospodarskich. Nic w tem nie było szczególnego, ale nadnaturalnemi wydały mu się głosy, dolatujące go z chałupki. Pierwszy o szerokiej skali, sopranowy, dzwonił tak czysto, tak miętko, tak srebrnym dźwiękiem, jak żaden spiewak leśny; drugi głęboki, silny baryton, łączył się harmonijnie z

pierwszym i obydwu te głosy splotły się spiewając jakąś pieśń cudną... poważną i uroczystą, jak najważniejsze spiewy Sądnego dnia, a melodyjną i przejmującą, jak koncerta ptasząt, których Jicchok wieczorami słuchał. A z głosami tymi zlewała się muzyka jakaś, brzmiąc wspianiałemi tonami wśród ciszy leśnej, budząc setne echa w otoczeniu i... duszy odurzonego młodzieńca.

Jak długo żył, nie słyszał jeszcze nie tak pięknego.

— Co to jest? pytał. — To głosy mężczyzny i kobiety, zapewne, ale skąd tu, kto oni?

On, co nigdy nie słyszał był spiewu kobiecego, co nie znał żadnej muzyki, prócz weselnej a żadnych spiewów prócz chusydzkich, drżał na całym ciele, drgał wszystkimi nerwami rozbudzonej swej duszy, łowiąc uchem acz nie rozumiejąc dalszego ciągu przy akompaniamencie fortepianu:

„O Panie, Panie! ze zgrozą świata

Okropne dzieje przyniósł nam czas“ itd.

Spiewający w chałupie byli widocznie na wskroś przejęci natchnionym chorałem Jeremiego i Jicchok z książką w ręku stał przed płotem osłupiały, wzruszony, serce mocno mu biło.

Trwało to niedługo. Z za progu wyskoczyła postać... Jicchok nie wiedział, jak w myśli ją nazwać... Było to czarowne jakieś zjawisko. Jicchok oddychać nie mógł, iskry sypały mu się z oczu, gdy patrzył na tę postać, skaczącą zgra-

bnie, lekko z progu na podwórze, stamtąd na przyzbę i stąd zaglądnąca do okna... Nagle wybuchła ta... postać głośnym, pustym śmiechem, który dzwonił jak najpiękniejsza melodia, i zeskoczywszy z przyzby, puściła się pędem ku ogrodowi, leżącemu za zabudowaniami.

W tej chwili wypadł z izby pan jakiś i szybko puścił się za uciekającą, śmiejąc się też wesoło i grożąc palcem.

Oboje zniknęli — a Jicchok stał na miejscu mając wzrok ciągle skierowany ku ogrodowi.

— Ot, państwo jacyś — wyrzekł po długim czekaniu i leniwym krokiem oddalił się. I dziś było mu tak błogo na sercu jak codzień, gdy wracał z lasu, tylko, że głębsza zaduma i tęsknota obsiadły mu myśl i serce.

Myślał, że śpiew był cudownym, że śpiewacy onego... śpiewali prześlicznie. Szczególnie głos tej... postaci grał w nim dotąd przejmującymi tenami, a śmiech jej brzęczał tak jakoś słodko i dziwnie...

Wolnym krokiem chodził Jicchok z głową spuszczoną i poraz setny zdawał sobie sprawę z nagłych wrażeń, przyczem — poraz pierwszy w życiu — łamał sobie głowę nad kwestyą, tak obcą talmudowi i reformatorom społecznym; mianowicie nad ważnem pytaniem: czy ulotnie dostrzeżona sukienka tej... postaci była błękitna, jak te kwiaty nad ruczajem, czy różowa?

Jakżeż — jedno z dwojga!

Gdy tak przywoływał na pomoc wszystkie

szczegóły z pamięci — zaskoczył^m go niespodzianie gwar pomieszany i tuż tłum o bardzo podejrzanych minach. Poznał w nim kolegów swoich z *klausz*.

Ścisnęli go kołem.

— I jakżeż tam, reb Jicchok — zaczął jeden z komiczną powagą. — Czyś się *morejne* stał jednym z trzydziestu sześciu *cadyków* najświętszych, żyjących na uboczu tylko dla Boga i *tory*?

— I jakżeż tam, reb Jicchok — rzecze drugi.

— Zamyślasz, jak reb Szymon *ben Jochaje* zamknąć się w jakiejś jaskini i napisać drugi *Zohar*?

— I jakżeż tam, reb Jicchok — przemówił trzeci. — Aby dokonać tych wielkich *chochmes* (mądrości) porzucasz nas biedaków samych... bez litości... bez serca...

— Nie przeczuwając, że my z tęsknoty za tobą usychamy i aż tu przylatujemy...

— By pié ze zdrojów twych nauk i ssać miód twej pobożności — dodał inny, podczas gdy reszta obejmowała coraz ciasniejszym pierścieniem zdumionego młodzieńca i częstowała go szturchańcami, szcztukami i szczypnięciami, śmiejąc się przytem ironicznie.

— Czegoż chcecie odemnie? Co się znowu stało? wykrzyknął nareszcie Jicchok przyszedłszy do siebie.

— *Morejnu we'rabenu* (tytuł rabina) nie raczył nas słyszeć — rzecze pierwszy, najdłuższy *bucher*.

— Powtórzymy raz jeszcze, ale innemi słowami. A no chłopcy, weźcie no u tego filuta jego

„*trefu pusuł*“ (książka zakazana) i papiery z kieszeni.

W tej samej chwili kilkanaście rąk obaliło Jicchoka na ziemię i utonęło w jego kieszeniach.

Strach go opanował niezmierny. Wiedział, iż jest oddawna cierniem w oku wszystkim koleżkom, a gdyby ci go złapali na gorącym uczynku, przecięliby od razu wszystkie węzły, łączące go z tutejszym światem, a może i coś gorszego by nastąpiło.

Zaczął się bronić z siłą rozpacz. Przez zaciśnięte zęby toczyła mu się ślina i luźne syki, zawierające wyrazy przekleństwa i pogardy, ale ani jęku, ani jednego wykrzyku o ratunek lub słowa prośby nie wydał z siebie.

Tamci tymczasem opanowali go. Dwaj siedzieli mu na rękach, dwaj na nogach, dwaj trzymali go za pejsy, tak iż każde podrzucanie głową w górę, nabawiało go niezmiernego bólu. Rozpoczęli wygodnie rewizyą.

Wetknęli ręce do długiej kieszeni bekieszy. Jicchok widział się już odtrąconym od rodziców, znienawidzonym i pogardzonym wszędzie, bez przytułku i pomocy, ale — wtem wyciągnęli ręce próżne i po chwili zaprzestali poszukiwania.

Stanęli rozczarowani, niektórzy jakby zawstyżeni, niektórzy w złości, aż pierwszy, herszt, zwrócił się do nich:

— Jak nie dzisiaj, to później... jestem pewny, że *szames* mówił prawdę.

— A zresztą, niechby się i wychrzcził, cóż to

nas obchodzi — dorzucił jeszcze.

— Chodźmy.

Jicchoka większe ogarnęło zadziwienie, niżeli jego prześladowców. — A gdzież może być książka? Istotnie nie miał jej przy sobie.

Wrócił do domu i układając się do snu medytował:

— Jak oni śpiewali! Ten śpiew... ten śpiew... Ale niewiedzieć: błękitna czy różowa?

XIII.

Następnego poranku wybrał się znowu do lasu. Rozumował logicznie: Po pierwsze, szkoda elementarza. Powtóre, nie inaczej, zgubił go zapewne zagapiwszy się przy tej chałupie, trzeba więc tam pójść... popatrzeć uważniej — na tę... sukienkę.

Poszedł więc i stojąc przed płotem nadśluchiwał — daremnie. Szukał na ziemi — bezskutecznie.

— A przecież — twierdził — tylko tu zgubiłem książkę. Może ją ktoś już zabrał... może znalazł ją ktoś z tej chałupy?

Nie namyślając się długo otworzył furtkę.

— Zapytam się.

W tej samej chwili ogromny pies wyskoczył z sieni i bez ceremonii uchwycił za połę długiej bekieszy Jicchoka, okazując przytem przerażającym szczekaniem zamiary jeszcze groźniejsze.

Potomek Machabeuszów stracił odwagę i dumę, jaką wczoraj okazywał wobec licznych na-

pastników i drżącym głosem jał krzyżeć :

— Aj... *oj-wej, a-marsz!*

Musiała w tem wołaniu być przykra nuta, gdyż z za progu wyskoczyła... ta postać. Sta-nęła, kierując na Jicchoka iskrzące się oczy i cudowną twarzyczkę, drgającą śmiechem, i z po-
spiechem zawołała :

— Kruczek — tutaj!

Pies przyskoczył, ona pogłaskała go i patrzyła na stojącego opodal młodzieńca w długiej wy-szarzanej bekieszy, w kapeluszu aksamitnym, z pod którego wyglądała podłużna, blada twarz, przestraszone oczy, pięknie zakręcone pejsy i kołnierz wraz z przednią częścią koszuli niedzie-wiczej czystości.

Posiadacz szacownych tych właściwości nie miał w tej chwili nic lepszego do czynienia, jak zdjąć kapelusz i stanąć w zatłuszczonej jarmułce, z otwartemi usty.

A postać ta... popatrzyła, kąty warg jeszcze bardziej zadrnęły i pędem wbiegła do chałupy, skąd wybuchła zaraz gama dźwięcznego, niepo-wstrzymanego śmiechu, połączonego z jakimś żywym opowiadaniem.

Jicchok stał jeszcze w tej pozycyi co pier-wej; pojał, co śmiech ten znaczy i zmieszał się, zaczerwienił jak burak; niewiedzieć czemu, uczuł teraz ból większy, niż przy operacyi, dokonanej na nim wczoraj przez kolegów.

Z chaty wyszedł ten sam mężczyzna, który wczoraj pewnie śpiewał barytonem. Wysoki, pię-

knej postawy, o twarzy regularnej, rumianej, ozdobionej jasnymi wąsikami i niebieskimi oczyma — stanął pan ten i zapytał:

— *Was wünschen Sie?*

Jicchok zrozumiał pytanie. Ale, wybierając się tu przed godziną, nie układał w głowie odpowiedzi. Przytem był obecnie bardziej zakłopotany z dwóch powodów: raz, że nigdy w życiu nie mówił jeszcze z człowiekiem, noszącym krótkie, eleganckie suknie i używającym innej mowy, zamiast żargonu; powtóre — że w tej chwili przywidziało mu się, iż młodego tego pana już raz widział gdzieś zbliska

Na skierowane więc do siebie pytanie, zaczął jąkać się i bąkać coś w szwargocie.

— Czy szukacie czegoś do handlu? — wyrzekł znowu młody pan po niemiecku, uderzony tem dziwnem zachowaniem się Grafa.

— Nie, panie — odrzekł Jicchok śmielej wciąż w żargonie. — Chciałem tylko się zapytać, czyście wy panie nie znaleźli książki polskiej, którą ja niedaleko stąd zgubił?

— Może elementarz polski?

— Tak, tak właśnie.

Młody pan poskoczył do chatki. Jicchok tymczasem ochłonął i dokładnie przypomniał sobie, iż pan ten był u nich w towarzystwie lekarza przy oględzinach matki. Teraz nowa myśl go zatrwożyła.

— Ot, jest i zguba — zawołał pan, wyniósłszy z pokoju książkę i patrząc uważnie na jej

właściciela. — Ale skąd ona do was?

— Uczę się z niej.

— Uczycie się po polsku?

— Tak, panie.

— Od jak dawna? poco?

— Od czasu gdym poznał, że talmud i odebrane wychowanie nie zrobią ze mnie człowieka rozumnego i pożytecznego.

Tłómaczył się z trudnością, w pospolitym żargonie, ale myśl drżących jego słów zainteresowała bardzo młodego pana. Jicchok tymczasem wziął książkę i kapelusz.

— Dziękuję wam, panie, za oddanie. Ale chciałem jeszcze o coś prosić.

— Cóż?

— Czy wy, panie, chodzicie czasem z doktorem z miasta?

— Tak.

— Jeżeli będziecie, panie, z nim u nas, u Mendla Grafa, i mnie spostrzeżecie, to niech będzie, jakobyście mnie nie znali. Nie mówcie, panie, nikomu, że ja mam książki.

— A to dlaczego?

— Dlatego panie, bo... bo ja się uczę w skrytości, bo gdyby wiedzieli, co ja robię, toby bardzo byli źli.

Młody pan wpatrzył się w Jicchoka badawczo.

— Czy to nie was — zapytał — widziałem wczoraj w lesie?

— Ja byłem tu wczoraj, ja się tu uczę, bo gdzieindziej nie mogę.

— Tak! Ale ja myślę tam, na skrócie drogi... widziałem wczoraj kilku młodych żydów, napadających jednego i jakby duszących go. Byłem niedaleko, chciałem przyskoczyć, ale musiałem uspakajać przestraszoną siostrę, tymczasem wszyscy się rozeszli spokojnie.

— Mnie właśnie wczoraj napadli moi koledzy.

— Za co to?

— Bo się uczę.

Z wyrazem zadziwienia i sympatii ujął nieznajomy Jicchoka za rękę.

— I mimo to wszystko dalej chcecie pracować?

— Naturalnie.

Teraz Jicchok nie wydał się interlokutorowi śmiesznym a żargon jego nie brzmiał dlań teraz wstrętnie.

— Chodźcie ze mną — wyrzekł młody pan i pociągnął zdumiałego, niemal przelęknionego młodzieńca za sobą do pokoju.

XIV.

Najniespodzianie w świecie został Jicchok wprowadzony do nędznie wyglądającej chatki, zamieszkałej przez bogatych przybyszów ze Lwowa, używających tutaj wyczasów wakacyjnych.

Pierwszy pokój był szczupły, niski, a przez okna jego zaglądały pęki róż i piwonii, lejąc wonie i blaski wesole. Ściany białe, nierówno lepiące, były obwieszane kilku wielkimi obrazami, na które Jicchok popatrzył ze zgrozą, gdyż przedstawiały kobiety trochę za nisko dekoltowane,

co nie licuje z powagą etyczną talmudysty. Obok okna siedziała pani w średnim wieku, trzymając na framudze książkę jakąś.

Zwróciła się ku wchodzącym. Jicchok zauważył twarz o rysach regularnych i cerze rumianej, mimo że czoło lekko było już pofałdowane a włosy srebrnymi przeplatane niemi.

— Cóż-to, Ludwisiu — zapytała półgłosem.

Syn odpowiedział jej kilku cichymi słowy i wszedł z swym gościem do alkierzyka.

— Lusi! wyrzekł. — Proszę cię na chwilę.

Od fortepianu zerwała się panienska, którą przelotnie dwa razy Jicchok widział. Ludwik wskazał gościowi krzesło, gdzie ten stanął, nie śmiejąc czy nie chcąc usiąść, i sam szepnął do siostry:

— Pamiętasz Ezofowicza?

— Jakżeżbym mogła zapomnieć! Ale co ten...

— A pamiętasz jeszcze swe wrażenia i myśli po przeczytaniu?

— Naturalnie.

— No, u takiej roztrzepanej jejmościanki nie jest to tak bardzo naturalnem.

— Cóż znowu! zagroziła Lusia, lecz ten dalej ciągnął:

— Ten, widzisz, jest także jednym z licznych Ezofowiczów, rwących się do światła i życia.

Lusia prędko obróciła się ku stojącemu młodzieńcowi, który się jej przez cały czas z natarczywą przypatrywał uwagą. Teraz wydał on

jej się całkiem innym człowiekiem.

— Wiesz, jak go spotkałem — mówił brat dalej. — Jego to właśnie ciemna gawiedź prześladowała wczoraj w lesie, (powtórnie błysk z oczu panny Lusi ku Jicchokowi) do niego należy książka, którą wczoraj znalazłaś, gdyż mimo późnego wieku i doznawanych prześladowań, uczy on się i pracuje. (Znowu przejmujące wejrzenie panią wstrząsnęło Jicchokiem.)

— I cóż?

— I cóż? czyż naszym obowiązkiem, czyż naszym zadaniem nie jest podać mu rękę i ułatwić mu drogę? Toż teraz najlepsza pora do ucieleśnienia tych wszystkich idei, jakie wrą w nas od tak dawna, i jakie za święte i zbawienne uznajemy — zawołał Ludwik entuzjastycznie.

— Masz słuszość Ludwisiu — potwierdziła i jakby chcąc wziąć się do wypełnienia powyższego programu, objęła spojrzeniem Jicchoka.

— Wiesz Ludwiku — szepnęła za chwilę.

— Ten twój Ezofowicz ma bardzo piękne oczy.

— Niepoprawną jesteś! — krzyknął brat niecierpliwie.

— Ależ mój panie gorąco kąpany, cóż mam robić?

— Co robić? Właśnie nad tem się zastanówmy.

— On tymczasem czeka.

— Prawda. Wiesz? rozmówię się z nim teraz, a później ułożymy plan akcji.

— Przeciwno nudnym tym wakacyom.

Usiadła znowu przy fortepianie, przeglądając jakieś ilustracye, a Ludwik ujął Jicchoka za rękę.

— Rozumiem zupełnie wasze pragnienia i dążności — przemówił doń po niemiecku. — Jam wychowany we Lwowie, wśród ludzi wykształconych i wolnomyślnych. Świata, z którego wy pochodzicie, nie znam, lecz mam współczucie dla myśli waszych i silną wolę, rozwijać je, wspierać, pomocą moralną i umysłową ogrzać, by dojrzały pięknym kłosem i wydały pożywne ziarno dla biednej ciemnej mej braci.

Zesłów tych gorących Jicchok mało co rozumiał, gdyż ton ich i język nie był mu przystępnym, opanowało go jednak uczucie sympatyczne ku młodemu, pięknemu panu, który go pociągnął na sofę i dodał:

— Jak wam na imię?

— Jicchok Graf.

— A ja nazywam się Ludwik Bauer. Przepędzamy teraz tu miesiące letnie, zresztą mieszkamy we Lwowie. Ja kończę w Krakowie medycynę i czasem towarzyszę tutejszemu lekarzowi do chorych, dlategoście mię z nim widzieli.

— Medycyna musi być piękną nauką — szepnął Jicchok, który tymczasem oswoił się z niezwykłością położenia i ogarniał okiem to Ludwika, to jego siostrę.

— Oh, tak! — zawołał Ludwik. — Bo i cóż piękniejszego nad zawód lekarski! Medycyna wyrywa naturze jej tajemnice, walczy z nią jej własną bronią, zwycięża; przynosi zdrowie, mo-

żność pracy, szczęście rodzinom i społeczeństwu. Dobry medyk, mojem zdaniem, ma też wielkie przed sobą zadanie socyalne: jest sługą i apostołem pięknej Hygei greckiej, rozszerza pożywne owoce swej nauki w masach, uczy zapobiegać chorobom, krzepi i rozwija ciało i spokój narodu. Dobry medyk, mojem zdaniem, ma też wielkie przed sobą zadanie filozoficzne. Powinien on z jednej strony być badaczem przyrody, sięgającym w nieznaną jej głębie, by wykopać skarby wiadomości, a z drugiej strony propagatorem konsekwencyj tych wiadomości, zawierających się w uznaniu faktu, iż zawsze i wszędzie mamy do czynienia tylko z objawami siły i materyi, skomplikowanych w żelaznym łańcuchu przyczyn i skutków, a nie z jakimiś siłami nadprzyrodzonymi.

Gdy Ludwik to mówił, patrzył Jicchok nań z natężoną uwagą, źrenice jego rozszerzyły się a czoło pofałdowało. Zdawał się zapomnąć o siedzącej opodal panience, błyskającej lazurowemi oczyma z pod długich, jedwabistych rzęs. Gdy medyk skończył, zwiesił Jicchok głowę smutnie.

— Panie — wyrzekł — powiem wam prawdę. Z tego coście mówili, zrozumiałem bardzo mało. Radbym połykać każde słówko, ale nie umiem po niemiecku.

Ludwik uczuł się zawstydzonym. Złapał się za głowę.

— Piękny ze mnie agitator — pomyślał. — Przemawiam do prostaczków językiem ksiązek i salonów.

Do Jicchoka zaś raz jeszcze wyciągnął rękę.

— Pojmuję to dobrze — rzekł. — Będę się starał błąd ten naprawić. Chcę tego szczerze, z całego serca pragnę wiedzę swoją obdzielać potrzebujących i w ten sposób być pożytecznym człowiekiem i okazać, że choć inne suknie noszę, serce moje niezmienione... jestem waszym bratem.

Te słowa zrozumiał już Graf dobrze. Spojrzał z zadziwieniem na mówiącego.

— Wy, panie?

— Ja, a cóż w tem wielkiego? Czyśmy nie jednacy ludzie? Czy nie jedno słońce nam świeci? nie jedna ziemia karmi?

— I obaj jesteście „dziećmi żydowskiemi“ — dodał Jicchok nieśmiało.

— Tak — potwierdził Ludwik. — Kto wie, czy nasi pradziadowie nie na jednym ginęli stosie za jedną i tę samą myśl? Tylko, że teraz czasy inne, i że mię traf postawił w tak korzystnem położeniu.

Słowa te brzmiały dla Jicchoka powabem takiej nowości, i tak go rozrzewniły, jak nieraz własne myśli, powstałe pod wpływem długiej przechadzki w lesie, albo jak wczorajsza muzyka.

— I z tego korzystnego położenia chcecie panie zejść do takich, co biedni są i jakby ślepi...

— Taki cel postawiłem życiu memu.

Jicchok patrzył nań z uwielbieniem.

— I ja sobie nieraz myślę, gdybym był wyżej, podawałbym rękę wszystkim, co toną w

głębinach lub zanurzeni są w błocie... ale tymczasem sam nie mogę się wyrwać z topieliska. A nieraz tak pragnę, tak tęsknię, tak wołam z płaczem: czy się nikt nie zjawi, coby mię wyciągnął i oświecił?

— Ja nim będę, przyjacielu! — wyrzekł Ludwik trochę patetycznie.

Doktorand medycyny i niedoszły rabin jeszcze raz uścisnęli sobie ręce, a panna Lusia patrzyła na nich wilgotnem okiem i wstawszy milcząco ucałowała brata w czoło.

Jicchok podniósł ku niej czarne, rozmarzone oczy a spuściwszy je prędko, zaczął Ludwikowi opowiadać dzieje swego rozwoju umysłowego i walk wewnętrznych.

Ludwik z największą słuchoł uwagą, ale wywody talmudyczne nie przemawiały już do panny Lusi. Wyszła — a Jicchok cicho i powoli skarżył się i obrazował zapasy duchowe i cierpienia tysięcy milczących lub bezskutecznie rozpaczających...

Trwało to długo. Przez rozwarte okno rozścielily się promienie słoneczne, tworząc nad ich głowami smugi świetlane, jakby ze srebrnego pyłku. W pokoju słyhać było brzęk komara i szum ogródka lub nucenie panny Lusi. Obaj młodzianie skupieni, rozgorączkowni, ściągali gwiazdy z niebios i nowe tworzyli światy.

XV.

Od tego dnia przychodził Jicchok codziennie do mieszkania „letników“. Ludwik z Lusią ułożyli między sobą program pracy na tej zaniedbanej a wdzięcznej niwie, a pani domu patrzyła na usiłowania „dzieci“, z uśmiechem pobłażliwości i zadowolenia.

Ludwik wysłuchał był spowiedzi z serdecznem współczuciem i do Jicchoka się rozentuzyazmował; on miał być pierwszym dzieckiem pragnień i dążności młodego bojownika za oświatą i asymilacją żydów; zaś panna Lusią...

Ta czarowna, szesnastoletnia panienczka pozostawała obecnie pod wpływem ilustracyj Andriollego do powieści Orzeszkowej. Z całą wrażliwością gorącego temperamentu, przejęła się współczuciem do Ezofowicza, śniła o sielance jego, szlachetności, prześladowaniu — wyobrażnia oblała postacie przeczytanej powieści tak jasnymi i ciepłemi barwami, że teraz, ujrawszy przed sobą żywego Meira, postanowiła okazać, iż jest czemś więcej, niż zwykłą, roztrzepaną a milutką pensyonarką, iż zdoła wznieść się do wyżyny, na której stoją bracia, i potrafi działać dla idei...

— Dla idei!

Tak mówili między sobą brat i siostra i przystąpili do pracy. Panienka uparła się, iż sama będzie swemu Ezofowiczowi udzielała lekcyj z polskiego, a Ludwik postanowił zająć się kształceniem jego umysłu.

Jicchok uwierzył, że ani ołowię nagle wpro-

wadzili go w krainę rajska, tak rozkoszne, tak błogie teraz dlań dni Lastały. W bujnym sadzie, wśród drzew cienistych, na miękkiej pachnącej murawie siedziała łagodna, uprzejma pani Bauer, a opodal przy stoliku wysmukły młodzieniec, którego blada, kształtna twarz świeciła żarem palących się oczu, którego ubiór z każdym dniem bywał czystszy a ruchy coraz „przyzwoitsze,“ a czasem bardziej zakłopotane i niezgrabniejsze.

Działo się to szczególnie wówczas, gdy panna Lusja siadała do lekcji. Przed chwilą jeszcze była całkiem inną istotą. Oczy jej mieniły się wszystkimi blaskami tęczy a z pod długich rzęs strzelały błyskawicami lub tryskały pustotą i swawolą. Twarzyczka różowa o rysach nieregularnych i ślicznych dołeczkach, włosy gęste, złotawe, wiecznie z wiatrem falujące lub okalające, jak dyademem główkę, kibić bogata a kształtna i elastyczna—czyniły z niej postać niepospolicie powabną. A drobne karminowe usteczka dzwoniły bezustanku, to chichotem dźwięcznym, szczerym, to szczebiotem pieszczotliwym, lub piosenką... Figlarna i żywa, jak wiewiórka, ożywiała matkę, wciągając ją nieraz gwałtem za sobą w wir płasów po trawie; rozpogadzała brata, którego zwała „senzatem,“ „wiwisektorem“, a Jicchoka olśniła blaskiem swym promiennym.

Nie widział on nigdy takiej przed sobą postaci. Oczarowała go kobiecością. Krew uderzyła mu w twarz, gdy po raz pierwszy dotknął podanej sobie rączki; ogień i dreszcz przejął

go, gdy jej wygodny, niekrepujący ubiór „wiejski“ odsłonił niedyskretnie ramię białe, jędrne, lub szyję różowawą, zaokrąglającą się sztachetnemi liniami miętko, rozkosznie. Nieznane dotąd zawroty głowy i uczucia, pulsowały w fermentującym młodzieńcu.

Przypuszczony do rodziny, nie wiedział co z sobą począć, i popełniał tysiące niezręczności. Traktowany przekąską nie mógł się prędko zdecydować: przyjąć, czy nie? acz teoretycznie był już przeciwko rozdziałowi żywności na *koszer* i *trefne*, na *mięsne* i *mleczne*. Nieśmiały, bojaźliwie stawał przed wszystkimi, wstydził się swego prostactwa i żargonu, przed mówiącymi po polsku państwem. Zachwytem przejmowały go duety brata i siostry, i fortepian. Z pokornem uwielbieniem patrzył na „trzpiona małego“, wyglądającego wśród kwiecia ogrodowego, jak wonny, wspaniały pączek, pełen tajemnic czarownic i rozkosznych obietnic.

Siadłszy do stolika panna Lusia usiłowała nasamprzód w pewien ład wprowadzić „rewolucye“ sploty włosów, często bezskutecznie, a często z tym rezultatem, iż one rosypywały się i płaszczem jedwabistym okrywały jej ramiona. Zagajenie to nie kierowało uwagi „buchera“ ku stronie naukowej lekcji. Potem panna Lusia wyprostowywała niezbyt wysoką swą figurę i zamierzając przybrać minę poważną, myślącą, jak wszystkie jej nauczycielki, z czerwonym ołówkiem w ręku brała się do przeglądania zeszy-

tów swego „elewa.“ Ale w tej chwili jakoś spotykała się z uśmiechniętem okiem mamy lub brata i zapomniawszy o swej powadze i godności wybuchała niepowstrzymaną kaskadą serdecznego, srebrzystego śmiechu.

Jicchok jeszcze bardziej tracił na pewności siebie i jękał się i bladł i raz wywrócił kałamarz. Ach, toć śmiech ten dźwięczał tak cudnie! Upajał go, oblewał swemi tonami jak fale łagodne, wonne, to znowu opryskiwał go iskrami, co żarzyły się i piekły ciało całe...

Przy tem wszystkim Graf uczył się. Bieda z nim była wielka. Umiał dużo czytać i ładnie przepisywać, nie atoli nie rozumiał po polsku. Z takich studyów niewiele odniósłby korzyści. Cóż począć? Ludwik zamyślał nasamprzód uczyć go po niemiecku, gdyż tę mowę żargonowicie lepiej rozumiał, następnie wiedział, że istnieją słowniki hebrajsko-niemieckie, nawet gramatyki. Odstąpił jednak od tego zamiaru, nie chcąc „nowego hodować Niemca“, i panna Lusja szczebiotliwą swą niemiecczyną, którą dobrze z domu władała, wykladała Jicchokowi znaczenie słów polskich; krztusiła się i mieniła na twarzy, by nie prysnąć śmiechem, tak koszlavo i cudacznie kaleczył wyrazy polskie nieprzyzwyczajony do dźwięków mowy europejskiej talmudysta. Wiele to go n. p. kosztowało trudu i wstydu, zanim się nauczył porządnie wymawiać słowo „wstrze-mię-żli-wość!“

Z książek swoich posiadał już pewien zasób

słów niemieckich i polskich, przysłuchując się konwersacyom rodzeństwa, wyuczał i domyślał się wiele — tak iż niezadługo rozporządzał już znaczną ilością frazesów i rozumiał prawie wszystko, co doń mówiono. A juści najlepiej pojmował swą mistrzynią. Patrzał jej w usta, gdy mówiła; w ręce, gdy pisała, a ona... wysoce była zadowolona.

— Przecież nie nudzę się tak wściekle! pisała do młodszego brata. Istotnie rola pedagogiczna, „misyja cywilizatorska“ bawiła ją w śmienicie.

Inaczej spędzał Jicchok czas z Ludwikiem. Z nim nie miewał już lekcyj, tylko luźne pogadanki na najrozmaitsze temata. Jicchok pytał, pytał o wszystko, co go uderzało, dręczyło, prześladowało od dawien dawna, a młody medyk odpowiadał chętnie, z zapałem apostołskim, z erudycją wysoce wykształconego człowieka. Mówił po niemiecku, starając się zastosować do poziomu inteligencyi swego słuchacza i wyjaśniając mu niekiedy trudniejsze pojęcia w żargonie.

— Znam tę gwaraę — powiedział zdziwionemu uczniowi — gdyż chodziłem we Lwowie do gimnazyum niemieckiego.

XVI.

Niekiedy cała rodzina wyruszała na spacer. Jicchok podniesiony do godności kawalera nadwornego, chodził za damami, nosił olbrzymi kapelusz i parasolkę panienki. Po drodze brał

lekcyę nauki poglądu.

W lesie robił bukieciki z poziomek i ożyn i kwiatów wszelakich. Wysilał cały swój dowcip, w wiązanke wplatał kwiecie w kształcie drogiej mu litery, i w podzięce odbierał uśmiech czarowny, słodki, który go niewymownie uszczęśliwiał, bezgranicznie!

Chciałby wówczas uścisnąć kogoś, wyczołować; pragnął przed całym światem opisać swe zachwyty, a milczał w obawie, by silniejszy ruch, by głośne słowo, nie spłoszyły migotliwych, olśniewających tych widziadeł...

— Ach, panna Lusią, panna Lusią!

Projektowała najrozmaitsze zabawy towarzyskie. Biegała po lesie, a brat z Jicchokiem gonili tę sarenkę. Jicchokowi wiatr rozwiewał poły długiej bekieszy, plątały się nogi i upadał. Ona go wtedy uderzała gałązką jaśminu rozkwitłego, śmiejąc się hucznie.

— Aleś pan niezgrabny!

Przytem zachodził tu fakt, któremu nie chciałby może wierzyć żaden elektro-technik. Po gałęzi przebiegały prądy magnetyczne od swawolnej panienki, wprawiając młodzieńca w gwałtowne drżenie. Tak karany, życzył on sobie upadać jak najczęściej. Bo też jej... jaśmin miał zapach tak odurzający... Bo z żartobliwym, gniewnym grymasem wyglądała tak ślicznie!

Swoboda panowała najnaturalniejsza.

Czasem echo roznosiło po lesie głosy duetu, któremu z rosnącym zachwytem przysłuchiwał

się były talumudysta a zawsze wesole, przeróżne piosenki Lusi rozlegały się w spółzawodnictwie z ptactwem. Jicchok był szczęśliwy, kąpał się w rozkoszach, oddychał powietrzem Edenu.

Przy tem ciągle się uczył i rozmyślał.

— Szczęśliwe te ptaszki — wymówił raz, gdy od czyszczonego na podwórzu gospodarskiem zboża, odpędzali roje ptactwa. — Mają one skrzydła i bujają po świecie, gdy my jak kamienie do ziemi przyrośli. .

Lusia zaprotestowała. Z wdziękiem, ozdobnie, jako była najlepsza uczennica, która i poza szkołą niejedno czytała, opowiadała o zdobyczach nauki, które człowieka podniosły do wyżyn niebываłych, oddając mu berło królowania na ziemi całej, w atmosferze, w oceanach, w otchłaniach.

— Prawda, że takie, jak pani, istoty są wyższe, królują...

— Co pan przez to rozumiesz? wpadła mu w słowo.

— To, co mówię. Poprostu że ja nie wiedząc o tych zdobyczach nauki, zazdroszczę ptakom, iż takie światy widzą dalekie, szybując pod obłokami, przeprawiając się przez morza...

Lusia ściągnęła brwi. Myślała że początek zdania był dla niej przeznaczonym komplementem.

— Ja — kończył Jicchok z westchnieniem — nie znam świata, ni jego cudów, nie umiem nawet o tem z książki czytać...

Wówczas Ludwik rozpoczął wykład.

Jak kierownik jakiejś czarodziejskiej panora-

my, przesuwał przed oczyma nieświadomego młodzieńca świetne, lśniące przeróżne obrazy, zabarwiając je światłami i cieniami swych tendencyj. Mówił o niebie i systemie planetarnym; o dziejach powstania ziemi i jej wewnętrznych tajemnicach; o ludach, obyczajach, bogach i religiach rozmaitych. A opowiadania jego różniły się tem od powieści siostry, że brał je jako materiały dowodowy za swojemi teorjami naukowemi o współczesnych kwestyach filozoficznych i społecznych.

Opowiadaniem o rezultatach krytyki biblij i porównawczych badań archeologicznych i mitologicznych — rozprószył zupełnie mgły i myty wyznaniowo-żydowskie, jakie jeszcze owiewały Jicchoka, pozostającego pod wpływem przyzwyczajenia i marzeń. Przedstawieniem mu stanu dzisiejszych nauk przyrodniczych i ich konsekwencyj filozoficznych wpoił weń nowy naukowy pogląd na świat. Z korzeniami wyrwał resztki chwastów dzikich i kwiatów pięknych, lecz szkodliwych z duszy odradzającego się eks-kandydata na rabina, rzucając tam nasiona świeże, bujnem, płodnem drzewem wyrosć mające.

Jicchok uważał się za króla, który ma chwile do zabaw i rozkoszy, ale zawsze przejęty myślami o sprawach ważnych, poświęca im czas i siły. Nie czuł teraz w sobie pustki i głuszy; owszem, serce i głowę zaludniły mu roje nowych, świetlanych, upajających myśli i widoków. Z entuzjatem mówił Ludwik o kulturze i umyśle-

wości współczesnej, okazując ślepemu młodzieńcowi wszystkie jej szczyble, dziwy i dobrodziejstwa. Przedstawił mu zarys dziejów ludzkości. Dzikość i barbarzyństwo panowały ongi w pojęciach i życiu. Powoli, stopniowo mroki mijały, lody i okowy, mrozące i pętające ducha, topniały, a ludzkość kroczyła wśród burz i ruin, przez krwi rzeki i stosy trupów wciąż naprzód — wyżej — ku upragnionym, przeczuwanym przez masy, określonym przez myślicieli, opiewanym przez poetów, ideałom dobra, piękna i sprawiedliwości. Z jednej strony walcząc ze swą niewiadomością wykradali Zeusowi ogień boski i zwyciężali naturę i naginali ją do swej woli — zdobywając wiedzę, sztuki, bezpieczeństwo, przyjemności. Z drugiej strony walcząc z uzurpatorami, jednostkami lub klasami społecznymi, oswobodzali się z ciemniącego ich poddaństwa wszelakiego — zdobywając wolność, prawdę, spokój dla doskonalenia ducha i wszechwiedzy...

Jicchok był w płomieniach.

— To myśli wielkie! To cele życia — powtarzał — żyć i umierać dla nich! A my wszyscy co robili dla świętych tych spraw? Czy ci wielec, czezeni, ubóstwiani mistrze talmudów i kabalistyki, przyłożyli choć jedną cegielkę do wspaniałego gmachu tego? Oni zamknęli wszystkich swych uczniów w stęchłym, kruszącym się gmachu i zabraniają wyjść z niego na świeże powietrze, gdyż wokoło świat całkiem już inny... I oni mają być przewodnikami życia, gdy w ich pismach

nie ma nic wspólnego z życiem *teraźniejszości* bujnym, szlachetnej pracy i wzniosłym celom poświęconem... Toż od czasu ich istnienia świat tyle myślał, walczył, cierpiał i działał a i teraz wciąż na tej kroczy drodze — a my? Mamy-ż być takimi jak przodkowie z przed kilkunastu wieków? Mamy-ż mówić na wszystko, co nieznane: o tem myśleć nie wolno?...

— Czy w sercach tych tysięcy i setek tysięcy, co najpiękniejsze lata życia ofiarują „naukom świętym“ tli choć jedna iskierka, zdolna do oświecenia i ogrzania ludzkości w wiekowych jej zapasach, cierpieniach i dążnościach? Nie! Z nich błogosławieni mędracy wysysają najlepsze soki ciała i ducha przepisami, iż but prawy trzeba wprzód założyć a potem lewy, iż kropla mleka „strefnia“ jedyne pożywienie chorej biedaczki. Nasi nauczyciele i rodzice wbijają tylko do głowy, iż jedynie żydzi są wybranym Boga ludem, najmędrszym i do najwyższego szczęścia stworzonym... I z ich ust nigdy nie brzmi słowo, coby się łączyło z hasłami i życzeniami myślącej ludzkości. Z ich ksiąg nigdy nie świeci rada, jak badać naturę, jak udośćkonalać rozum, czem karmić serce... W innym świecie są te pochodnie i skarbnice.

— Do tego świata ja mym braciom wrota otworzę!

XVII.

Tymczasem w najbliższym otoczeniu Jicchoka nie się na pozór nie zmieniło. Kółko młodych kolegów i znajomych było przed nim ściśle zamkniętem i zamkniętem. Wiedzano, że w nim zaszło coś nadzwyczajnego, ale on zawsze nietowarzyski, teraz tem bardziej nie pozwalał, by falujące wewnątrz potoki wylały za brzegi. Wiedzano napewno, że posiada książki świeckie, ale nie można go było schwytać na gorącym uczynku studjowania. Młodzież kipiała oburzeniem i zawiścią, wysledziła, iż Graf bywa w chatce leśnej, ale on zastawiane na siebie sieci omijał zręcznie i dumnym, wzdurliwym traktowaniem roznamiętniał napastników. W braku namacalnych dowodów jego herezyi, nie mogli oni otwarcie nań uderzyć wobec starszyny, ta zaś była przychylną cichemu, uczonemu młodzieńcowi, nie zajmując się nim bliżej.

— A niechby sobie robił, co mu się żywnie podoba—postanowił młody Sanhedrion bóżniczny.

— Usmaży się we własnym sosie. . . przecież raz kiedyś musi wystawić rogi, wówczas je uchwycimy...

Jicchok chwilami gorzkie robił sobie wyrzuty na dwulicowe życie, zresztą nosił maskę chętnie.

— Do czasu... — myślał. — Niech wszystko we mnie dojrzeje... Nie mam jeszcze z czem wystąpić.

Przygotowując się do wielkiej przyszłości, używał w pełni dnia dzisiejszego. Stał się egoistą, jak każdy szczęśliwiec, jak wszyscy zakochani.

Raz musiał w sobotę po obiedzie siedzieć w *klauz* z powodu niepogody. Umieścił się w kącie i na księdze talmudycznej rozłożył jakąś broszurkę. W około niego podniosły się ciche szepty, rozmowy na migi — układano plan szturmowy. On od czasu do czasu obrzucał wzrokiem całe otoczenie i nie dostrzegając oznak niepokojących, tonął dalej w nader interesującej książeczce.

Nagle cień jakiś padł na jego księgę.

— Drgnął — na ramieniu uczuł obcą rękę.

— Schowaj Jicchok manatki, bo napad się zbliża — ostrzegł go głos przyjazny.

Przełknięty, schwycony na gorącym uczynku, obrócił się kontrabandzista. Przed nim stanął mężczyzna około lat dwudziestu pięciu, średniego wzrostu, otyły, o twarzy rumianej, okrągłej, ozdobionej rzadkim, popielatym zarostem i parą okularów. Z pod nich wyglądały szare oczy, zazwyczaj mgliste i bezbarwne, a czasem patrzące sarkastycznie i wyzywająco. Ubiór na nim był dostatni i elegancki. Złoty zegarek z bogatym łańcuszkiem świecił z za zgrabnej bekieszki jedwabnej, a lśniące buciki skrzypiały pod długimi spodniami, uszytymi widocznie u dobrego krawca z dobrej materii.

Anomalią tą w bóżnicy chusydzkiej, jest reb Łajbele, zwany także „wnukiem brodzkiego“ (rabina). Jako pochodzącemu z wielkiego miasta i zięciowi najbogatszego obywatela, przebaczają mu zeloci czyste jego suknie i arystokratyczne maniery, zwłaszcza że wszystkim wiadomo, iż

reb Łajbele prowadzi wprawdzie sam niewielki kantorzyk, ale przytem jest dzielnym talmudystą i rygorystą we wszystkich obchodach i formach religijnych.

Z figurą tą nie miał chudopachołek Jicchok nigdy do czynienia, dlatego zdziwił się teraz niepomału.

— Jicchok! rzece po cichu reb Łajbele. — Wiesz, gdzie nasz dom? Jeśli chcesz, przyjdź tam, tak za kwadrans. W sieni, pierwsze drzwi na prawo prowadzą do mnie. Zapukasz. Będę sam i pomówimy.

Za chwilę nie było go w modlitewni.

Nie mogąc domyśleć się powodu i celu tego zaproszenia, udał się Jicchok do mieszkania *gewira* (bogacza.) Stał w pokju niedużym, umeblowanym całkiem inaczej, niż u żydów. Były tam sofya i biórko i szafy oszklone, za któremi widniały grzbiety książek. Na sofie leżał gospodarz, w wygodnym surduciku i — palił cygaro.

Jicchok nie mógł własnym oczom wierzyć. Usiadł na najbliższem, wskazanem sobie krześle.

Gospodarz podał mu papierosy.

— Dziękuję, nie palę.

— Powiedz odrazu, boisz się, sobota.

Z tego, co przed sobą widział, osądził Jicchok zaraz, z kim ma do czynienia. Odrzekł więc bez wahania.

— Nie wierzę w to.

— No, to dobrze — zauważył „wnuk brodzkiego,” — że przedemną nie chcesz grać komedyi.

Wyciągnął się na miękkiej sofie.

— Widzisz, ja z tobą także jestem otwarty. Zeszliśmy się na jednym punkcie. Nie wierzymy w to, co starzy. Mogę ci nawet powiedzieć, że złamanego szeląga nie dałbym za wszystkie ich głupstwa i paskudztwa.

— A przecież udajecie chusyda...

— Bo mi z tem dobrze. Co szkodzi kilka kwadransów nosić maskę? To wcale nie natęża, a dobrze płaci.

— Nic z tego nie rozumiem, *reb* Łajbele.

— Możesz porzucić swoje *reb*. Ja ciebie dobrze rozumiem. Ta głupia hałastra nienawidzi ciebie i to mi wystarcza. Wszak prawda, że nią pogardzasz?

— Tegobym nie powiedział. Żal mi ich, lituję się nad nimi.

— Ba, a sami chcą być głusi i ślepi.

— Nikt im oczu nie otwiera...

— Może ty chcesz być ich prorokiem?

— Jak będę miał siły...

— A sił tych szukasz w nauce? Prawda? Zaznajomiłeś się nawet z Bauerami...

— Prawda.

— Jest tam ładna dziewczyna — i „wnuk brodzkiego“ z zadowoleniem mlasnął językiem jak wytworny smakosz.

Jicchok nagle się zamienił i niecierpliwie obrócił.

— No, no, Jicchok... nie myśl nic złego. Wolę swoją żonę, bo głupia a tłściejsza od tamtej..

— Czegoż chcecie, reb Łajbele?

— Prosiłem się, abys to reb porzucił. Dość, że znam ciebie i chciałem pomówić. Nie jestem ci bratem ni swatem, ale dobrze ci życzę, bo doprawdy plunąc chciałbym kiedyś na tę hołotę, na tę bandę osłów i łotrów i świń. Dobrze, że choć jeden się wyłącza. Ty to czynisz, aleś za naiwny. Poco się uczysz?

— Aby zbliżyć się do światła i prawdy.

Łajbele się roześmiał.

— Nie wiedziałem, żeś taki kabalista. Prawdy chcesz? A gdzie znajdziesz? Co znaczy prawda? Mów jasno. Chcesz nauki, aby być porządnym człowiekiem. To ładnie. Ale co ty zamierzasz? Czy chcesz puścić się na bystrą wodę i rozpoczynając studia systematyczne, szkolne, by dojść adwokatury, czy tylko uczysz się po polsku, po niemiecku i rachunków, aby cośkolwiek umieć i tem zarabiać...

— Doprawdy, nie ułożyłem jeszcze żadnego planu — odrzekł Jicchok zakłopotany. — Ale to pewna, chciałbym jak największej sumy nauki, aby być użytecznym i rozumnym w ludzkości.

Reb Łajbele popatrzył teraz nań z pewnym niepokojem.

— Seryo myślisz o prorocत्वie...

— Jeśli tak chcecie nazwać...

— Posłuchaj mnie. Jestem z domu bogaty i teraz mam wszystkiego podostatkiem. I chleba z masłem i nauki. Jednak powiadam ci i najszczęśliwszą jest świnia, gdy rozkosznie się ta-

rza w miękkim błocie. Czyż bałwan, wierzący w Boga i cadyka, mający żonę i czosnek pod ręką i pewność, że po śmierci pójdzie wprost do raju, zechce, myślisz, zamienić stan swój za szklane paciorki, które ty mu w powietrzu pokażesz?

— Kiedy my stojąc zdaleka widzimy, że to szczęście świni nie jest szczęściem!

— I cóż dasz ty chusydowi, jak wyrwiesz z niego to, co mu daje zadowolenie i nadzieję?

— Prawdy naukowe, szlachetność duszy, ideały ludzkości.

Reb Łajbełe aż podskoczył na sofie.

— Jicchok, skąd to do ciebie?...

— Mówię często z panem Ludwikiem...

— Bauerem? Ah, wiesz, gdyby on nawet miał dziesięć dyplomów doktorskich, nie dałbym mu mego dziecka leczyć, gdyż kapitalnie on głupi...

— Ooo?

— Ze swą gadaniną. Bo i cóż to znaczy?

Z zapalem, z energią zaczął Jicchok powtarzać myśli słyszane od Ludwika, o cywilizacji, jej dobrodziejstwach i owocach. Gospodarz jego słuchał, rozpędzając dym nad sobą. Graf skończył.

— Et, banialuki to.

Reb Łajbełe wykrzywił twarz w sarkastycznym uśmiechu i zaczął powoli mówić. — Za młodu nauczono mię w domu trochę po niemiecku, po francusku i matematyki. Będąc w twoim wieku, chorowałem na tę samą słabość, co ty teraz. A

że miałem wolność i pieniądze, sprowadzałem książki, jeździłem trochę po świecie, a teraz... widzisz... chusydzi nie mogą na mnie żadnej grubej znaleźć plamy...

— Ja też was nie rozumiem.

— Posłuchaj. Bauerowi wierzyłeś dużo na słowo, boś nie mógł kontrolować jego wywodów naukowych, więc i mnie musisz trochę zawieńczyć, acz ja w pomoc moim teoryom nie wzywam... spodniczki. No, no, czegoś się tak zachnął? Otóż wiedz, że większa część tych „prawd naukowych“, o których on ci tyle napłótł, to tylko bańki mydlane, to tylko takie fata morgana, to tylko urojenia i życzenia, zwane naukowo „hypotezami“. Nie wykaże on prawie żadnej teoryi, któraby nie miała tylu zaciętych przeciwników, ilu gorących obrońców, a kto wie, po której stronie słusność? Obie partye poważne, często tym samym materiałem dowodowym uzbrojone. Gdzież tu prawda? Nie masz jej.

Mówimy tu o nauce. Wiesz, są abstrakcyjne i praktyczne. Do wszystkich abstrakcyjnych da się zastosować to, cüm ci mówił, a praktyczne? Bauer się poświęca jednej z najstarszych, najpoważniejszej i najbogatszej z nauk — medycynie. I niech powie — wiele tu tajemnic, wiele jest wypadków pierwszorzędnej wagi, przed którymi wszechmądra nauka po trzecztyśiącletniem suszeniu mózgownicy stoi nieporadna i głupia? A to jest najważniejsza i najbardziej uprawiana i najwyżej rozwinięta umiejętność. Gdzież więc

prawda? nie masz jej.

Odsapnął spocony i dalej ciągnął:

— Gadał ci dużo o cywilizacji. Głupstwo-to, frazes. Ja ci powiem, co to jest kultura. Mając pieniądze, mogę mieszkać w wielkim mieście, wśród wszelkiego zbytku, mogę kupować ładne obrazy, i ładniejsze jeszcze dziewczęta i książki poważne lub tłuste. Jak masz pieniądze, jeździsz w salonowym wagonie pociągu błyskawicznego, gazety łączą cię z całym światem przy kawie porannej, widzisz wspaniałości, kąpiesz się w rozkoszach cielesnych i tak zwanych umysłowych — ale gdy nie masz pieniędzy? Zdechniesz z głodu lub zgnijesz jak szkapa z nadmiaru roboty.

Nie, bratku. Cywilizacja nie więcej nie zrobiła, tylko wydoskonaliła rozmaite rzemiosła ku zadowoleniu i nasyceciu bogaczy. Wszystkie jej „dobrodziejstwa“ to tylko rzemiosła, dostarczające słodyczy, i za to wysoko cenię kulturę, żałując tylko, iż z jej owoców mało mogę korzystać.

Ale patrzaj — mówił reb Łajbele dalej, porzucając powoli uśmiech i ton kpinkujący.

Kilka tysięcy lat trwają już hasła i pochody cywilizacji. I cóż? Czy nie mamy co kilka lat zabawki, zwanej wojną, przy której giną czasem setki tysięcy spokojnych ludzi? A poco-to? Ba, „nauki“ twe dostarczają środków, aby w jednej sekundzie i za jednym zamachem tysiące zamordować. Stąd spustoszenia, krew, rozpacz, głód, cholera — a poco?

Kilka tysięcy lat trwają już hasła i pochody

cywilizacyi. Od dawna głoszą jej apostołowie: wolność i równość powszechną. Te cacka, drogo opłacone, błyszczą już nawet na wszystkich gmachach i papierach państwa. I cóż? Puszczasz się w podróż — aż o kilka mil świat zamknięty: *halt!* granica słowa. Zabija ona bez prochu. Stajesz tam — nie puszcza cię dalej, a o kilka kroków od ciebie mieszkają ludzie, co cię nigdy na oczy nie widzieli, na których nigdy pary nie puściłeś, a mimo to nienawidzą cię z całych sił, bo wiedzą, że ty Francuz, a oni Niemcy... a poco?

Stajesz dziś na ulicy i mówisz: ten i ten pan, członek domu panującego, nie jest ideałem doskonałości — a już cię zamykają do ciupy.

Przed niektórymi wszyscy padają na kolana, a na niektórych każdy może bezkarnie plunąć.

Widziałeś kiedyś chłopca? Wygląda jak bydlę, pracuje jak bydlę, a mieszka i jada gorzej jak bydlę. I to w okresie najwyższej kultury. Może przesadzam, co?

Zresztą, pocóż daleko szukać. Jesteś żydem. Wiesz, co to znaczy? To znaczy, dlatego, żeś trafem z łona żydówki wyszedł — jesteś wszędzie pogardzony, nienawidzony i dręczony. Prawie wszędzie. Słyszałeś przecież... w Rosyi, w Rumunii, w Niemczech, u nas...

Dość Jicchok — masz owe prawdy naukowe i dobrodziejstwa cywilizacyi, które chcesz rozszerzać i prorokować. Łudzi cię błyszcząca łupina — wewnątrz jednak nie masz pożywnego owocu, jeno zgniliznę i robactwo. Rozdziel to między tych,

których tak bardzo kochasz... Ha, ha, ha!

Jicchok siedział na swem krześle z oczyma utkwionemi w gospodarzu. Temu cygaro dawno zgasło, twarz poczerwieniała, oczy płonęły. Mówił teraz z zapalem, z przekonaniem, gorąco jak Ludwik. Widocznie mocno odczuwał wszystko.

Ku końcowi jednak ostygł odrazu i kąty warg zadrgały mu konwulsyjnie.

— Słuchaj, Jicchok — powiada po chwili. — Mówię ci szczerze, najszcześniejszą jest świnia.

— Tylko — westchnął — nie każdy może nią być. Lecz bekieszowcy nasi niedalecy od niej... a dobrze im z tem... Niech więc pozostaną w pełnem swem szczęściu, a kto do innego przyszedł rozumu...

— Widzisz — tu podniósł się z sofy. — Jestem zdrów, wesół, bogaty. Mam dobrą żonkę, dzieci dwoje — więcej nie i basta! a kapitałik pewny. Gdybym miał większy, nie zakopałbym się w Zapiecku, ale to co mam, zapewnia mi tu wszystko, czego na razie pragnę... I względy ludzi. To coś warte. Posiadam też książek niemało. I to niezłe po dobrym obiedzie.

Jicchok, radzę ci — staraj się mnie dorównać. Nie mam interesu cię namawiać... jakąś słabość, trochę mi przykro, że tłumię wiecznie w sobie... żem sam... Gotówem ci dopomóc. Pomyśl tylko o tem i przyjdź do mnie.

Graf opuścił „wnuka brodzkiego“ nie wymówiwszy doń więcej ani słowa, tylko w piersiach i głosie szumiało głucho... posepnie.

XVIII.

Dręczące zmory prześladowały i we śnie rozgorączkowanego młodzieńca. — Prawda - li to? pytał. — Ażali po za czczem słowem i szalbierstwem i blichtrzem nie masz istotnie niczego? Więc prócz życia i użycia nie nie jest prawdą? Wszystko, co istnieje, ma być tylko szczeblem w drabinie, po której bogaty lub chytry dochodzi na szczyty upragnione, aby górować i bezpiecznie rzucać kamieniami w dół... A wszystkie wysiłki woli i wiedzy — to albo mgły krótkotrwałe, albo wiatry, dmące w zręcznie nastawione żagle lub spędzające burzliwe chmury... Co jest rzeczywistem, co fałszem w usłyszanem wczoraj objaśnieniu odwrotnej strony złoczonego medalu?

Obie osobistości, niosące dwa odmienne sztandary, inaczej przemawiały do sympatyj młodego Grafa. Ludwika znał od niedawna, „wnuka brodzkiego“ — od lat kilku. Przeciwno temu ostatniemu nie dotąd nie miał, wszyscy poważali świetnego komedyanta; ale Jicchok widział go z podniesioną przyłbicą i ze wstrętem myślał o człowieku, którego życie jest pasmem kłamstw i podłości dla celów tak niskich, tak haniebnych. Jakżeż pięknie wyglądał młody medyk! Gdy w naturalnem następstwie swych aspiracyj pierwszy zazdrościł szczęścia świniom, drugi dążył bezustannie ku doskonaleniu się! Gdy pierwszy, leżąc sam twarzą w błocie, nie więcej prócz błota wokoło siebie nie widział — to drugi, mając wzrok

zwrócony ku gwiazdom swym przewodnim, wszystko widział jaśniejszem, opromienionem. Pierwszy, okrywając swą nicość i hańbę eleganckim płaszczem, zeszytym z najrozmaitszych odpadków, musiał być wiecznie w obawie, by przypadek lub silniejszy wiatr nie zerwał zeń płaszczu — a drugi wszędzie był sobą i miał zadowolenie, wynikające ze zgody idei z czynami.

Jiechok już na tyle był rozwiniętym, iż owe porównania sam uczynił i poznał ich następstwa.

Mimo to wszystko — jeżeli słyszane wczoraj rozumowania opierają się przecież na faktach pozytywnych?...

Krótką noc lipcowa wydała się Jiechokowi potwornie długą, przez tyle tortur i prób myśl jego przeszła.

Z upragnieniem oczekiwał poranku, aby pójść do państwa Bauerów. Ale dzień ten przyniósł mu nową niespodziankę.

Rano po dziesiątej, gdy wrócił z modlitewni, zastał w domu dwie osoby, z których jedną znał dość blisko, a drugą poraz pierwszy widział dzisiaj.

Pierwszym — był najpoważniejszy w całej okolicy „handlarz dusz“. Zwał on się reb Cudyk, a był nader popularnym i w najszerszych kołach cenionym. Bo też „*szadchen*“ był zeń pierwszorzędnym. Wysoki, barczysty, oblicze miał czerwone, zarost szpakowaty, a brzuch okazały. Mówiąc, przymykał zawsze jedno oko a drugim mrugał tak jakoś jowialnie, że wszystkie kobiety ucie-

kały lub czerwieniły się. Z tylnej kieszeni be-
kieszki wyglądała mu zawsze brudna, czerwona
chustka. Dla partyj miał zawsze w zapasie do-
wcip, dobre słowo i niuch tabaki dla wszystkich,
dla siebie zaś — ogromną księgę zatłuszczoną,
naddartą, ale zawierającą nieocenione skarby: ge-
nealogie, metryki i bilanse majątkowe całej mło-
dzieży swego okręgu. Nie było tam tylko rysop-
isów, bo o to żaden porządny starowieca nie
pyta. Reb Cudyk wiedział o wszystkim, co się
dzieje lub nawet nie dzieje — stosownie do potrzeby;
znał tajemnice wszystkich sypialń i kieszeni
żydowskiego „obywatelstwa“ okolicznego, i pro-
wadził nader rozległą korespondencyą — w spra-
wach zawodu. Mówiono o nim, że gdyby posta-
nowił, to jest gdyby mu się opłaciło, ożenić ze
sobą ogień i wodę, uskuteczniłby to napewno.

Obecność jego zadziwiła wchodzącego Jicchoka
bardzo, nieprzyjemnem zaś uczuciem dotknęło go
powitanie.

— Oto właśnie nasz *chusen-bucher* (kawaler) —
wyrzekł reb Cudyk do towarzysza, wskazując
na przybywającego.

— *Szulem alejchem* (pokój z wami) — rzekł
towarzysz i grubą, szorstką dłonią tak serdecznie
uściskał rękę Jicchoka, że ten miasto przepisanej
odpowiedzi, wydał tylko mruczenie niechęcizy bólu.

Popatrzył uważniej na gościa.

Był to mężczyzna lat około czterdziestu.
Wzrostu niskiego, barczysty i wałkowaty, miał
głowę prawie kwadratową, okrytą płótnianym ka-

szkietem. Z pod niego wyglądały małe, zapadłe, ustawicznie przelatujące z miejsca na miejsce, oczka i nos zadarty, cebulkowaty. Gęsty, bezbarwny zarost, okrywał całą jego twarz, a z ust, zawsze rozwartych, świeciły mu białe, gęste, szerokie zęby. Ubiór tego jegomościa składał się z nowej, widocznie odświętnej bekieszy rypsowej i z pary wysokich, zabłoconych butów.

— Skąd wy teraz, *jinger man* — ozwał się do Jicchoka. Głos jego był niski i gruby, nieco ochrypli, przytem „r“ i „ch“ wymawiał nie gardłowo, jeno jak „goje“, co w żargonie brzmiało bardzo niemile i „nieestetycznie.“

— Z „*klauz*“ — odparł krótko zapytany i zbliżył się do łoża matki, która go przywołała i coś szepnęła po cichu. W tej samej chwili ojciec, reb Mendel wszedł do izby, wyjął z długiej bekieszy fiaszeczkę, podał trzy kieliszki i kilka „makowych“ placków szabasowych.

Reb Cudyk nalał.

— *Le'chajum* (na zdrowie, na życie) zawołał do Jicchoka.

— Na zdrowie i spokój wasz — odrzekł tenże, nie tykając swego kieliszka. Siedział tylko przy stole kręcąc się rozdrażniony na krześle.

— Czemuż nie pijesz? pyta *szadchen*.

— Nie pijam wódki — brzmiała odpowiedź.

Gość szeroko roztworzył oczy.

— Co to z was za „dziecko chusydzkie“ — wtrącił — kiedy nie używacie wódki?

— Ma słusność! zawołał z śmiechem reb

Cudyk. — Na sumienie, ma słuszość. Albo to wódka? lura jakaś, woda brudna, kwaśna trochę...

— My w mieście nawet porządnej wódki nie mamy — skarżył się ojciec.

— Naturalnie, naturalnie — wyjaśnił gość z miną rzeczoznawcy. — Tu wódki nie umieją robić...

— To wy tylko posiadacie tę sztukę — ozwał się „szadchen“. — Dużo to wrzucacie wapna i pieprzu, by siwucha była tęga?

Wszyscy się roześmieli, nawet Marjem na swem łożu.

I gość się śmiał głosem, podobnym do turkotu powozu.

— Ej — powiada. — Gdybym inną dawał chłopstwu, nie mógłbym dzisiaj *takiego* szukać zięcia...

Każdy łamał placek. Reb Mendel maczał go w kieliszku. Zabrakło tematu do rozmowy.

— Wiecie — ozwała się Marjem. — Ten *szmadyłnyk* (skłonny do chrztu) Morye umarł wczoraj...

— Tak? tak? rozległy się głosy ze stołu.

Szadchen splunął.

— Oby tak marnieli wszyscy twoi wrogowie Boże — szepnął nabożnie po hebrajsku. — A wiecie, co z nim teraz będzie? zapytał gospodynię domu mrugając prawem okiem, co było oznaką, iż „do-weip już mu na języku leży“.

— Pójdzie do piekła... to się rozumie.

— Ba, gdyby to... Ale to nie idzie łatwo. Jak takiego hultaja kładą do grobu, przychodzi doń anioł, by spisać protokół. Aż tu widzi — nieboszczyk ma brodę ogoloną.

„Gdzie zarost? pyta anioł.

„Urodziłem się bez zarostu i schodzę ze świata bez niego — odpowiada *rusze*.

„Tak?“ — mówi na to anioł i kułakiem daje nieboszczykowi raz w brodę, aż mu wszystkie zęby wylatują.

„Urodziłeś się bez zębów, trzeba było przyjść tu bez nich!“

Obecni wybuchli niepowstrzymaną wesołością. Najgłośniej śmiała się chora.

Swat skorzystał z ogólnego humoru.

— Jicchok — rzecze. — Czybyś nie był tak dobry przeczytać nam jakiś kawał „gemary?“

Jicchok już był zawiadomiony o celu tych odwiedzin, bił się właśnie ze sobą nad powzięciem jakiej decyzji.

— A pocóż-to? rzecze.

— Rzeczywiście, poco to? wtrącił gość, podczas gdy *szadchen* się skrzywił. — Mogę wam przecież powiedzieć, że jestem tylko zwyczajny *arendarczuk* i nie znam tak bardzo nauk świętych... Bo i jakąż ja miał młodość!

Tu *szadchen* go trącił łokciem, a on ton zmienił:

— Chcę też odzyskać coś u Boga i zięć mój musi być „*gaon*“. Wiadoma zaś rzecz, że syn wasz, reb Mendel, jest pierwszym w mieście. Mówili mi o nim właśnie wczoraj „*parnes*“ (przełożony zboru), i zięć jego, reb Łajbele, mówił mi, że lepszego interesu nie mógłbym zrobić ze swą Hindą. Ubijmy więc geszefc odrazu.

— Czy zawsze tak niezręcznie robicie interesy? mruknął doń szadchen.

— Więc jakże? Słuchaj Jicchok! wyrzekł reb Mendel.

Szadchen zaczął uroczyście:

— Reb Burech daje wam córkę, jak królewnę: umie ona i *tchinós* (modlitwy kobiece) czytać i w ogrodzie kopać i z chłopem się obchodzić. Daje ośmset reńskich posagu i przez cztery lata wikt i pomieszkanie dla pary młodej, i — tu mowca uśmiechnął się fluternie ku Jicchokowi — dla wszystkiego, co im w tym czasie przybędzie. Nadto obowiąże się: w razie, gdyby okazała się możność objęcia gdzieś posady rabinackiej przez Jicchoka, poprzeć ten wybór choćby dwoma tysiącami guldenów.

W izbie panowała cisza podczas wygłaszania tych propozycyj. Reb Mendel podkrecał pejsy; w kącie starsza siostra Jicchoka patrzyła na brata osłupiała, z rozwartemi usty, jakby po wysokości oszacowania dopiero teraz poznała jego wartość. Marjem tymczasem podniosła się w łóżku, oczy jej wilgotniały, aż nie mogąc dłużej opanować wzruszenia przywołała syna, objęła go za głowę i łzami oblała włosy jego.

— Przecież Bóg mnie nie opuścił, przecież z ciebie doczekam się pociechy — szeptała łkając.

Jicchokowi, jak tonącemu, stanęła w tej chwili cała przeszłość przed oczyma... sny i walki i dążenia i cele... a teraz to wszystko w grób rzucić i rozpocząć życie, jak reb Łajbele?

Błysnęła mu perspektywa dostatku, spokoju, wygod; wówczas będzie też mógł palić cygara w sobotę i sprowadzać gazety i książki...

Tak... ale czy wówczas istotnie będzie z siebie zadowolony? Czy ten duch, co od wczesnej młodości w nim się burzy, ucichnie, zginie, czy może zagrzmi z siłą anioła - sędziego: tyś nikczemnik!

Bo i jakżeż... Jak może myśleć nawet o tych propozycjach, on który nie należy już w duchu do tego zakonu, do tego świata, co ci w około; on który marzy, że i dla siebie zdobędzie trochę klejnotów ze skarbcza wiedzy i sztuki ludzkości, i bogaty, szczęśliwy, będzie też świecił, jako pochodnia, co rozjaśnia mroki i wskazuje prawy gościniec błędzącym...

Więc tego się wyrzec — bezpowrotnie — i dlaczego?

Dla szczęścia opisanego przez szadchena! Jestże to istotne trwałe szczęście? A co po czterech latach i po zjedzeniu funduszków? Przyjąć chyba dziadowską praktykę ojca...

Szczęście zaś to, los, przyszłość, ma dzielić jeszcze z osobą, której wprawdzie nie widział, co leży w zwyczaju, ale którą zna z opisu handlarza. To ma być jego towarzyszką dożgonna... Żoną i matką jest też pani Bauer... A ona dom swój uczyniła niebem, na którym świecą takie gwiazdy... takie dzieci...

Arendarżówna Hinda zapewne taką nie będzie. Zapewne. Trudno też żądać, marzyć, aby mogła dorównać pannie Lusi. Ach — co za porównanie!

Jicchokowi serce biło gwałtownie.

— Ta... także jest dorastającą panią i także będzie żoną... niezadługo.. Znam ją, czuję, widzę ją i mam wziąć jakąś Hindę? I zabić przedwczorajszego Jicchoka, co mówił o siewie nauki i cnoty między swym ludem, i obok szlachetnego Ludwika czuł się także lepszym, wyższym, i obok tej... Lusi czuł się błogo i tak słodko wzruszonym...

Teraz odrazu odciąć sobie jutro i nadzieję wszelką?

Nie!

Myśli te przeleciały mu w głowie błyskawicznie.

— Darmo się cieszysz, *mame* — szepnął zbladły, uwolniwszy się łagodnie z jej konwulsyjnych uścisków. I głośno dodał obróciwszy się do stołu:

— *Tate*, i wy reb Cudyk nadaremnie się trudzicie. Ja się żenić nie chcę.

Zerwali się od stołu.

— Co? krzyknął szadchen zdziwiony.

— Jakto? zawołał wzburzony arendarz.

— Jicchoku, moje słodkie dziecko — ozwała się z płaczem Marjem.

Ojciec stał w niemem osłupieniu.

Pierwszy ozwał się szadchen:

— Jicchok, albo my ciebie nie dosłyszeli, albo ty nas.

— Słyszałem i rozumiem wszystko! odparł on pewniejszym głosem. — Ale mówię stanowczo: nie chcę... nie mogę...

— Toż to dla ciebie szczęście! krzyknął swat.

— Nie chcę.

— Daję tysiąc, okrągły tysiączek! huknął a-rendarz.

— Nie...

— Jicchok, miejże rozum — zbliżył się doń ojciec. — Całe miasto będzie ci zazdrościć... świat cały... masz tu prawie pewność zostania rabinem.

— Nie chcę...

— Jicchok, dopomożesz swoim starym, biednym, schorzałym rodzicom! jęknęła matka.

— Bez tego z głodu zginiemy — dodał ojciec bliski płaczu.

— I ja chyba starą panną zostanę — pisnęła siostra z kąta.

Wszyscy go otoczyli, żywo mówili i gestykulowali razem, a on ledwie stał na nogach.

— Umieram z natężenia... przy robocie koło niego... i nie mam ani grosza a on wyraźnie chce mej śmierci! krzyknęła matka padłszy zemdlna.

Jicchok wodził po obecnych okiem zmąconem. Czerwienił się, to bladł na przemian a myśli tańczyły mu dziko po głowie.

— Reb Cudyku wyrzekł nareszcie — dajcie mi czas do namysłu!

Wszyscy odetchnęli.

XIX.

W kwadrans później udał się Jicchok do lasu, jak zwykle. Miał nadzieję w cichej ustroni u ludzi rozumnych i życzliwych pozbyć się gnio-

tących jego serce i umysł ciężarów.

Znalazłszy się na skrócie drogi leśnej — ujrzał wychodzącego z pomiędzy drzew szadchena.

Jicchok był zdarzeniami ostatniej doby tak zdenerwowany, iż teraz wpadł w złość.

— Czegóż ci ludzie chcą odemnie? czemuż mnie prześladujecie? zawołał głośno do stojącego obok siebie reb Cudyka.

Ten ocierał czerwoną chustką błyszczące kroplistym potem czoło.

— Zaczekaj, zaczekaj młodzieńcze! mówił sapiąc ciężko. — Tylko powoli. Ot najlepiej usiądźmy.

I zatknąwszy za pas poły bekieszy, rozłożył na trawie swą chustkę i usiadł wygodnie.

— Ależ czegóż chcecie? powtórzył Jicchok niecierpliwie.

— Usiądźże koło mnie, kawalerze. Uf, tak się spocilem, pędząc od was do lasu. No, zgadłem jednak, jesteś.

— Naumyślnie dla mnie-ście tu przyszli.

— A tak.

— Mówiłem przecież w domu raz, a teraz nie mogę nic dodać. Proszę, dajcie mi teraz pokój.

Handlarz dusz patrzył na rozgorączkowanego młodzieńca z podełba uśmiechając się jowialnie.

— No, no, no... *tora* ani ten półdoktor ci nie ucieknie, na sumienie.

— To i wiecie, gdzie ja spieszę?

— Czy ja wiem? Oto mi pytanie!

Jicchok westchnął widząc się tak szpiegowanym.

— Słuchaj — zaczął po chwili reb Cudyk —

Chcę tu z tobą samym pomówić o interesie.

— Ależ ja nie chcę słyszeć, powiedziałem raz.

— Oo! toś gorączka. Tobie jeszcze belfera trzeba, nie żony.

Jicchokowi iskry prysnęły z oczu, lecz odwrócił się z pogardą.

Szadchen uchwycił go za kołnierz.

— Nie bądźżeż dzieckiem. Tam nikt ci nie ucieknie, a mnie wysłuchać możesz.

Gwałtem usadowił go obok siebie.

— Jesteś dzielny chłopiec — kontynuował — i masz więcej w jednym palcu niż inni w głowie. Pomówię więc z tobą, jak jeszcze nigdy nie mówiłem z żadną partją.

Słuchaj. Ten arendarczuk chce cię dla swej córki, jak nieba dla siebie. On wszystko zrobi, aby cię dostać; ma swoje powody. Jam się podjął rzecz doprowadzić do skutku i muszę to wykonać, nie chcąc stracić reputacyi na stare lata. Ty jednak jesteś przeciw nam. Hm... Dziewczynę gwałtem pod baldachim prowadzić można, chłopca — nie.

— I pocóż mi to wszystko mówicie? wtrącił Jicchok, któremu twarz poczerwieniała.

— Po to, aby cię przekonać, że źle robisz.

— To moja rzecz.

— Ta-ta-ta. Poczekaj trochę. Ze mną nie łatwa sprawa. Jestem czemś więcej niż faktorem. Jicchok, nie darmo studyuję ja od blisko trzydziestu lat ludzi. Niemała ich ilość przesunęła się już przez me ręce i kieszenie. Niejedną podróż daleką ja już odbył. Niedarmo zresztą je-

stem powiernikiem cadyka...

O ile pierwsze pochwały własne imponowały Jicchokowi, o tyle ostatnia go rozśmieszyła. Zauważył to szadchen.

— No, no, moja *fanaberyo*, nie kpij jeszcze. Rebe nie jest tem, za co go ma twój ojciec, ale i nie jest tem, za co go ty uważasz. O tem właśnie chcę z tobą pomówić.

— Jeszcze co! nie jestem ciekaw ani usposobiony do gawędy.

— Posłuchaj. Ty nie wierzysz w naszych cadyków i mędrców. Ty pragniesz uczyć się nauk nieświętych i przejść do obozu nam przeciwnego. Nie kręć głową — znam cię lepiej niż myślisz. Ale wiesz, jakie są następstwa twych zamiarów? Patrzaj. W mieście mamy dwóch lekarzy, aptekarza i jednego urzędnika. Wszyscy są dziećmi żydowskimi. A co ci robią? Podczas gdy między nami nędza i głód zaczyna panować, podczas gdy my jesteśmy zawsze celem pośmiewiska i urągań każdego goja, gdy każdy panek lub urzędniczyna może nam piaskiem zasypywać oczy — oni siedzą w kasynie i bawią się i żyją i nie chcą o naszej niedoli wiedzieć, ba! wstydzą się nas, wyrzekają... Widzisz, do czego prowadzi nauka!

Jicchok chciał mu przerwać, zaprotestować, powiedzieć coś o szlachetnym duchu cywilizacyi, o swojej miłości dla braci i uczciwych względem nich zamiarach... reb Cudyk atoli nie dopuścił go do słowa, ciągnąc dalej:

— Wiem, co myślisz: nie wszyscy tacy. Może. Lecz jakimiż są ci inni? Czego wszyscy chcą? Nie powiem: dążą, byśmy się wychrzcili, ale coś gorszego z nas zrobią — bydłeta. Pragną byśmy nie byli żydami i byśmy się wyrzekli swej jedności i czystości, byśmy zapomnieli, czemeśmy byli i czem być mamy. Czego oni chcą? Zniszczyć dziedzictwo i imię Izraela z powierzchni ziemskiej. Podczas gdy każdy lud ma swe prawa i swój kraj i wolność, my mamy wiecznie być w „goles“ (na wygnaniu), wiecznie sługami, ba połączyć się z naszymi ciemiężcami, całować te ręce, które nas katują i dokonać na sobie samobójstwa! My! My — mamy zginać, aby ciało nasze zgniłe było tłustym gnojem na rolę ich polityki i ich geszeftów. Ty się na to zgadzasz, Jicchok?

— Oczywiście, ważną rzecz poruszyliście... Zraz pomówimy o tem uważnie.

— Nie chcę. Dla mnie dość, że się nie łączysz z nimi. Widzę, że z tobą niebardzo jeszcze źle. Kochasz swój lud, chcesz jego dobra, więc w pierwszym rzędzie — aby żył. Prawda?

— Tak!

— Oni chcą go zabić. Chcą by się rozplynał między inne ludy. I nasamprzód zabijają ducha. Jicchok, ty może nie wierzysz już w Boga. Ja wierzę nawet w *tarjag mycwoth*. Tak mię wychowano, to mi daje teraz spokój i nadzieję, iż gdy skołatany, naładowany najrozmaitszemi ciężarami okręt życia się rozbije, Bóg będzie mi

miłościw. Wiara dodaje mi siłę do życia, utrzymuje ojca dzieciom, nakłada pewne cugle moim popędom i czynom. Oni chcą nam ją wydrzeć. Co dadzą natomiast? Inną jakąś religiję? Nasza najstarsza — najlepsza. Żadnej? Tem gorzej. Twój więc ludzie nauki i postępu chcą wszystko zburzyć i zniszczyć a co postawią? Dotychczas nie budującego nie zrobili. Wolę ja więc mieszkać w starym domu!

Ty Jicchok — jeżeli doprawdy chcesz coś zrobić dla *swoich*, obejdiesz się bez mieczy dwusiecznych. Będąc między nami — lepiej potrafisz coś zdziałać. Od nas może będziesz się różnić — mniejsza o to. W duchu, odrzucasz może niejedno z naszych wierzeń — mniejsza o to. Ale tego rozszerzać nie wolno. Pamiętaj, że i po sukni można poznać człowieka. Nośmy więc wszyscy suknie żydowskie. Pamiętaj, iż kto innej od nas używa mowy — ten odłącza się, łamie solidarność. Mówmy więc wszyscy po żydowsku. Pamiętaj, kto z gmachu naszego istnienia i zakonu odrzuca choćby kilka cegiełek, może zważyć już całą ścianę, trzymajmy się więc przed światem, łączmy się około zakonu żydowskiego. Jeżeli nie — to zmarniejemy, zginiemy, jak Asyryjczycy i Filistyni i Rzymianie utonęli...

Jicchok przysłuchiwał się z natężeniem zajęciem wywodom szadchena. Znał go z opinii, jako człowieka przebiegłego i doświadczonego, ale teraz go w całkiem innym zobaczył świetle.

Reb Cudyk **kończył.**

— Słuchaj więc Jicchok. Jeżeli istotnie dbasz o dobro Izraela — przyjm mą propozycję. Ożeń się, ustatkuj, będziesz miał środki do nauki. I owszem, nie zawadzi znać broń wroga. Znajomość ta bardzo nawet potrzebna. Prędzej czy później przyjdzie do walki. Długo spokój trwać nie może. Nie damy sobie wyrwać tego, co nam jest najdroższe i najświętsze! W szatach naszych dużo wprowadzie pyłu z tysiącletnich wędrowek, i dużo dziur wybiły w nich tysiącletnie burze — ale zawsze to płaszcz królewski. Nie zamienimy go na kusy fraczek. Lud wybrany Boga — nie będziemy Chamowi rąk lizać. Naród kapłanów i świętych — nie wychrzemy swych dzieci.

Tak nietylko ja myślę — ale i rebe nasz. Na dnie duszy możesz ukrywać co chcesz, ale cel nasz jest i twoim celem. Słuchaj-żeż. Połącz się z nami. Cadyk cię poprze i gdy ty sobie też zadasz trudu — będziesz mógł przewyższyć innych, o władnąć nimi, kierować... Możesz się uzbroić — nauką. Ale abyś był naszym człowiekiem, potrzeba: byś miał na życie i pracę dla sprawy. Moglibyśmy wprowadzić dać ci pieniądze — lecz nie posiadamy z twej strony gwarancyi. Dlatego ożeń się, będziesz z nami złączony. Będziesz z czasem znanym i zasłużonym. Zgoda?

Zirytowany i oszołomiony podniósł się Jicchok. Nie dał odpowiedzi rozgorączkowanemu własną mową szadchenowi i znikł w gęstwinie.

XX.

Jeżeli przed dwiema godzinami rozpacz matki i wzgląd na życie rodziców cofnęły stanowczą jego odmowę, był on teraz bezwarunkowo zdecydowanym zwalczać projekt matrymonialny wszelkimi siłami.

— Dlaczego? poco? ozwało się naraz w nim echo rozprawy sobotniej u Brodzkiego. — Dla jakiegoś urojonego widzimi się odrzucasz dobro namacalne, żywe...

Jicchok nie był jednak w stanie rozumować teraz na zimno. Tak w tej chwili cierpiał, tak mu na sercu było ciężko...

Jedno tylko stało przed nim jasno. Zgodzwszy się na propozycje małżeńskie, dopuściłby się oszukaństwa. A on czuł się za ucziwym, za dobrym.

Tak, ale jeżeli reb Łajbele miał słuszność? Gdyby reb Cudyk miał rację!

Nie mógł chaotycznych uporządkować myśli. Gotowały one się w nim, rozpryskały jak kipiączka, napełniając wszystkie żyły ukropem.

Stał na krzyżującej się drodze. Którą wybrać ścieżkę? Przedwczoraj był zupełnie w zgodzie z sobą, a teraz — zbijał szarpiące go zmory, zwalczał, ale czuł, że broń jego rozumu nie wyostrzona dość, że teraz tępieje coraz bardziej...

Ha, pan Ludwik ma rękę zdolną i wprawną, on rozwinię zaplątaną przedzę myśli.

Jicchok zastał rodzinę Bauerów w sadzie. Ludwik odczytywał matce książkę jakąś, siedząc

na trawniku, a panna Lusia przysłuchiwała się leżąc wygodnie w hamaku, zawieszonym między dwoma drzewami. Od czasu do czasu uderzała długą łaską o ziemię, wówczas hamak się rozbujał a matka wołała:

— Ależ na miłość boską, wylecisz dziecko!

— To przyjdę do Ludwika, poproszę go, a on mnie podniesie — odpowiedziała z powagą.

Ludwik się zniecierpliwił.

— Latajżesz, gdy ci to tak przyjemnie! — i silnym rzutem rozkołysał hamak, że aż uderzał o gałęzie.

Pani Bauer się zerwała.

— Ludwisiu! wykrzyknęła z wyrzutem.

— I owszem, proszę jeszcze, jeżeli łaska — przekomarzała się z bratem panienka, okryta zupełnie gęstą siecią.

Jicchok stał od kilku chwil niepostrzeżony.

— Dzień dobry — wyrzekł cicho, zdjąwszy kapelusz.

Wszyscy go powitali życzliwie.

— Cóż panu jest, żeś tak zmieniony? ozwała się pani Bauer podniósłszy na niego oczy.

Panna Lusia w hamaku ku niemu się zwróciła.

— Czyś pan cierpiący? zapytała z akcentem widocznej troskliwości.

Jicchok uczuł, że mu serce taje; wzrok i pytanie panienki napoiły go taką radością, tak go rozrzewniły, iż pchnięty nieprzepartą jakąś siłą chciał się ku niej rzucić i wypłakać się i prosić — by pozwoliła w rękę się ucałować.

— Więc ja ją tak bardzo obchodzę! myślał z niewymowną rozkoszą.

Opanował jednak wzruszenie.

— Dziękuję... bardzo dziękuję... nie mi — odparł jękając się. — Chcę tylko pomówić z panem Ludwikiem.

Doktorand zaraz doń się przyłączył.

— Niech Lusia już dalej mamie czyta — rzecze — przejdę się trochę z panem Grafem.

Skierowali do lasu.

— Zdajesz się pan być bardzo zirytowanym.

Jicchok mu się wytłumaczył. W ostatnich dniach zetknął się z niektórymi osobistościami, które zmąciły bieg czystych dotąd fal jego myśli. Wymienił „Brodzkiego“.

Ludwik znał go.

— To brudny egoista — wyrzekł. — Przytem tchórz, niedołęga...

— A przecież jego słowa dają do myślenia...

— Ale nie wytrzymują krytyki. Cóż on chce udowodnić? Że na świecie dużo jeszcze złego i głupoty! Któż o tem wątpi? Toż my najlepiej o tem wiemy, my, co nie chcemy przypatrywać się temu z założonemi rękami, jeno walczymy i działamy, by je zniszczyć, wykorzenić...

— Ba — powiada Jicchok — kiedy bo on twierdzi, iż zwrotu ku lepszemu nie widać, że wszędzie panuje tylko fałsz i niegodziwość.

Ludwik się oburzył.

— Są ludzie, w których ezarnym charakterze wszystko się odbija czarno i koszlawo! wykrzy-

knął. — I ten do nich należy. Powierzchnowa znajomość dziejów wystarczy by poznać, że ciągle idziemy naprzód, że się ustawicznie rozwijamy, bo odpoczynku, zastoju, przyroda nie zna. Nas popychają żelazne prawa, rządzące dziejami ludzkości, a dzieje te są zawsze tylko obrazem walki światła z ciemnością. Rezultaty nam wiadome okazują, iż jasność zwycięża, acz błyski jej nieraz bardzo powoli i pojedynczo przebijają gęste mroki.

— O to właśnie się rozchodzi, temu on zaprzeczył.

— Głupio. Cofnijmy się myślą o kilka wieków wstecz, a spostrzeżemy, ileśmy w tym czasie postąpili, ileśmy zapanowali nad naturą. Wówczas bojaźliwość, przesady, nieznanomość praw jej panowały, a teraz — panujemy nad nią, rozumiemy ją, kochamy, jako mistrzynią, jako żywicielkę ciała i ducha.

— On to nazwał doskonaleniem rzemioł.

— Dlaczego? dlatego żeśmy jeszcze nie doszli do doskonałości? Alboż my nie wiemy, że wszystko jest tylko względne?

— Wszystko jest tylko względne? — westchnął Jicchok.

— Prócz zasady, że żadnej bezwzględności nie ma. Ale mimo to, uważajmy, od jak dawna istnieje wiedza? Od jak dawna posiada ona wolność badania i środki i narzędzia? A przecież co już zdziałała! Jak bujnie kwitnie! a coraz szersze i głębsze żłobi sobie koryto. Coraz większa

liczba pracowników kopie jej nowe źródła, a te potem spłyną się razem i świat się w ich nurtach odświeży i każdy spragniony i cierpiący będzie czerpał z morza tego cudownego...

— Będzie, lecz dzisiaj...

— I dzisiaj nawet wysoko stoimy! Weźmy na przykład stan ogólny z przed stu lat. Wówczas większość ludzi nie była prawnie wolną, dziś żadne już ustawy nie wymagają, by jeden był podnóżkiem dla drugiego. Dziedzina czynów i zasługi stoi teraz dla wszystkich zapaśników otworem. Dzielność jednostkowa jaśnieje często, solidarne siły zbiorowe zwyciężają zawsze...

— A mimo to wielkim masom tak jeszcze źle...

— Lepiej niż dawniej. Każdy może większych dziś używać wygod, niż ongi cesarze — dzięki nauce i rosnącemu humanizmowi. Popatrzcie tylko. Uczeń zeszli już z dawnych szczudeł. Wszyscy są potroszę matematykami i lekarzami. Poznanie jednostek i narodów, ziemi i nieba, przepaści serca i zagadek umysłu, rozjaśnienie labiryntów etyki i pedagogiki, roztrząsanie form rządu, własności i rodziny są dzisiaj głównymi osiami nauki, a wszystkie ich rezultaty są wskazówkami na przyszłość. Gdy się sformułują stanowczo, będą prawidłami życia powszechnego. Drzewo poznania — to owo drzewo, pod którego cieniem ludzkość spokojnie będzie spoczywała!

Ludwik się rozgorączkował.

Znajdował się właśnie w gęstwinie leśnej, wśród potężnych dębów i buków. Przez rozso-

chate konary skąpo przepływały błyski słońca. Półmrok i chłód panował tu przyjemny. Obaj młodzieńcy przedzierali się naprzód, płosząc ptasząt gromadki, rozrzucając nogami stosy liści, które jak kobierzec ułożyły się na miękkim gruncie. Tu i owdzie krzak karłowaty lub bodiaków kępy tamowały im drogę, przyczepiając się do sukien. Ziemia rzadko zmieniała barwę jednostajną, czerwieńjąc ją poziomką lub pstrokacizną smutnych kwiatów.

Bauer na nic nie zważał. Jakby do ziemi nie należąc, w inną uniesiony krainę, kontynuował swą mowę. Słowa płynęły mu gładko, potoczyście, pełne siły przekonania i obrazów bogatej fantazyi.

Z ogniem, z głębokiem przejęciem się rozsnawał tęczowe swe marzenia. Z dumą wskazywał, że duch ludzki przychodzi powoli ale stopniowo do poczucia swej godności. Otrząsa się z zabobonnych wierzeń w swą niemoc i zależność od potęgi nadnatu. alnej i ziemskich jej sług; łamie jarzmo wszelkie, wszelką powagę nieuzasadnioną; ostrzem krytyki niszczy zapory i szranki przesądów i ograniczeń, proklamując hasła powszechnego wyzwolenia z pod wszelakiego ucisku.

Z serdecznem zadowoleniem udowadniał Jicchokowi dalej, jak duch ludzki kształci się i uszlachetnia. Kwiaty i klejnoty sztuk pięknych ozdabiają świat coraz wspanialej, poczucie piękna i formy artyzmu wydoskonalają się. Mistrze pióra,

pędzła i dłuta podnoszą, umoralniają, dają karm i rozkosz myślom i sercu wszystkich bez wyjątku — a sami są bohaterami myślącej ludzkości. Nie przemawiają już li do fantazyi, nie bawią już, a wywoływaniem wrażeniami świadomie lub nieświadomie wtórują hasłom odrodzenia.

Szczegółowo, drobiazgowo wykazywał Ludwik następnie, jak olbrzymie postępy wynalazków, techniki i przemysłu łączą świat cały w jednym uścisku, zbliżają ludy, wywołują wzajemne wymiany skarbów wszelkich i usług. Bezpieczeństwo i wygody i środki bytu, stają się przystępne wszystkim; odpadają obłudne liście figowe z wielu członków i spraw życia, człowiek przekonywa się, iż tylko dla ziemi żyje, więc pracuje dla niej i dla potomności, by wśród dobrobytu i wykształcenia pokolenia przyszłe miały przed sobą gościniec uprzętnięty z kamieni i zawad. One będą mogły wyżej i wyżej stąpać po szczeblach nauki, sztuk, użycia i humanizmu, a drabina ta jest bezgraniczną, nieskończoną!...

Z uniesieniem dokończył Ludwik ody swojej. Teraz stali obaj nad brzegiem strumyka, tak pamiętnego dla Jicchoka. Usiedli na grubym pniaku, a wokoło całkiem inny świat się rozścielał. Za nimi zieleniał las tysiącem tonów brzmiały i odcieni, przed nimi błyszczały kipiące wody i rysowały się kontury niedalekiego młyna, huczącego głośno. A tuż za ruczajem leżały ogromne łąny, w długie pokrajane pasy, a jak malowanki różnokolorowe obsypane zbożem zżętem. Zapach

świeżo skoszonego siana dolatywał z łąki pobliskiej, orzeźwiając zmysły, zmęczone upałem i natężeniem uwagi. A na polach skakały i świergotały ptactwa roje, migotały motyle stubarwne, tam rozlegały się ryki bydła i odgłosy tęsknych fujarek pastuszych, tu znów brzmiały krzyki derkaczy.

Ludwik rozglądał się rozjaśnionem okiem, odychał całą piersią.

— Patrz pan—rzecze zniżonym tonem — jak tu ładnie... jak pięknym świat, jak miłą ziemia nasza rodzinnal..

Jicbok czemś innem był zajęty. Natura teraz doń nie przemawiała, bo serce było jeszcze przepelnione ciemnością i wątpliwościami.

— Taak... powiada — lecz w chwili gdy pan tak podziwia piękno, to inni tylko smutek widzą przed sobą; gdy pan się cieszysz życiem, to inni je przeklinają... Ładny ten świat! ale wielu ludzi kona teraz na nim z głodu w tej chwili... Miły nasz kraj! ale wiele w nim bolu i rozpacz... Znam już te myśli, coście panie przedemną rozwinęli, a przecież nie mam jeszcze odpowiedzi na słowa Brodzkiego. Czemu teraz na widnokręgu tak ciemno, choć tyle gwiazd płonie? Czemu na świecie tyle nędz i jęków i przepaści, że zdają się całkowicie zapełnić tło kultury? Czyż czas prawdziwie ucywilizowany może być okryty tylu wrzodami i plamami?

— O tem właśnie chciałem mówić — przerwał Ludwik.

— Ślepym i głuchym jest ten, co nie chce uznać, żeśmy na drodze, o której mówiłem; dziecko tylko tub egoista może twierdzić, żeśmy już u kresu rozwoju i dalszych przekształceń nie potrzebujemy. Wszystko, co dotąd było, należy uważać jeno za wstęp, za przygrywkę do tego co będzie, a terazniejsze światła — za świt, za pierwsze brzaski dnia jasnego, kiedy słońce w pełnym blasku i majestacie zapanuje. Nie mówiłem o tem dotąd, aby tem wyraźniejszy stopniowo przedstawić wam kontrast.

Prawda jest, iż cywilizacya teraz już wysoce rozwinięta, ale i to prawda, iż dobre jej owoce są przystępne tylko dla jednej dziesiątej części ludzkości.

— O to właśnie mi się rozchodzi! — wykrzyknął Jicchok.

— Idziemy powoli — ciągnął Ludwik — i na każdej stacyi naszego pochodu inna warstwa wędrowców zasiada do uczty, spożywając najlepsze wytwory, które są pod ręką. Trudno się dziwić, iż stołu nie chcą odstępować nowo przybywającym...

Traf urodzenia, chytrość lub szczęśliwy wypadek, rzadko praca lub zdolność, stawia niektórych na ołtarzu, a innych pograża w nędzy i ciemnocie...

— I to sprawiedliwość? zawołał Jicchok.

— To bieg natury — rzecze Bauer — a ona nie zna moralności. Otwiera bezdenne swe czeluści, a człowiekowi wolno je omijać lub zasypywać.

Nadmieniłem wam, że się je wypełnia, ale jeszcze istnieją. Tam bieda i potrzeba tworzy z ludzi spokojne lub drapieżne zwierzęta, bezduszne lub dowcipne maszyny. To chłopstwo i część robotników. Gdzie indziej niepewność jutra i potrzeby wyższe i aspiracje wyższe bez możliwości ich zadowolenia, sprawiają: albo zaprzędanie się klasom panującym, albo ferment i burzę przeciwko nim. To uboga inteligencja. Wszak o tem pan myślałeś? — Podniósł się z siedzenia. — Pójdźmy, nie mogę rozprawiać siedząc tak wygodnie.

— Otóż z niesprawiedliwości i anomalii tych stosunków, ze ścierania się ich głośniego lub nieświadomego, powstaje wszelkie zło istniejące. Wszystkie walki, na każdym polu czynu i myśli, tylko z tego płyną źródła: każdy chce zdobyć jak największą sumę szczęścia, to jest wolności, dobrobytu, wykształcenia i zadowolenia, albo tego pragnąłby...

Choroby to odwieczne. Świat starożytny przypawiły one o śmierć. I nowożytny już przeszedł przez dwa przesilenia. Życie ludzkie upływa w sferze religijnej, politycznej i gospodarczej. Przed trzystu laty ludzkość przeżyła kryzys religijny — zwycięzko. Przed stu laty przeżyła kryzys polityczny — zwycięzko. Dlatego jestem optymistą i twierdzę, iż, gdy nadejdzie kryzys gospodarczy, to społeczeństwo też wyjdzie zwycięzko.

I jestem pewny, że przy tem już nie przyjdzie

do rozlewu krwi bratniej! Toż cały świat czuje teraz, iż choruje — czego podczas poprzednich dwóch przesilenń nie było. Może więc teraz ludzkość zapobiegnie zaognieniu się rany w czas... i poczucie sprawiedliwości i miłość powszechna zwycięży...

W każdym razie, to pewna, że po tem wyleczeniu się... co za szczęście zapanuje na globi naszym!

Tu Ludwik znów wpadł w zapal.

— *Mensch sein, heisst Kaempfer sein!* mówił przy powrocie do domu. — I pan sądzisz, iż nauka nie jest życiu potrzebną? A komuż mamy tak świętą przyszłość do zawdzięczenia? A wiedząc, że się działa dla świętej sprawy, co bardziej, będąc pewnym wygranej, należy zważać na takie puszczyki lub samolubne tchórze, jak ten tam?...

Mnie się uśmiecha życie ruchu i ideałów! Zwycięzimy! Przyszłość do nas należy. I wówczas nawet, po zapanowaniu wolności, równości i braterstwa, nie będzie spokoju. Świat-by zgnął. Pozostaną otwarte szranki nauki, zasad i problematów w kwestyach abstrakcyjnych; walki z nieujarzmionemi jeszcze żywiołami przyrody i z wrodzoną słabością ludzką; walki z ciemnotą i złą wolą w tych ziemiach, które jeszcze się nie otrzęsły z pleśni i rdzy wieków. I rozwój i doskonalenie się ludów będzie spajało złotemi ogniwami pokolenia i stolecia...

Wypowiedział to z ekstazą, jakby przed sobą

już widział raj ten czarodziejski.

I Jicchok się uniósł. Myśl jego zatraciła ostrze krytyczne, serce zapłonęło. A gdy Ludwik stanął naprzeciwko, ręce położył na jego ramionach i patrząc mu w oczy, zapytał uroczyście:

— Chcecie być budowniczym w tym gmachu, lub mołem żrącym?

— Gdybym mógł się wyrobić na pracownika! wykrzyknął on rozplomieniony.

Uścisnęli się serdecznie, ślubując wiarę ideałom; i poszli dalej, trzymając się za ręce obaj otoczeni blaskami złotego słońca, chórami ptasząt i lasem wspaniałym, jak świątynia.

XXI.

W rozmowie z Ludwikiem, Jicchok wspomniał kilka razy *szadchena*. To uderzyło Bauera, zapytał więc:

— Czyście tyle mieli do czynienia z tem indywiduum?

Graf się zarumienił. Nie chcąc jednak przed swym mistrzem żadnych mieć tajemnic a zamierzając podług jego zasad uregulować swą przyszłość, opowiedział mu szczerze o projektowanej partyi.

Byli już wówczas w domu obok drzewa, do którego był przywiązany hamak panny Lusi. Ta usłyszała też zwierzenia Jicchoka i, będąc również jego mistrzynią, miała prawo zaglądać do spraw jego. Wystawiła więc główkę z sieci i

przymrużywszy trochę oczy spoglądała ciekawie na mówiących.

— I zgodziliście się? zapytała.

Jiechok w jeszcze silniejszych stanął płomieniach.

— Nie — powiada.

Ludwik wyciągnął doń obie ręce.

— Jesteście zupełnie *naszym* człowiekiem... Pobiegnę opowiedzieć wszystko mamie. Macie teraz wolny świat przed sobą.

Jiechok pozostał wsparty o drzewo; obok niego leżąca panna Lusią nie spuszczała zeń oka. Jak cudnie, jak uroczo wyglądała. Powietrze było gorące, duszne, przesiąknięte aromatem róż, jakie obok niej kwitnęły. Światło słoneczne padało ukośnie na tę delikatnie wyrzeźbioną główkę, złocąc jej włosy bogate, przemieniając świeżą białość jej cery na alabaster przezczysty, a karmin rumieńców — na purpurę. Mała grzywka rzucała na oblicze smugi cienia, a usta na wpół rozchylone odsłaniały szereg zębów perłowych.

Jiechoka mrowie przeszło. Mimowoli schylił się nad hamakiem. Na piersiach panienki, zaokrąglających się tak zwodniczo rozkosznie, a falujących niespokojnie, były skrzyżowane jej ręce, śnieżyste małe, pulchne rączki; z za sukienki zaś widać było zgrabne meszciki, a wyżej — część pończochy, przez którą przeglądała różowa skóra. Z oczu, nieco przymrużonych, świeciły teraz zaduma i rozmarzenie — co całej twarzy

nadawało wyraz omdlewającej niemocy.

Lusia skończyła właśnie czytanie ognistej apoteozy uczucia w Dziadach Mickiewicza, a młode jej serduszko pełne było niepokoju, tęsknoty i pragnień jakichś nieokreślonych.

Jicchok się cofnął. Wzrok ku ziemi spuścił.

— Nie rozumiem — wyrzekła panienska miękkim, słodkim głosem, który młodzieńcem niby prąd elektryczny wstrząsnął, — nie rozumiem, jak ów człowiek mógł wam coś podobnego zaproponować. Czy kochacie tę pannę?

Jicchok spojrzał zdziwiony.

— Nie znam jej.

— A bez miłości jakżeż moglibyście się pobrać — zapytała.

W jeszcze większy kłopot wprowadziła patrzącego w dół młodzieńca.

— Co to znaczy bez „miłości“? przemówił głosem, jakim pytał: „co to znaczy wstrze-mię-żli-wość“.

Panna Lusia szeroko rozwarła oczy.

— Co to miłość znaczy? co to jest miłość?

Podniosła się trochę w hamaku, główkę oparła na rączce i nie patrząc na Jicchoka puściła wodze fantazyi.

— Miłość. . . to uśmiech Boga. . . sen aniołów... to chwila skradziona mieszkańcom rajy... Miłość — to marzenia wieczne, to rozkosze niebiańskie, przeżyte, przeczute w sekundzie uniesienia... to bicie serca i pożerająca tęsknota i szczęście bez granic i wymiana niemej wymowy oczu... Mi-

łość — to czar, który odrazu upaja dwoje ludzi, a ci już jedną są duszą, jedną żyją myślą, jedną nadzieją... I tak połączeni lecą w przepaście, w niebiosach, przez piekielny ogień lub przez róż morza, byle razem — ręka w rękę — nierozdzielni — wieczni. To miłość... Doświadczałeś jej pan? zapytała nagle Jicchoka, gdy dotychczas mówiła półgłosem jakby do siebie.

Jego zimne przebiegły dreszcze; to czuł jakby ogień płynący w żyłach. Nie władając sobą, znowu postąpił i zgiął się nad hamakiem a z rozszerzonych oczu jego skry się sypały. Nieznana burza w sercu mu zawrzała.

Na chwilę wzrok ten roznamiętniony spotkał się z rozmarzonym wejrzeniem paniąki. Ona się zerwała i prawie nad swą twarzą uczuła rozpalony oddech młodego mężczyzny.

— Co panu? zapytała przestraszona.

Alboż on wiedział, co się z nim dzieje? Znał gorące erotyki poezji wschodniej, ale żadna go nie upajała, jak usłyszane przed chwilą tony... Z dziewięć, objawiających się wśród traktatów „świętych“ nieraz bez zbytecznego balastu: ubioru i skromności w opisach, która mogła dorównać jej czarowi?

Drżącymi ustami poruszał, ale głos mu zamarł w gardle. Chciał coś powiedzieć, n. p. że już wie, co to jest miłość, że to uczucie bardzo bolesne, a właściwie nad wyraz słodkie... Ręka jego sama pobiegła naprzód, aby ująć za rąbek ponsowej wstęgi, jaka spadała z jasnego stanika...

W tem pan Ludwik poddał mu obie swe dłonie.

Nie zauważył pomieszania towarzysza, i gniewną wybuchnął tyradą przeciw zakorzenionemu u żydowstwa zwyczajowi zawierania wczesnych małżeństw.

Tegoż wieczora przyszło w domu Grafów do sceny burzliwej.

Marjem przywołała syna i kazała mu usiąść na krawędzi łózka. Małżonek też asystował. Odłożyła pończochy, które dostawała z bogatych domów do cerowania, co jej jaki taki przynosiło dochód.

— Jicchok — przemówiła czule. — Czemuś rano tak nas zasmucił? Czemu nie zakończyłeś sprawy odrazu?

— Dlatego... dlatego — odrzekł ten dziwnie rozmarzony — bo ja córki tego arendarza nie kocham.

— Nie kochasz? i co z tego? zapytał ojciec.

— Nie rozumiem w ogóle twej mowy — wpadła matka w słowo.

— Mendel — tu obróciła się ku mężowi — kochałeś ty mnie kiedy?

— Ja... ja? i reb Mendel wytrzeszczył oczy i w zadumie pokręcił pejsy. — Gdy miałem lat siedmnaście zbudził mię raz ojciec rano, posadził na wozie i powiedział: chodź Mendele, pojedziemy, ożenisz się. I ożeniłem się...

— I żyjemy lat trzydzieści...

— I nie myśleliśmy ani razu, czy się kochamy

— dokończył stary Graf. — Ale czy to nam przeskodziło mieć dwanaścioro dzieci?

— I pracować, aby pozostałe sześcioro wychodować? — dodała matka.

Na te uwagi Jicchok nie miał odpowiedzi, odrzekł więc stanowczym głosem:

-- Ja się jednak nie ożenię.

Ojciec zaczął gryźć przystrzyżone wąsy, co zawsze było oznaką gniewu, a matka złapała się za brudną chustkę, zastępującą czepek.

— Jicchok, Jicchok! co ty mówisz?

— Powiedziałem, i gdyby sam Bóg przyszedł z nieba, nie zmieni tego postanowienia.

Ojciec prędko wyszedł z izdebki, a Marjem już nie rozpaczała, tylko długimi godzinami szlochała pod kołdrą. Jicchoka w domu nie było widać.

XXII.

Przesiadywał większą część dnia w lesie lub u państwa Bauerow. Wszyscy się doń przyzwyczaili, wszyscy z nim sympatyzowali.

Wieczorami zapełniła się czarna, ciasna jego izdebka cudnymi postaciami, które miały twarze i kibicie prawie jednakowe, żywcem skradzione u panny Bauerówny. Młodzieniec uśmiechał się ku nim i życzliwe wzajem odbierał spojrzenia. Mówił do nich nieśmiało, a czasem bardzo gorąco i wymownie, i słyszał odpowiedzi niewypowiedziane łaskawe. Tysiące razy postanawiał na drugi

dzień taksamo rozmówić się z Lusią, tysiąc razy układał gładkie frazesy, które byłyby zapewne większą posiadały wartość poetycką od fantazyj niedawnej pensyonarki, i tysiąc razy stawał przed nią pokorny, skromny, recytując całkiem coś innego: lekcye. Ach, nauka ta bardzo mu była potrzebna, lecz czasem nieznośną się stawała, bo sprowadzała dąsy i śmieszki nauczycielki na niepoprawnego talmudystę. A niechby się cały świat śmiał, byle nie ona!...

Co miał robić! Gdyby go zapytano, czego sobie życzy, byłby odrzekł, aby dzień dzisiejszy trwał wiecznie.

I tak też było. Uczył się i słuchał mów pana Ludwika. Nawiązując do dziwnego zachowania się szadchena, rozmawiali często o rzeczach, żydów dotyczących.

Sam powiedział ex-kandydat na rabina, iż wobec wielkich tych zadań jakie ludzkość już spełniła i jakie jeszcze ma przed sobą, co znaczą sprawy bronione przez żydowstwo? Owszem, są one kamieniem na drodze ogólnego postępu.

Ludwik zaznajamiał swego elewa z nowocześniejszymi prądami na polu żydowskim. On, nieumiejący odcyfrowywać hebrajskich hieroglifów, znał lepiej dzieje hebrajczyków od fachowego judaity. Z dumą mówił o czatach, kiedy żydzi torowali gościniec cywilizującemu się światowi; z uwielbieniem — o mężach którzy byli pochodniami oświecającemu się człowieczeństwu. I Jicchok na nich zaczął innem niż dotąd patrzeć okiem. Opowiedział

Bauer dalej, jak od chwili stracenia niepodległości państwowej, zmieniała się rola historyczna żydów. Wytwory niewoli i ciemnoty: rabinizm i chusydizm nie wniosły do skarbcza myśli europejskiej, przeciwnie... A gdzie znowu żydzi pracą duchową zabłądli — tam występowali, jako obywatele pewnego nieżydowskiego kraju, miłujący drugą swą ojczyznę, mówiący jego językiem, bez ujmy dla swej żydowskości. W Grecyi i Aleksandryi mówili i pisali po grecku. W Hiszpanii maurytańskiej — po arabsku. Obecnie w Niemczech — po niemiecku, we Francyi — po francusku.

— Tych wszystkich zacnych, patriotycznych, zasłużonych mężów ja nazywam asymilatorami — mówił Ludwik. — Ich stawiam za wzory naszemu żydostwu. To tak potworne?

— Więc my mamy się zjednoczyć z ludem polskim?

— Tak.

— Kiedy nas nie chcą!

— Kto to mówi? Dlatego, że słyszysz chłopca wygadującego na żyda? On ma być decydującym? Dla mnie miarodawczym nie jest ani szlachcic, co względem swej ojczyzny stokroć gorzej zawinił niż żydzi, ani literat, gazeciarz, co ma sumienie, tak łatwe do rozdzierania i zamazywania jak jego piśmidło. W przeszłości polskiej widzę jasne duchy, zawsze żydom przychylnie, odbijające wspaniale od reszty Europy. Od Kazimierza W. do Batorego datują się najświetniejsze chwile historii polskiej. A ówczesni władcy

jakimi się okazali dla żydów? Kazimierza znacie. Pierwsi Jagiellończykowie nie uważali żydów za handlarzy, przydatnych skarbowi lub za własność jego. Chcieli ich nawet wcielić w szeregi wojsk, broniących Rzeczypospolitej... Zygmunt Stary wyrzekł słowa, których, jako idealnych, darmo oczekujemy od współczesnych mocarzy; powiedział on: Nie jestem królem sumień! (*Non sum rex conscientiarum*). Batory bronił wszędzie żydów i wydał Uniwersał, zabraniający pod najsurowszemi karami, posądzać ich o używanie krwi, za co w całym Zachodzie niewymowne znosili katusze. To są fakta z dziejów Polski, które należy zapamiętać. Późniejsze — są czarne, ależ działy się za Wazów i Sasów! Któryż Polak nie myśli z bolem i wstydem o czasach Sasów? Tych tradycyj nie należy zatem brać w rachubę. A później — co? Sejm czteroletni, Butrymowicz, Czacki. Potem — dążenia do reformy... W całym piśmiennictwie polskim nie mogę znaleźć ani dwóch pierwszorzędnych pisarzy, coby byli przeciw żydom. Owszem, najwyżsi geniusze idealizowali ich i miłowali! I w prozie za nimi przemawiali wszyscy marszałkowie literatury — prawie bez wyjątku! Mickiewicz — największy poeta, Lelewel — największy historyk, Kraszewski — największy powieściopisarz. Ich sądy, jako prawdziwych reprezentantów narodu, powinniśmy mieć na oku... A teraz w Warszawie — jakie stanowiska zajmują wykształceni a uczciwi żydzi! Tam patrzaj — nie na chłopca, który rze-

czywiście nieraz przez kupca lub arendarza cierpi... nie na żydożerezego wyrobnika literackiego, który musi być pachółkiem i błaznem ulicy, żadnej hecy jakimbądź kosztem...

Tu Ludwik wyłożył Jicchokowi szczegółowo swoje teorye uobywatelenia żydów.

— A więc prawdę mówił *szadchen* — wykrzyknął ostatni. — To my jako żydzi mamy zniknąć!

Do tej myśli nie mógł się w żaden sposób przyzwyczaić. Uczucie się oburzało.

— A przecież — utrzymywał Ludwik — sami musicie przyjść do tej zasady. Bo jakżeż? Mamy zachować żydowskość. Co konserwować? Chusydym i rabinizm, przeciwne zdrowemu rozumowi i czasowi?

— Nie.

— Konserwować obyczaje i zwyczaje, niezgodne z kulturą dzisiejszą?

— Nie.

— Konserwować obrzędy religijne?

— Nie.

— Żargon obrzydły?

— Nie.

— Socyalne, gospodarcze stosunki, które jednego żyda robią milionerem, pięciu — średnio-zamożnymi a resztę dziadami?

— Nie.

— W czymżeż mamy nadal zaznaczyć swą żydowskość? W strzeżeniu t. z. skarbów literatury staro-hebrajskiej? Europa ma teraz piękniejsze, szlachetniejsze dzieła poetyckie i etyczne od

staro-hebrajskich. Zresztą — kto chce, niech je zachowa, tak jak my zachowujemy zabytki greckie lub łacińskie. Ale żeby one miały być regulatorami naszego życia? Jako postępowiec nigdy się na to nie zgodzę. Cóż więc pozostaje? Chyba założyć państwo w Palestynie, jeżeli żydowskość bierzecie w sensie politycznym...

Przeciwno tej myśli Jicchok zaprotestował.

— Znam swoich zanadto dobrze — rzekł. — Oni czekają, aż Bóg sam weźmie w swe ręce kierownictwo w odrodzeniu Jerozolimy.

— I długo ponoś czekać będą.

— A z rąk człowieka nie przyjmą, dopóki sam Mesyasz cudami nie dowiedzie posłannictwa... Pracować ciężko żydzi nasi nie umieją, a tam nie będzie chłopów, co by na nich robili na roli przy gospodarstwie... Jakimż będzie ich kraj?

Ludwik wyłożył mu teorię naukową, przemawiającą przeciw istnieniu żydów jako osobnego narodu, i przeciw możliwości restauracyi...

— W każdym razie — zsumował Jicchok — faktem dla mnie niezaprzeczonem jest, iż staro-wiecznego żydostwa nie można pogodzić z duchem naszego wieku i że asymilacya nie jest ideą, którą by w teoryi odrzucić można było.

— Tem bardziej — kończył Ludwik — że narzuca się wszystkim, jako jedyny środek wyjścia z teraźniejszego bezprzykładnie nędznego położenia. Cóż nas może wyratować z powolnej śmierci głodowej i moralnej jak nie przywiązanie do kraju i zapięcztowanie tego związku krwią swą i potem?

Co?— Oczywiście nie, tylko program asymilatorski, gdyż pozostać tu, objąć w posiadanie wiele dziedzin myśli i pracy tutejszej ziemi, i mieć osobne dążenia i cele, niezgodne z duchem kraju, tego by społeczeństwo ścierpieć nie mogło!

Jicchok przyjął argumentacye i zasady Ludwika w skład swoich wierzeń.

Zakorzenione uczucia i nawyki dotychczasowe jakżeż małemi wydawały mu się na wielkiej niwie ideałów nowych! A z ostatnimi kto walczy? Wiatr frazesów mogący na chwilę zahuczeć, czasem coś złamać ale nie więcej. Przeciw temu wiatrowi, dmącemu w żagle ciemnoty i zabobonów, nie trudno płynąć.

Tak marzył w snach złotych o przyszłości, tymczasem szara rzeczywistość trzymała go w swych kleszczach mocno. Chwilami chciał się wyrwać z tej skorupy.

W domu wystąpił energicznie, czemu matka nie jada mięsa?

Było to właśnie podczas „dziewięciu dni“ przed rocznicą zburzenia Jerozolimy. Przez ten czas nie wolno używać mięsa w znak żałoby i umartwienia, a chora, wynędzniała w najwyższym stopniu Marjem pilnowała ściśle tego przepisu.

— A cóż tobie do tego? — odpowiedziała. I wybuchała przekleństwami brutalnemi.

— Tyś nie moim synem, wyrodku przeklęty! Bodaj cię wyrwało. Niby to dbasz o mnie, ale gdyby to było prawdą, nie wpędzałbyś mnie do grobu.

— O małżeństwie niech *mame* zapomni.

— Nie, nie, po tysiąc razy nie, zawsze będę wołała, żeś ty mym zabójcą, że zarzynasz całą familią. I jak umrę, przyjdę do ciebie i powiem ..

Znowu zalała się łzami. Jicchok, jak zawsze w podobnym wypadku, wyszedł z pokoju i na przyzbie lub w gwałtownym marszu za miasto szukał zapomnienia, a chora łamiąc konwulsyjnie ręce powtarzała głosem serce rozdzierającym:

— Boże! Ty wiesz, jakem cię kochała, jakem była posłuszna twym przykazaniom i rabinom, a czemuż tak mię karzesz? Czemu, Boże! czemu?

XXIII.

W cztery dni później był Jicchok sierotą. Matka zmarła.

Czterdzieści kilka lat trwał jej byt na ziemi. Nie stąpała nigdy po różach a cała była pokaleczona od cierni i pokrzyw; nie znała co to spokój i radość — a teraz na wieczny poszła odpoczynek.

Jicchok nie pamiętał nabytych w ostatnich czasach teoryj filozoficznych, że śmierć nie jest kresem bytu, że materya jest nieśmiertelną, więc nie ginie tylko przybiera inne formy. Teraz płakał rzewnie i głęboki smutek nim owładnął.

Rychła ta śmierć z kilku wynikła przyczyn. Zmartwienia ostatnich dni mocno wstrząsnęły wątłym organizmem Marjemy. Gasła ona zresztą powoli, ale stale z braku sił, pokarmów zdro-

wych i racjonalnych stosunków higienicznych. Dobił zaś ją upór, z jakim wytrwała przy postanowieniu, aby przedwczoraj w dzień „*tysze be'aw*“ (w dzień pamiątki zburzenia świątyni Jerozolimy) pościć, jak Pan Bóg przykazał. Nawet reb Mendel przeciwko temu powstawał i Jicchok ją błagał, aby jadła, ale ona zacięła się: od dwunastego roku życia nie zaniedbałam jeszcze ani razu postu tego, a dziś zgrzeszyć? Nie!

Pościła więc dwadzieścia ośm godzin — i na drugi dzień wyzionęła ducha.

Jicchok odsiadywał w domu siedmiodniową pokutę i w posępnej samotności rozmyślał i dumał.

Zaprzysiął walkę ciemnocie.

Zaprzysiął bój śmiertelny *Szulchan-Aruchowi*.

Zaprzysiął wojnę wszelkim szkodliwym tradycjom i zwyczajom.

Ponury i milczący siedział na gołej ziemi w pończochach, niemyty, nieczesany. Obok łóżka, na którym matka zgasła, tlił w oliwie knot za jej duszę. Patrzył na niego młodzieniec, jak migotał, to rozplómieniał się, w miarę tego jak dolewano wody lub tłuszczu.

— Wielką, jasną pochodnię zapalę ja — marzył.

— Będzie ona świeciła silnym blaskiem, na wielkiej przestrzeni, także i za twą duszę, biedna, umęczona matko moja. A przed jej światłem znikną upiory zabobonu i ślepej wiary; a bijące od niej ciepło stopi te kajdany, co skuwają nieszczęsną brać moją, aż ta wydzwignie się z

wiecznej niedoli ducha i choroby ciała.

Władze wszystkie, życie całe, tylko temu celowi poświęcę.

Zanim przystąpi do walki, musi się uzbroić od stóp do głowy.

Zbroją miała mu być siła naukowa i moralna.

Ale skądżeż je czerpać?

Był podobny do więźnia. Przez żelazną kratę okna widzi kawał świata, do celi jego dochodzą czasem błyski słońca i gwary ludzkie. I on widział trochę promieni słonecznych, i on słyszał niewyraźne głosy nauki i idei — ale dostać się w piękny szeroki świat, gdzie słońce w całym majestacie króluje, gdzie ruch pracy i myśli w pełnym jest toku, to było teraz Jicchoka celem, od którego zależała cała przyszłość.

Cóż począć? Życie praktyczne było mu mało znanem. Zarabiać na chleb nie umiał. Nie miał żadnej pomocy ni zapomogi — zapadł więc w ciężki smutek.

— Będę musiał walczyć... ciężko walczyć o kąt i kęs chleba dla siebie... osobno o krople nauki, osobno — z nieprzyjaciółmi a osobno potem, gdy działalność rozpoczną...

Nie smuciła go ta perspektywa. Owszem powtarzał po niezliczone razy, co mu Ludwik był zacytował: „Mensch sein — heisst Kaempfer sein.“

Szóstego dnia przyszedł do skromnej izdebki Grafów — młody Bauer. Cieszył się tem Jicchok, acz wiedział, że przybycie tego gościa obudzi

podejrzenia i złe języki. Był jednak już zdecydowanym rzucić dotychczasową skórę.

Ludwik opowiedział iż przychodzi się pożegnać, gdyż stąd wyjeżdżają. I namawiał raz jeszcze ze wszech sił Jicchoka by jak najprędzej udał się do Lwowa. — Tam — powiedział Ludwik — jest właśnie ten świat, o którym marzycie, tam znajdziecie to, czego szukacie i czego wam potrzeba. Tylko odwagi i wytrwałości. Lwów jest miastem europejskiem a człowiek pracowity i ruchliwy z pewnością tam nie zginie. Zresztą — mówił Ludwik — mamy tam wiele zacnych osobistości, zajmujących się sprawami żydowskiemi; mamy nawet poważne stowarzyszenia, których zadaniem oświecanie żydów. Te udzielą środków do studyów. Nakoniec nasz dom stoi zawsze dla was otworem. Ja wprawdzie niebawem wyjeżdżam do Krakowa na uniwersytet, ale w domu jest młodszy brat mój, gorliwy propagator naszych idei, i ten zajmie się wami szczerze i skutecznie. Tylko odwagi i wytrwałości!

Nakoniec oddał Jicchokowi pozdrowienia od matki i siostry i pożegnał się.

Jicchok postanowił bądźco bądź stąd się wyrwać. Ojcu nie dał mówić o małżeństwie, ale zmienił całkiem tryb życia. Większą część dnia przepędzał znowu w *klaus* — wycinając z papieru *myzrochym* (obrazy.) Wszyscy te jego wyroby cenili a w młodych chłopakach miał nawet uczni. Zadając gwałt popędom swym i potrzebom, bijąc się z myślami i tysiącznemi cierpieniami robił

Jicchok te bohomy. A przyszłość uśmiechała mu się w marzeniach i nadziejach śmiałych — a na jej niebie świeciła mu zawsze para oczu lazurowych, świdrujących... Gdyby - to znowu w nie spojrzeć i uścisnąć słodką tę rączkę!

Tak prędko nie było to możliwem. Za dwa miesiące zebrał Jicchok niespełna dziesięć reńskich z rozsprzedaży swych prac artystycznych. I w czasie, kiedy i u wrogów zaczął znów zyskiwać sympatye — nie mógł już oprzeć się pociągom rwącym go w świat szeroki do pracy, do życia.

W drugiej połowie września opuścił dom rodzinny z malutkim tłumoczkim pod pachą, Do ojca zostawił karteczkę: „Nie szukaj mnie. Idę stąd daleko pracować na większe szczęście, niż to jakiebym mógł u was osiągnąć.“

Ciemna była noc, gdy pieszo wędrował do najbliższej wsi, gdzie go nikt nie znał, aby wynająć konie do stacyi. Nie znając drogi, często potykał się i upadał. Deszczyk zimny i wiatr smagały mu twarz bladą, na której nie było ani jednej łzy żalu za domem rodzicielskim, gdzie tyle się przeżyło; za miastem, gdzie spędził młodość „górną a chmurną“.

I jego nikt nie żegnał, nikt nie błogosławił. Ani z familii ani z obcych. Uciekał od swych najbliższych, jak — zbrodzień ścigany. Gdy stanął we wsi, zapłonęła na niebie jasna jutrzienka. Z mgły i zmroku wyłaniały się drzewa zielone jeszcze i chaty, w których ruch pracy zaczął

kipieć. Niebawem niebo okryło się różowemi obłokami, z za których wypłynęła tarcza słoneczna cała w złocie i purpurze, zwiastując dzień pogodny. W blaskach stanęły osady ludzkie a krople rosy błyszczały jak dyamenty. Na polach, przez które młodzieniec przejeżdżał, stały wysokie sterty, stada wróbli ówirkały wesoło, pługi chodziły pod oziminę, rozbrzmiewały ufne pieśni oraczy a łagodny wietrzyk przewiewał, pokrzepiał.

Jicchok nie czuł tęsknoty ni obawy.

— Przyszłość do nas należy! powtarzał w myśli za Ludwikiem. — Wrócę kiedyś tutaj, ale już nie pokryjomu, nie samotnie. Z tryumfującym sztandarem tu wrócę i wokoło siebie utworzę legiony nawróconych, myślących, szczęśliwych braci. I jak z smutnej nocy piękny teraz zaświtał dzionek, tak ja jasny dzień miłości i pracy rozniecę. Przyszłość do mnie należy.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZEŚĆ DRUGA.

XXIV.

Nocnym pociągami przybył Jicchok do Lwowa. Stanąwszy na dworcu Podzamcze nie wiedział, co dalej począć. Ciemna, zimna noc wrześniowa zwieszała się nad miastem. Przybysze porozjeżdżali się, a on stał, rozmyślając jak spędzić czas do poranku. Bo wówczas... wówczas już wszystko pójdzie dobrze. Wszak znajduje się już w stolicy, w upragnionym przybytku pracy i nauki, z których źródła czerpać zacznie. Ale tymczasem?

Do kręcącego się w sali poczekalnej Jicchoka podszedł jakiś jegomość, który uwijał się do-
tąd między podróżnymi, i zagadnął go w żargonie:

— Czy nie stancyi szukacie, *jinger man*?

— Tak, właśnie — odrzekł tenże.

— To chodźcie ze mną, do naszego hotelu. Bardzo porządny pokój osobny, pościel, światło, posługa a tylko 40 centów. Chodźcie.

Nie czekając na decyzję Jicchoka, wziął mały jego tłumoczek do lewej ręki a prawą ujął go za ramię i pociągnął za sobą. Uszli kilkadziesiąt kroków, Jicchok widział przed sobą dwa szeregi pośepnie migocących płomieni gazowych, aż przewodnik stanął przed rozwartą bramą, małej za-

kątej kamieniczki. Wprowadził gościa do stacyjki na pierwszym piętrze, zapalił świecę i wskazując na pościelone łóżko, na stolik z dwoma krzesłami i umywalnię, cmoknął językiem :

— No, i cóż, *jingermanczyk*, stancya nie *fajn*?

— A dobra — odparł przybyły z gniazda nędzy młodzieniec.

— Więc zapłaćcie za noc dzisiejszą.

Jicchok wyliczył mu 40 ct.

— A teraz mnie coś... meklerskiego...

Nie namysławiając się długo dodał mu Jicchok 10 centów.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

Przewodnik wyszedł, a Jicchok odetchnął swobodnie.

— Więc jestem we Lwowie — wyrzekł głośno z zadowoleniem. Co to rojeń i nadziei mieściło się w tym wykrzykniku.

— Więc jestem przecież raz! powtórzył i pobiegł myślą naprzód. Widział się przy warsztacie swoich prac... czynnym, myślącym, przygotowującym się do zbawiennej przyszłości... którą niewiedzieć skąd i jak oświetlało promienne oko panny Lusi... Ale ciało, zmęczone dwudniową podróżą upomniało się o swe prawa i Jicchok padł na łożo, które wydało mu się królewskim.

Nie spał długo. W kilkanaście minut zaczął się miotać i rzucać na posłaniu niespokojnie, a niebawem musiał je opuścić, przesładowany i dręczony przez „rojeń, nieprzyzwoitych“ owadów,

mających swe legowisko w pościeli

Zaledwie usiadł na brzegu łóżka i rozzłoszczony namyślał się, jak zaradzić złemu, aliści drzwi się otwały.

Na progu stanęła kobieta. Twarz jej znikwała w cieniach mrocznych, ale w ramach drzwi całkiem wyraźnie rysowała się postać o nagich ramionach nawpół odkrytych, o piersiach osłoniętych wyciętą koszulą, uwydatniającą dokładnie kształty ich i falowanie.

Jicchok zbladł i dał nurka pod kołdrę.

— Co to jest? co to może znaczyć? pytał przymykając oczy. — Pani pewnie zabłądziła — wyrzekł drżącym głosem.

Ale pani ta zbliżyła się do łoża i miękką ręką musnęła go po obliczu.

— Puść...

Jicchokowi dech zamarł w piersi. Gorąco go oblało.

— Wybaczcie — szepnął zwracając ku niej twarz z przymkniętymi oczyma. — Wybaczcie, tu nie wasz pokój.

Pani jednak objęła go już jedną ręką za szyję.

Jego mrowie przeszło. Usiadł i gwałtownym ruchem oswobodził się.

— Gwałtu, ratunku! wołał zrozpaczonym głosem.

— A cicho bądź, durniu jeden! syknęła kobieta. — Wszak sam od *meszuresa* (posługacza) żądałeś...

— Ja? a na cóż?

Ta wybuchła śmiechem.

- Więc nie chcesz?
- Ja? a na cóż?
- Zapłać-żeż! Chodziłam...
- Ależ czegoż chcecie odemnie? com wam winien? za co płacić?

Skończyło się na tem, iż niespodziewanego gościa odprawił Jiechok z guldenem a sam ubrał się spiesznie i po ciemku zeszedł. Brama „hotelu“ była otwarta — umknął więc, aż znalazłszy się na ulicy wciągnął w się całą pierśią strumień zimnego powietrza. Orzeźwiony — puścił się naprzód z tłumoczkiem pod pachą.

Wspomniał biblijną Putyfarę i miał się za Józefa ocalonego z szponów potworu. — Ale — pomyślał — że to się we Lwowie dzieć może...

Szedł trotuarem. Naprzeciwko rysowały się kontury wysokich kamienie, na ziemi ścieliły się dziwaczne cienie i gazowe płomyki drżały w latarniach a turkot fiakra huczał na bruku, jak grzmot oddalony wśród ciszy.

Dokąd udać się teraz?

Z za drzwi najbliższej kamienicy błyskało światło.

— Wejdę — postanowił.

Roztworzył drzwi — jasność i duszność go uderzyły. W pokoju nie było nikogo. Z sąsiednich tylko wydobywał się hałas i szum gwarny przytłumionych głosów. Kilka stołów, stojących w kątach izby a przed nimi krzesła, wskazywały jednak, iż tu gospoda.

Zaledwie drzwi za sobą zamknął, przybiegł

doń z drugiego pokoju kelner, z bokobrodami i we fraku, i objął go spojrzeniem pytającym.

— Czy mogę tu się pozostać do poranka? zapytał Jicchok.

Kelner wzruszył ramionami.

— Co każecie dać? rzecze po żydowsku.

— Niech będzie ciepła herbata.

— Siadajcie.

Jicchok usiadł przy stoliku w kącie. Postawiono przed nim zaraz szklanę herbaty, za którą zapłacił 20 centów. Popijał powoli, a w drugim pokoju hałasy wzrastały, cichły, to potęgowały się i wybuchały dziko.

Nie rozumiał Jicchok dobrze dolatujących go wykrzyków; rozróżniał tylko wołania o napoje, to przekleństwa, lub pomięszany chór huczący chrapliwie.

Nagle zaszalały tam ryki pomięszane i łoskot jakby z uderzenia krzesel o podłogę i brzęk szklanek tłuczonych. Drzwi drugiego pokoju otworzy się gwałtownie, a przez nie wypadł człowiek uderzając głową o najbliższy stolik.

Legł u stóp Jicchoka, jęknąwszy „Kasiu“.

Za nim rzuciło się kilku młodych ludzi, o twarzach czerwonych i oczach pijanych, ziejąc wonią spirytualiów i hałaśliwymi wołaniami:

— Psia krew!

— Masz Kasię.

— I karty!

W tej samej chwili był już Jicchok na ulicy.

Obejrzał się wokoło niesłychanie zdziwiony

i pytający: co to wszystko ma znaczyć? Takie obrazy witają go u progu wiedzy i pracy!

Co więc począć?

Teraz dopiero zdecydował się na krok, od którego nie chciał zacząć ze względu na szczupłe swe fundusze.

Kierując się światłem latarni wrócił na dworzec kolejowy.

— Darmo — pomyślał. — Chciałem oszczędzać i noc przepędzić jakbądź. Teraz straciłem już dwa papierki i muszę większe zrobić wydatki.

Poprosił dorożkarza, aby go zawiózł do taniego a porządnego hotelu.

Fiakrowi zapłacił 60 ct., za stancijkę 40, ale za to spał za kwadrans jak zabity.

XXV.

Zerwawszy się późno z łoża niebywale wygodnego, ubrał prędko świeżą koszulę, szyję podwiązał czerwonawą chustką, bekieszkę swą i kapelusz odświętny ładnie wyczyścił i wyszedł.

Serce mu biło gwałtownie. Jeszcze na górze dochodził go gwar z ulicy i turkot powozów. — Ha, to Lwów! powiedział sobie z obawą i pewną satysfakcją. — Co też ze mną będzie w tem morzu? utonę, czy potrafię utrzymać się na powierzchni?

Na schodach spotkał kilku żydów, noszących również długie ubiory i pejsy.

— Wy nie tutejsi? zapytali po sąsiedzku.

— Nie.

— I cóż tu porabiacie?

Rozmowa stała mu się nieprzyjemną.

— Mam interes do załatwienia — odrzekł, odchodząc szybko.

Na ulicy rozpatrzył się w okóło. Zgiełk go ogłuszył.

Była wówczas godzina może dziesiąta. Na szerokim trotuarze snuły się roje wśród gwaru i pospiechu, popychając się i potracając. Niebo rozpościerało się nad miastem jak wielka, niebieskimi plamami nakrapiana bania ołowiana. Powietrze było mgliste i zgniłe. Kamienice dwupiętrowe brudne i smutne. Środkiem ulicy przeciągał leniwie tramwaj, na który Jicchok z zaciekawieniem patrzył, zresztą przesuwały się wszędzie indywidua lub gromadki, gospodynie z koszykami pod pachą, mężczyźni poubierani jak w Zapiecku urzędnicy podczas świąt. Tu mignął mundur jakiś, odbijający jaskrawo od ciemnych ubiorów reszty ludności; tam kupka „baciarzy“, młodych i starych, opierała się o bramę szynkowni, szepejąc po cichu, wybuchając głośnemi conceptami; potrząsając łachmanami. W kącie ulicy stało przy studni kilka kobietek z obnażonemi ramionami, śmiejąc się i żartując. Dorożki przelatywały, gdziegdzie młody chłopak ciągnął wózek z towarami, w sieniach domów siedziały żydówki, trzymając na kolanach zakryte niecki i wołając: „*hajse bobatach, hajse!*“ Żargon żydowski przeważał na ulicy ruchliwej jak mrowisko.

Jicchok chodził powoli, dziwnie jakoś posepny.

Niebawem znalazł się na całkiem odmiennem miejscu. Stał wśród dwu szeregów wysokich, okazałych gmachów, zakończonych zgrabnemi wieżyczkami, ozdobionych rozmaitemi rzeźbami i figurami architektonicznemi i balkonami, na których zółkły oleandry. Dolne części prawie wszystkich kamienie mieściły w sobie sklepy, których szyldy świeciły a wystawy jaśniały, imponowały wspaniałością.

Spokojniej i czysto było na tej ulicy, ludzi mniej a piękniej wyglądający; spieszyl oni szybkim krokiem, zdejmując od czasu do czasu przed drugimi kapelusze lub witając się wzajemnie uściskiem dłoni.

Mierząc całe otoczenie bystrem okiem, szedł Jicchok dalej.

Stanął przed ogromnym budynkiem, na którym czerniał orzeł dwugłowy i napis: c. k. gimnazjum. Front tego gmachu miał u góry walcowate zagłębienia, gdzie stały figury kilku znakomitości narodowych. Jicchok znał imiona niektórych. Poraz pierwszy widział takie statuy, poraz pierwszy uderzał jego wyobraźnię wyraz hołdu i czci powszechniej, jaką się cieszą mistrze społeczeństw. Patrzył i dumał, jak w wielkiem mieście z nazwy ulic i z ozdób gmachów publicznych można się uczyć dziejów i szlachetności i zasług. Wtem bramy zakładu się rozwarły i na ulicę wysypał się tłum wesóły, gwarny, z kilkuset głów złożony.

Jiechok zatrzymał się na uboczu.

Chodnikami popłynęła fala malców. Wrzaskliwi, podskakujący, z stosami książek pod pachą, szcziotali dziecęcemi głosikami, wybuchali co chwila śmiechem lub figlem, a Jiechok patrząc na rój ten wypuszczony z ula, przeświadczony, że każde z tych pacholąt więcej umie od niego i lepsze odeń posiada szanse na przyszłość, uczuł się tak upokorzonym, tak ograniczonym i małym...

Dalej zauważył kilka kolumn studentów o wzroście a zapewne i stopniu wykształcenia coraz wyższym. Niektórzy mieli twarze dojrzałe i poważne, niektórzy uśmiechy i spojrzenia dziecięce. A wszyscy byli uzbrojeni przyborami naukowemi, wszyscy gawędzili, szumnie, ochoczo, wesoło, to pokazywali coś sobie wzajemnie z ksiąg lub zeszytów. Jak w pasiece brzęczało w tym przybytku młodzieńczości i swobody, nadziei i wiary, a ośmnastoletni były kandydat na rabina stał w kącie ze ściśniętem sercem i łzami w oczach. Jakżeż zazdrościł każdemu z tych „szkołnyków“, jakżeż chętnie odstąpiłby kilka lat życia, aby tylko być w ich gronie. Czuł się biednym, nieszczęsnym...

Czy kiedyś dorówna tym ot starszym, zapewne z najwyższych klas studentom, z których każdy taki ogromny posiada zasób wiedzy, i niebawem będzie zupełnym ukończonym człowiekiem, przed którym wszystkie szranki stoją otworem...

Popatrzył w górę. Tam w promieniach sło-

necznych jaśniały posągi wielkich mężów. Wiedział Jicchok: niejeden z nich miał też początki ciężkie, przejścia bolesne, a teraz świeci jako wzór narodowi...

Westchnął i jał wypytywać się o ulicę, przy której mieszkali Bauerowie. Niecierpliwosć paliła go bardzo...

XXVI.

Pani Bauer była wdową po wyższym urzędniku bankowym; dość znaczna pensya wdowia i majątek własny wystarczały jej na dostatnie życie i troskliwe wychowanie dzieci.

Jicchok zastał ją na konferencji z kucharką. Podszedł nieśmiało i z głębokim ukłonem wyrzekł.

— Dzień dobry.

— Ach, przybyliście tutaj! — zawołała pani Bauer, uśmiechając się dobrotliwie. — Dzieci moje bardzo się będą cieszyć.

Wprowadziła go do drugiego pokoju.

— Proszę usiąść. Zaraz młodszy mój syn na-
dejdzie.

Jicchok rozejrzał się po pokoju studenckim. Były tam stosy książek na stole, w szafie, na półkach; na ścianie obrazy przeważnie historyczne, na biurku — marmurowe popiersia Mickiewicza i Słowackiego. Roztargnionym wzrokiem wodził wokoło, kręcił się po pokoiku i zaglądał do salonu. Rychło też pojawi się *ona*? Wtem zabrzmiały dźwięki fortepianu.

Ach, to zapewne panna Lusja gra!

Oparty o drzwi zatopił się nabożnie, radby polecieć do niej, popatrzeć, powitać po dawnemu, zapytać, czy będzie łaskawa i nadal udzielić mu lekcyj, poprosić o wyjaśnienie wielu nowopoznanych wyrazów... Tymczasem słuchał. Nie były to owe melodye wspaniałe, porywające powagą i uczuciem, które go w lesie wprawiały w zachwyt, ale jednostajne jakieś tony, poplątane, powtarzane z poprawkami, cieniowane — widocznie ćwiczenia lub lekcya. Gra ta zniecierpliwiała go, rozzłościła, a przecież drżał ze wzruszenia: gdyby mógł się tam znaleźć...

Nie zauważył, że od kilku chwil młody pan jakiś badawczo go obserwuje.

— Czy wy Jicchok Graf? zapytał nareszcie.

Jicchok obrócił się przestraszony.

— Tak panie — odrzekł starając się zapanować nad pomięszaniem. — Czekam tu na pana Bauera.

— Ja nim właśnie jestem.

Jicchok się uklonił i gorąco uściskał podaną sobie rękę, jakby dłoń dobrego przyjaciela. Acz młody pan ten mało był podobny do brata. Wysoki, o kruczonych włosach i cerze smagławej, nosił srebrny cwikier, a z poza jego szkieł błyszczały czarne, niespokojne, badawcze oczy; kąty wargi górnej, lekkim mchem pokrytej, drżały mu chwilami nerwowo i sarkastycznie. Mówił prędko, zacinając się co chwila, głos miał głęboki, piękny a ubiór elegancki. Gościowi wskazał krze-

sło, a sam chodził po pokoju z rękoma splecionemi na plecach.

— Brat mój — zaczął — mówił mi wiele o was. Ja wprawdzie nie zgadzam się na wszystko, co on myśli i mówi, ale wierzcie mi, że co do was, radbym jego zastąpić i uczynić, co tylko potrzebne i możliwe.

— Z całego serca będę wdzięczny — odpowiedział Jicchok swym żargonem, naszpikowanym kilku zwrotami niemieckimi. — Pan Ludwik był dla mnie tak dobry i tyle dla mnie uczynił, że nie wiem jak to wypowiedzieć i czy zdołam się odwdzięczyć. Najważniejsza: radził mi tutaj przybyć i pracować nad swem wykształceniem.

— Wiem o tem.

— Mówił, że u was, panie, znajdę życzliwość i pomoc.

— Oh, niezawodnie — odrzekł młodszy Bauer, pan Maurycy, i zamyślił się głęboko.

— Czy nie znacie dobrze żadnego języka? zapytał potem.

— Nie... Chcę tu się nauczyć.

— A macie jaki sposób zarobkowania?

— Nie, chcę się tu nauczyć.

— Musimy szczerze mówić a bawić się w ciuciubabkę nie lubię. Macie dużo gotówki?

— Nie, panie, bardzo mam mało.

Pan Maurycy brwi zmarszczył. Wówczas właśnie zamilkł także fortepian. Drzwi prowadzące do pokoju, w którym obaj byli, odechyliły się zlekka i zabrzmiał głos:

— Rysiu!

Ach, ten głos! Jicchok go poznał. Chciał przyskoczyć do drzwi, ująć za rączkę, która zawsze doń się wyciągała, ale czuł, jak krew ucieka mu z serca. Stał jak przykuty do miejsca, a nogi pod nim dygotały.

— Możesz wejść! zawołał w tej chwili pan Maurycy. — Nie mam gości.

Weszła. Czy to istotnie ona?

Miała na głowie z włosów wysoką wieżę, z której jak broń, sterczały dzidy, szpilki, kolce, grzebienie zębiaste. Jakżeż jej stokroć ładniej było z włosami niedbale splecionemi, ozdobionemi różą dziką!

Miała na sobie suknię długą, obcisłą, z sztucznemi jakiemiś wypukłościami, fałdami i zwojami. Nóżki, tej pięknej, malutkiej nóżki nie było widać, szyję zasłaniał wysoki z stanika wystający kołnierzyk, oblamowany perłami. Cała zaś figura jej była sztywna jak w śrubie jakiejś, a twarz, nieokraszona uśmiechem swobodnym i blaskiem lazurowych oczu, co jej czarowny nadawał powab, była jakby bez wyrazu.

Jicchok stał, patrzył ze ściśniętem sercem, a panienska nie dostrzegając go, mówiła coś bratu na ucho.

Ten wysłuchał spokojnie i rzecze:

— Nie poznajesz znajomych?

Obróciła się.

— Ach, pan Graf! przemówiła i nagle przybrała postać wyniosłą. — Jakże się pan ma?

Kiwnęła mu głową, ale nie podała rączki jak dawniej.

On niezgrabnie się uklonił.

— Ot, jak panienka widzi, przyjechałem do Lwowa.

— Tak? to do widzenia — rzuciła mu i zniknęła za portyerą w drugim pokoju.

Z wzrokiem tam utkwionym stał Jicchok dość długo a jego gospodarz przechadzał się po stacyjce. Wreszcie usiadł, a wskazawszy Jicchokowi krzesło naprzeciwko, powiada:

— Rozmówmy się szczerze, bez ogródek. Brat mój miał względem was zapewne najlepsze chęci, ale on jest idealistą, nie liczy się z rzeczywistością. On wszędzie szuka tylko idei, w człowieku widzi tylko mózg, a zapomina o żołądku. Widzi pan, i w tem błąd, bo na świecie jest mało akademii a dużo targowisk. Przybyliście tutaj, Lwów jest wielkim miastem. Łatwo tu się zatracić temu, co nie posiada silnego punktu oparcia. Ja nie rozporządzam żadnymi środkami, wy funduszów nie macie; wiele?

— Coś z dwa reńskie.

— Ani stosunków. Cóż więc będzie?

— Czyż w takim Lwowie nie znajdę zajęcia? zawołał Jicchok gorąco. — Zadnej pracy się nie boję, ani wstydzę. Mogę cały dzień robić, byle w nocy mieć kącik i książkę. To się przecie znajdzie...

Maurycy potrząsał głową.

— Zazdroszczę wam tej wiary — rzecze. —

No, ale jakoś to będzie. Mamy tu liczne towarzystwo ludzi bogatych i możnych, którzy ciągle rozprawiają o wykształceniu i podniesieniu mas żydowskich. Niech pokażą, co potrafią. Już wszystko da się jakoś załatwić, mnie samemu wiele na tem zależy. Gdzie tymczasowo przebywacie?

— W hotelu.

— Aj-aj-aj, to liczeź się z groszem!

Jicchok opowiedział nocne swe przygody. Maurycy przysłuchiwał się uważnie i na twarzy jego igrały uśmieszki, jakby powyższe opowiadanie go łaskotało.

— To cienie cywilizacyi -- zauważył.

— Jakto? cywilizacya pociąga za sobą takie zepsucie?

— Najczęściej. Ale nie traćmy czasu. Najważniejsza — ką własny. Jutro o tym czasie się zobaczymy.

Schodząc ze schodów Jicchok westchnął boleśnie i mocno był przygnębiony. A przecież — Maurycy dodał mu otuchy. Skądżeż smutek? Nie wiedział dobrze, gorycz go tylko gryzła, że *ona* w krótkim czasie tak się zmieniła...

XXVII.

Obliczywszy się z kieszenią, przyszedł Jicchok do smutnego rezultatu, że resztki, któremi goni, nie wystarczą na dłuższe życie we Lwowie i że należy systematycznie je uregulować i postarać się o źródło dochodu.

Tego samego dnia jeszcze wyszukał stancyi

dość dobrej. Był z niej na razie zadowolony.

Mianowicie dopytał się żydówki, mieszkającej w jednej ze stęchłych i karkołomnych kamieniczek dzielnicy żydowskiej. Jejmość ta posiadała tam pokój wielki, za który sama płaciła 5 złr. miesięcznie, a na którym blisko dwa razy tyle zarabiała. Wynajmywała go uboższym od siebie.

Jicchokowi odrazu powiedziała, iż wieczorem mieszkanko jej zaludnia się, jak bożnica w sądny dzień. Ona i mąż i córka szwaczka, to trójka, zabierająca dla siebie połowę pokoju, oddzieloną od reszty rodzajem parawanu. W drugiej połowie spi w jednym łóżku pewne małżeństwo, trudniące się roznoszeniem kwaśnych ogórków lub „wina“. Dalej na podłodze spędza noc młody człowiek, czyszczący w dzień na rogu ulic buty przechodniom, i jeden bardzo porządny robotnik, który od dłuższego czasu szuka nadaremnie kondycyi. Jest jeszcze bardzo wygodny kąć, obok pieca, co niemałego jest znaczenia wobec nadchodzącej zimy, a kąć ten gotowa ona wynająć za umiarkowaną płacę...

— A czem-żeż jesteście, *jinger man*? zapytała.

— Mam tutaj się uczyć.

— Ah, to dla was jak stworzone. Dlatego, bo przez cały dzień stancya próżna, nikt nawet na obiad nie przychodzi, możecie więc wygodnie pracować jak tylko chcecie. Mąż mój przecież nie będzie przeszkadzał...

Tu wzruszonym, płaczącym głosem opowiedziała Jicchokowi nieszczęśliwe swe koleje. Ska-

raniem boskiem, utrapieniem jej starości jest mąż; biedny, stokroć pożałowania godny mąż — sparaliżowaną ma połowę ciała od lat kilku. Jego utrzymanie wymaga ogromnych ofiar. Dlatego pracuje ona dzień cały, rozsprzedając owoce, dlatego córka — szwaczka daje jej cały swój zarobek nie myśląc o swej przyszłości, dlatego manipuluje tak z swem mieszkaniem. Ono w sam raz dla uczącego się. Paralityk, utrapienie jej starości, o którym bez łyzy nie mogła wspominać, nie rusza się nigdy z łoża; sąsiadów i przyjaciół nie przyjmują także, w mieszkaniu więc spokój i swoboda. W nocy zaś da ona swój siennik, kawaler nie będzie ciasnoty i zimna cierpiał... zwłaszcza w tym kącie! zużyta bekieszka można się nakrywać i spać doskonale, po królewsku za cenę 8 centów, płaconych gotówką co wieczór, przed udaniem się na spoczynek.

Jicchok się zgodził. Udał się zaraz do swej rezydencji. W najciemniejszym kąciku leżał pan domu, wydający bezustannie stękanie i niewyraźne mruczenie. Kilka razy dziennie wpadała małżonka, wkładając mu do ust pożywienie i pomagając do załatwienia niektórych potrzeb. Czyniła to z najcierpliwszą troskliwością i regularnością, otaczała go czułością iście macierzyńską, wywodząc ciągle skargi na owo skarcanie boskie.

Istotnie przez dzień cały nikt do pokoju nie zaglądał a Jicchok, poraz pierwszy tak bezgranicznie wolny, wydobył swą książkę, zeszyt i

pisał... pisał, i głośno czytał, ciesząc się, że tu przecie lepiej jak w domu.

Przy bramie kamienicy sąsiedniej kupił bochenek chleba i ser. Chleb pozaczył kredką na kilka równych części, by codzień mieć jednakową porcyą a uniknąć zbytku. Zjadł objad i przeszedł się po mieście studyując i podziwiając wszystko i wszystkich. Potem znowu pracował i u gospodyni za trzy centy dostał szklankę mleka ciepłego. Niezgorszą więc miał kolacyą — jednym słowem spędził dzień doskonale: większych przyjemności nie miewał przecież w domu. Jęki i wygląd trupi chorego przejmowały go z początku uczuciem bólu, ale przyzwyczaił się prędko.

Po zachodzie słońca izdebka nagle ożyła. W środku wzniosła się ściana, za którą znikła wiecznie gderająca i spracowana gospodyni i jej córka, długa, sucha, kaszląca panna, co teraz nosiła kapelusz słomkowy i płaszczyk wyłysiałemi barankami podbity. W drugiej połowie ukazał się najpierw czyściciel butów o twarzy kościstej i oczach bałwanowatych, który liczył swój zarobek dzienny i w osobnem pudełku przyrządzał na rano czernidło a w osobnem — sztucznie zarobioną sadzę. Dalej nadeszli małżonkowie Froimowie. Usiedli na tapczanie i liczyli krajcary i półkrajcary, potem z szaflika swego wydzielali ogórki nadpsute i zajadali z chlebem. Czyściciel skierował do nich kilka uwag, streszczających się w dowcipie i wkrótce zaczął syczeć, chrapać jak

nadpsuty miech kowalski. Zaraz potem małżonkowie okryli się jedną wielką chustą i płaszczem jakimś starym i przyciśnięci do siebie plecami zaintonowali zgodny duet chrapania. Nakoniec ukazał się „towarzysz“ piekarski, niski, obdarty człeczyna o szerniałej twarzy i wynędzniałych rękach. Ten wydobyl pugilares i liczył i wzdychał, widząc odkrywające się dno jego i nie mając widoków roboty. Niebawem i on się przyłączył do chóru, składającego się teraz z niezmondowanego kwartetu, który rzeżał i świszczwał przeraźliwie. Jicchok zasnął najpóźniej. Nie znał życia proletariatu miejskiego, zajęło go ono nadzwyczaj. Spał bardzo dobrze, gdyż i w domu nielepsze miał powietrze, nielepsze wygody. Zbudził się zaś najpóźniej i nikogo ze współlokatorów nie zastał. Wszyscy byli już zaprzężeni do swych taczek i ciągnali je w górę, zginając grzbiet, nie skubiąc trawki, potykając się, raniąc...

— Poznaję trochę świat — powiedział sobie przeglądając obrazy ostatnich kilkudziesięciu godzin.

XXVIII.

W południe dnia następnego znalazł się znowu u pana Maurycego. Ten jednakże przeprosił go grzecznie, iż teraz nie może służyć z powodu nawału innych zajęć, i prosi go na wieczór.

Przez większą część dnia wałęsał się Graf po ulicach. Wielkie miasto ogłuszyło go, oszłomiło. Czuł się jak nędzny robak, pełzający w

lesie, zamieszkałym przez wspaniałą roślinność i różnorodne stworzenia. Czytał jaskrawe afisze, z których każdy mu coś opowiadał, każdy wskazywał ustęp z życia stołecznego; przeglądał karty pośmiertne i plakaty teatralne, widział punkt miasta, gdzie najwykwintniejsze toalety i uśmiechy, najzgrabniejsze ukłony i komplimenta objawiają się wymuskanydm fireykom i damom cacanym, zwącym się gremialnie „śmietanką towarzystwa“; nawąchał się wszelkich niepachnących rzeczy w dzielnicy żydowskiej a w ogrodzie publicznym oddychał woniejącem powietrzem; patrzył na stojący naprzeciwko gmach krajowy, który — jak mu opowiadano — kosztuje kilka milionów.

— Ot, co to wielkie miasto znaczy — powtórzył, kiwając nabożnie głową. Po południu stanął się u Maurycego. Ten rozmawiał właśnie z młodym jakimś kolegą i kończył, wskazując na chałatowca, stojącego skromnie przy progu:

— Widzisz, mój kochany, że nie jestem teoretykiem.

— Tego ci nie zarzucam — odparł drugi. — A co poczniesz z tym fantem?

— Wychowamy go.

— A po jakimu?

— W duchu naszych zasad.

— O to właśnie mi chodzi. Jakiemiż będą jutro twe zasady? Pewnie odmienne od dzisiejszych.

— Eh — oburzył się Maurycy. — Za cóż ty mię masz?

— Udowodnij że się mylę, i owszem — za-

kończył drugi na pożegnanie.

Jicchok rozumiał tę rozmowę. Ucieszył się niemało, gdy Maurycy jeszcze raz powtórzył, iż zamysła poświęcić mu wolne chwile, biblioteczkę swą i posiadany zasób wiadomości.

— Ale, proszę pana — rzecze za chwilę. — Prawda, to co mi przyrzekacie jest spełnieniem najgorętszych mych życzeń, ażeby jednak z waszych łask korzystać, muszę mieć na życie...

— To właśnie najważniejsza...

Zaduma i cisza zapanowała na chwilę.

— Ja — zaczął Jicchok — myślałem, iż znajdę tutaj jakieś zajęcie. Lwów, wielkie miasto, o robotę uczciwą przecież nie trudno. Abym tylko miał kilka godzin wolnych do nauki, pracy się nie lękam.

— A cóż wy umiecie? zapytał Maurycy.

— Ja... Właśnie w tem bieda... na niczem się nie znam...

Maurycy znowu rozpoczął gwałtowny spacer po pokoju.

— Ach, ci żydzi, ci żydzi... jak wychowują swe dzieci! — wykrzyknął gniewnie. — Przecież — obrócił się do Jicchoka — nie zajmowaliście się dotąd rzemiosłem?

— Nie.

— Może handlem?

— Nie.

— Nauczaniem?

— Nie.

— Jesteście-ż silni i zdrowi?

— Nie bardzo.

— Umiecie prowadzić księgi?

— Nie.

— Tam do dyabła! zawołał Bauer. — Cóż więc? Jicchok spuścił głowę.

— Wiem, panie, żem do niczego... ale czy ja temu winien?

— Tego nie mówię. — Zresztą, to stanu rzeczy nie zmienia.

— Co do mnie, chętnie wezmę się i do najcięższej roboty.

— Ba, żadnej nie znacie, a o każdą trudno nawet fachowcom. Takie dziś czasy.

Znowu obaj umilkli.

— Wiecie — rzecz za chwilę Maurycy. — Mamy tutaj we Lwowie stowarzyszenie, którego celem jest uobywatelenie żydów, a jednym ze środków — wychowywanie młodzieży. Radzę wam udać się do kancelaryi tego towarzystwa i tam pomówić...

— Czy mogę tak pójść bez polecenia, nieznany...

— Tak. Wasza sytuacja najlepiej przemówi. Wprawdzie znam dobrze facetów tamecznych, ale nie mogę nie działać... z powodów osobistych...

Nie wyjaśnił, iż jedynym powodem jest uraza za pominięcie go przy ostatnich wyborach do wydziału towarzystwa.

Stało więc na tem.

— Cóż tymczasem porabiacie? zapytał na końcu Bauer.

— Uczę się.

— Znowu bieda. Na razie nie mogę wam pomóc. Nie umiem uczyć kaligrafii ani początków języka. Róbcie sami, co możecie, czytujcie głośno, starajcie się mówić po polsku, a potem, w wyższych studiach dopomogę, bardzo chętnie.

Jicchok siedział ciągle na swem miejscu. Oglądał się na wszystkie strony, podsłuchiwał, czy „ktoś“ drzwi znowu nie otworzy, czy nie doleci go dźwięk choćby wczorajszego fortepianu.

Maurycy okazywał już zniecierpliwienie.

Jicchok wstał; z rozpaczą myślał, iż „jej“ chyba dziś już nie zobaczy. Może jeszcze... przecie...

— Panie — rzecze za chwilę. — Nie wiem, czy nauka w ten sposób prowadzona wielkie przyniesie korzyści.

— Powiedźcież sami, co ja mogę uczynić?

— Taak... ale tam... w Zapiecku... tam siostra wasza... czasem mi poma...gała...

Maurycemu kąty warg zaczęły drgać szybko.

— Tam w Zapiecku — odrzekł — było to możliwem, ale tu — nie... Zresztą, zobaczymy. Do widzenia.

Podał mu rękę i odprowadził do drzwi.

XXIX.

Na drugi dzień w południe Graf udał się do wskazanej sobie kancelaryi.

Zapukał do drzwi ozdobionych szyldem, na którym po hebrajsku i po polsku widniała szumna nazwa towarzystwa.

— Proszę!

„Kancelarya“, w której stanął, dość mizernie wyglądała. Kilka biórek i szaf, kilka obrazów i pliki gazet wypełniały szczupły ten pokój.

Na stole, okrążonym półtuzinem krzeseł, roz-pierało się dwóch młodych panów, rozmawiając i śmiejąc się wesoło.

— *Guten morgen*. — wyrzekł Jicchok.

Jeden z nich zeskoczył.

— Czego pan sobie życzysz? zapytał przyby-łego po polsku.

— Ja, panie — przemówił Jicchok oryginalną swą gwarą — chcę się dowiedzieć...

Młody pan nagle się rozzłościł, a drugi wybuchnął śmiechem.

— Proszę tu mówić po polsku — zawołał. — Tu nie jarmark ani chajder.

Jicchok zbladł.

— Kiedy bo ja po polsku nie umiem dobrze...

— A my szwargotu nie znamy...

Było to względną prawdą. Panicz ten, wychowany na posadzkach salonowych bogatych rodziców żydowskich, nie znał bliżej mowy swoich „współbraci“, nad którymi podjął się „pracować przykładem, ustnie i w piśmie jako wydziałowy towarzystwa“. Rozumiał atoli słowa wyrzeczone przez Jicchoka, nie przyznał się zaś do tej znajomości „z zasady, aby wykorzystać wstrętny ten żargon“, i aby się nie „skompromitować w oczach siedzącego za stołem kolegi, szlachcica z urodzenia, a członka wydziału polsko-żydowskiego

„z przekonania“.

— To nie do zniesienia... Na polskiej ziemi żyje, chleb polski je, a mówić po polsku ani rusz... nawet w naszej kancelaryi... wykrzyknął drugi tonem oburzenia.

Jicchok zawstydzony i upokorzony cofnął się ku drzwiom. Wtem wszedł trzeci pan, o poważnym obliczu i szpakowatym zaroście.

— Pana sekretarza sługa uniżony — zawołali obaj młodzieńcy z niskimi ukłonami.

— A czegoż ten? zapytał pan, tytułowany sekretarzem.

— Z interesem zapewne, ale jeszcze się nie wyjęzyczył.

— Nie umiem dobrze mówić po polsku — dodał Graf, zbliżywszy się do przybyłego, który usiadł przy biurku.

— *Was wuenschen Sie eigentlich?* zapytał tenże.

Jicchok w krótkości opowiedział swe dzieje, a obaj młodzi wyszli tymczasem z pokoju, skrzyjąc przeraźliwie bucikami. Sekretarz przysłuchiwał się uważnie, podawszy opowiadającemu krzesło.

— To was Bauer tu przysłał!

— Tak.

Uśmiechnął się sarkastycznie.

— A pocóż? czyż sam nie wie, co się u nas dzieje?

— Mówił, iż może coś się da zrobić...

— Mówił, a zna przecież dobrze nasze położenie... Bo to wiecie, wszyscy, kraj cały uznaje

potrzebę i pożytek naszej pracy, ale oprócz gołosłownego uznania nic nie mamy więcej. Ledwie że się trzymamy, kasa próżna a wydatki znaczne. Cóż więc możem czynić?

Jicchok podniósł się z miejsca.

— Siedźcie, młody człowieku — zaprosił sekretarz. — Radbym coś zrobić, ale trudno... bardzo trudno, prawie że absolutnie niemożliwe. Doprawdy. A zresztą, powiem wam szczerze. W najlepszym razie moglibyśmy wam dopomóc chwilowo, na czas pewien, a cóż potem?

— Ależ to być nie może, abym we Lwowie nie mógł znaleźć zarobku.

— Wyperswadował to wam przecież Bauer. tego-to jabym coś innego radził...

— Proszę!

— Niepotrzebnie udaliście się do Lwowa. Na prowincyi stosunki znośniejsze, gdyż do stolicy każdy się garnie. Czego się spodziewacie po pobycie we Lwowie? Jakie wasze plany? Chcecie się uczyć — a wiecie jakimi trudnościami droga najeżona... Przypuszczam najlepsze, zwyciężycie te przeszkody, a po kilkunastu latach ciężkiej pracy i poniewierki i nędzy co macie? Czy systematyczne studia szkolne dadzą wam wykształcenie prawdziwe, do którego dążycie? Nie. Dadzą wam one pewny kawał chleba? Nie. Chyba że protekcją coś wyliziecie. Pocóż więc olbrzymie wysiłki i bole i walki!

Jicchok siedział na krześle jak skamieniały. Sekretarz po przestanku chwilowym ciągnął dalej

— Mówię do was otwarcie, gdyż jesteście dorosłym człowiekiem. Nie oddawajcie się żadnym iluzjom, żadnym nadziejom sangwinicznym. Życie — to nie marzenie starszego Bauera. Najlepiej byście zrobili wracając do miasta rodzinnego. Tam weźcie się odrazu do praktycznego jakiego zajęcia. Do rzemiosła lub rolnictwa. Leży to w naszym programie, a dla was to jedyny punkt wyjścia. Przytem w wolnych chwilach możecie się kształcić. Będziemy wam bezpłatnie nadsyłać nasz organ, i książkę jakąś i gazetkę hebrajską. Z czasem możecie się wyrobić na użytecznego i niezależnego człowieka — czegoż życzycie sobie więcej?

Jicchok potrząsł głową, jakby po wyjściu z zimnej kąpieli.

— Panie — rzecze — to niemożliwe...

— Ha, jak sądzicie — odparł sekretarz chmurnie i rozłożył przed sobą arkusz gazety.

Jicchok skierował się ku drzwiom.

— Dzień dobry — wyrzekł.

— Bądźcie zdrowi.

W sieni wyprostował się i potarł czoło.

— A może pan ten ma słuszność — pomyślał.

— Może to z mojej strony tylko zarozumiałość i głupota. Cóż, że się chcę piąć wyżej, kiedy nie można... a może i nie potrzeba, może istotnie złą obrałem drogę. Nawrócić więc? ale dokąd właściwie? Czy tam będę mógł wziąć się do pracy wskazanej przez tego pana? Nie, nie,

tam tysiące zawad i trudności. Tamto zresztą nie ucieknie. Tu dopiero kilka zrobiłem kroków i już się cofnąć? To byłoby tchórzostwem!

XXX.

Wśród rozmyślań, jakby przebić silny mur, jaki mu nagle stanął na drodze, zaszedł do swego pomieszczenia. Za ledwie drzwi otworzył — przykry uderzył go widok.

Na podłodze, niedaleko łóżka leżał pan domu, Natan, rzucając nogą i ręką i usiłując nadaremnie się podźwignąć. Nawpół sparaliżowany — nie był w stanie tego uczynić.

Spostrzegłszy wchodzącego jał bełkotać.

— Po...pomóż...móście mi...

Ubez władniony język odmawiał nieszczęśliwemu posłuszeństwa, tak iż kilkakrotnie bełkotał każdą zgłoskę, pomrukując, płacząc się, bryzgając śliną.

Jicchok przyskoczył doń z pospiechem i schyliwszy się objął leżącego i podniósł.

Kaleka oparł się na młodzieńcu całym ciężarem wpół martwego ciała. Jicchok aż stęknął i położył gospodarza na łożu. Też, wlepiwszy wielkie, szklanne, straszne swe oczy w młodzieńca, zaczął:

— Bóg wam za...zapła...ci, zapłaci... młody czło...wieku...

Jak odgłos piły, przerzynającej się chrapliwie przez suche pniaki, tak brzmiały jego słowa.

— Coście tam robili? zapytał Graf.

— Ja... bo chciałem juskę wziąć swoją.

Zazwyczaj żona stawiała mu jedzenie tuż przy łóżku na krześle, dziś widocznie zapomniała.

— Podniosłem się — bełkotał dalej Natan — by garnek wziąć z kuchni, ale upadłem... oh, ach.

Tu wielka, sino-błada twarz jego, zarosła szpakowatym, rosrzuconym włosom, dodającym mu dzikości, zalała się grubemi łzami.

Jicchok nie mógł się oprzeć wzruszeniu. Prędko wylał kartoflaną zupę na talerzyk i podał staremu. W oczach ostatniego mignął błysk wdzięczności.

— Dzięk...dzięku...kuję wam — szepnął, ale po chwili padł z głośnem stęknieniem znowu na wznak.

Jicchok, który w kącie już wziął się był do jedzenia, przyskoczył napowrót.

— Cóż wam? zapytał troskliwie.

— Ta... ręka boli... jeść trudno... trudno...

I stary, blisko sześćdziesięcioletni Natan patrzył przed się z wygasłym wzrokiem jak trup, a ze łzą na obliczu jak niemowlę.

— Biedni wy — wyrzekł cicho Jicchok. Usiadł przy łóżku i wlewał kalece łyżki strawy do ust. Przy pierwszym daniu staremu wargi drżały kurczowo.

— Cóż — powiada — gdzieżby... sami się faty...ty...guje...jecie.

— Nic to, jedzcie — zachęcał go młodzieniec, nakarmił, otarł mu usta i nakrył.

Gospodarz na wszystko pozwalał, a nakoniec

ujął rękę Jicchoka i chciał usta do niej przycisnąć.

— A broń Boże — zawołał Jicchok, któremu twarz spłonęła.

Nie poczuwał się do żadnej zasługi. Bo i cóż uczynił? Zlitował się, pomógł nieszczęśliwemu.

— Nikt nie jest dla mnie tak dobrym — skarżył się stary.

Młodzieniec coś bąknął i jał wypytywać o przyczyny choroby, co mówią lekarze itd. ale prędko spostrzegł się, że paralytyk spi.

Zjadł więc swój obiad i zaczął półgłosem uczyć się na pamięć wierszyka z czytanki.

Wieczorem przechadzał się uliczkami w smutnych pograżony myślach. Dzień piątkowy chylił się ku zachodowi, dzielnica żydowska pustoszała, obumarła. Znikły wrzaskliwe przekupki wędrownne, umilkły straganiarki, ze stosów warzywa i pieczywa pozostały tylko śmiećka i duszne ostre powietrze. Gdźieniegdzie przesuwiał się chodnikiem żyd w szabasówce lub złamanym cylindrze, spiesząc na modlitwę, inny przechodzień rzadko się ukazywał, tak iż plac ten rojący się zawsze tłumem gwarnym, był teraz martwy — tylko światła z domów i płomyki latarń migotały smutnie. Jicchok spacerował powoli, a w myśli ożyły mu obrazy z niedalekiej przeszłości: jak szabas wjeżdżał tryumfalnie do partykularza rodzinnego, z jakim utęsknieniem oczekiwali go nędzarze, żądni lepszej strawy i wypoczynku; z jakimi honorami przyjmowali go pobożni, wie-

rzący chusydy; jak niedawno przed kilku miesiącami on sam się cieszył, kąpał, stroił i modlitwą i śpiewem czeił dzień świąteczny. W domu przecież uroczyscie to było, gdy wszędzie czystość i ład panowały, wszysey umyci i przystrojeni w najlepsze odzienie siadywali w kółku rodzinnem, zapominając nędz i trosk powszednich, modląc się i uczując w zgodzie i miłości. Tak tam przecież było nieraz miło... i lubo... w pieśniach sobotnich są przecież ustępy tak ładne, poetyczne, porywające.

A teraz... sam... między obcymi... w biedzie i poriewierce.

Mimowoli westchnął głośno, ale to go przywiodło do opamiętania.

— Głupiec jestem — wymówił do siebie. — Czyż doprawdy mi tęskno do tych czasów? przecież nie chcę do swoich wrócić! Więc cóż?

Et — dawniej pędziłem życie jak ślimak w skorupie. I takie stworzenie posiada swoje pełne chwile, radości swoje. Teraz, gdym się tak cudownie zmienił i z ciasnego przybytku dostał na pełne morze — mamże żałować? Wody tu wprawdzie wrą, wiatry silne a spokojne brzegi dalekie, bardzo dalekie... ale rozbiwszy piętrzące się bałwany, uchwyciwszy jedną deskę ratunku można zapłynąć... w świat jasny, wielki, pełen życia i barw i skarbów...

— Tam muszę się dostać! powiedział sobie znowu Jicchok może po raz tysięczny w ostatnich miesiącach.

Stały mu w myśli słowa poranne sekretarza. Teraz jakoś nie czuł trwogi.

— Nie dam się... przynajmniej nie tak prędko...

Obliczył iż na życie we Lwowie potrzebuje miesięcznie 10 do 11 reńskich.

— Byłbym chyba niedołągą, a świat — podłym, gdybym nie mógł tyle zarobić.

Wierzył w siebie i świat, a mimo to nie wesoło było mu na sercu. Czemu? Trochę zazdrościł tym, co teraz siedzą przy stole, jedzą ryby szabasowe i śpiewają „Ma-jufes“. Po chwili znów się oburzył.

— Przecież gwałtem odciąłem się od owego świata!

Tak... ale i po za jego obrębem istnieje słodycz. Na przykład jak szczęśliwym musi być ten pan Maurycy, co ma rozum, książki i... zawsze żyje z panną Lusią! Jest z nią poufały, no, jak brat z siostrą, ona go kocha... no, jak siostra brata, ach, jak błogim musi być ich żywot!

W tej chwili prawdziwa zazdrość go paliła.

— A czemuż mnie się nawet nie ukazuje? mnie unika... Ja wiem, zem zero, do niczego, ale patrzeć na nią, słuchać jej także nie mogę.

Jakżeby w tej chwili pragnął być tam — chętnie oddałby rok życia, gdyby tu było Zapiecko, a ona mu znów podała rączkę na dzień dobry.

Zaśmiał się półgłosem :

— Głupi jestem.

Twarz miał smutną, usta ściśnięte, gdy wrócił

do stancyi. Tam wyglądało jak codziennie. W pierwszej części izby, zamieszkałej przez komorników, było ponuro, Froimowie siedzieli na swem łożu, zajądając zwykłą wieczerzę; czyściciel butów mieszał swe mikstury, tylko piekarza jeszcze nie było.

Jicchok zamierzał udać się na spoczynek, gdyż kolacyą wykreślił z programu swego życia, ale z za parawanu wyszła gospodyni, gruba Ruchel-Lea.

Na całą izbę buchnął strumień światła — na krótko, gdyż zamknąwszy drzwi za sobą podeszła ku Jicchokowi:

— Cóż wam jest, młody człowieku, że tak jakoś wyglądacie?

Trzej współlokatorowie patrzali ze zdumieniem; nie przypominali sobie, aby kiedyś podobne względy kogo spotykały.

— Nic mi — odparł Jicchok.

Gruba Ruchel-Lea ujęła go za rękę.

— Chodźcie do nas.

Zabrała go, zostawiwszy resztę komorników z wytrzeszczonemi oczyma.

Drugi oddział izby, podobny do alkierza, miał minę święteczną. Czysto tam było, schludnie. Na stole zaścielonym białym obrusem, płonęły szabasówki. Natan siedział oparty o ścianę łóżka, przy stole też była córka „państwa“, której czarne, bujne włosy pięknie odbijały od bledości twarzy i wyblakłej sukni.

— Siadajcie z nami do uczty sobotniej —

rzecze gospodyni do Jicchoka.

Ten się odwrócił.

— Ale... gdzieżby...

— Jak wy nie bę...będziecie...cie jeść, to i ja nie chcę, — przemówił niespodzianie paralytyk.

Nagabywany, przymuszony zasiadł Jicchok do wspólnego stołu; powoli język mu się rozwiązał i wdał się z panią domu w gawędę o interesach. Mianowicie wyznał, iż szuka zajęcia.

Ta była dla młodzieńca bardzo uprzejma i dobra. Opowiadała mu o posadach w sklepach, u rzemieślników, gadała dużo, bezustannie, za męża i córkę, którzy milczeli, a Jicchok szukał w powodzi jej słów potrzebnych sobie wskazówek.

XXXI.

W niedzielę rano rozpoczął wędrówkę po sklepach, położonych przy drugorzędnych ulicach. Gdzie tylko wyczytał na szyldzie imię żydowskie, wchodził i pytał o pryncypała.

— Panie, czybym nie mógł dostać zajęcia w pańskim handlu — zagadywał.

Kupiec obrzucał go najczęściej wzrokiem zdumienia lub niecierpliwości.

— Ja panie, przystanę na wszelkie warunki — dodawał Graf.

W kilkudziesięciu sklepach odprawiono go z kwitkiem bo subjektów nie potrzebowano więcej; w kilkudziesięciu innych powiedziano mu bez

ogródek, że nie przyjmują pejsatych i w bekieszach. Gdzieindziej wypytywano go, jakie umie języki, czy zna buchalteryą, ówdzie znowu — czy już kiedy był w handlu i w jakim?

Młodzieniec musiał odpowiadać wszędzie przecząco, przyczem pospiesznie dodawał:

— Ale ja się prędko wszystkiego wyuczę... będę pracował.

— Ee... a tymczasem?

— Ja panie, będę tylko za wikt i pomieszkanie.

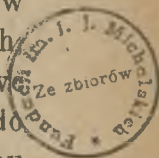
— Tylko? mawiał kupiec filuternie. — Praktykanci nam dopłacają.

Nad wieczorem usiadł Jicchok na ławeczce w ogrodzie. Nogi go bolały i zawód doznany. Literalnie ani jednego sklepu żydowskiego nie opuścił był, a wszystko — bezskutecznie. Nigdzie nie robiono mu nadziei, wskazywano tylko na złe czasy, stagnacją w interesach, na nadmiar ludzi, szukających zajęcia i t. d.

A wieleż to upokorzeń znieść musiał!

Przytem, gdy w wielu handlach patrzył na subjektów ufryzowanych, zginających karki, uśmiechających się i skaczących do gości; w niektórych zaś widząc kupezyków nędznych, nerwowych, wychwalających gorączkowo swoje towary i ciągnących gwałtem przechodniów do sklepu — musiał sobie powiedzieć, iż żadnemu z tych wzorów dobrych fachowców nigdy nie dorówna.

Żegnaj więc, karyero kupiecka! Jako przed-



sionek do gmachu szlachetniejszej pracy nie możesz mi służyć — myślał. Jednakowo — nie spodziewał się tak rychłego rozczarowania.

Ha, trudna rada. Jeszcze nie wszystko stracone. Trzeba pójść do pana Maurycego i z nim pomówić.

Udał się do mieszkania Bauerów.

— Dzisiaj — dumał — muszę coś postanowić.

Pod „decyzją“ rozumiał w tej chwili: zobaczyć pannę Lusię. Ujrzał ją prędzej niż przypuszczał — na trotuarze, wychodzącą z sieni. Serce biło mu młotem a twarz przybladła. Prędko podszedł, topiąc w niej rozplamienione oczy, a wiatr rozwiewał mu poję szerokiej bekieszy. O kilka jeszcze kroków oddalony zdjął jak mógł najzgrabniej aksamitny kapelusz i schylając głowę zawołał:

— Dobry wieczór, dobry wieczór panience!

Bauerówna przystanęła. Miała na sobie długi, brunatny płaszczyk, który doskonale uwydatniał smukły jej wzrost, pyszną kibić i figurę elastyczną. Kołpak olbrzymi, na którym się znajdował mały gaik i drobne jakieś ptaszę i wstążek pęk zasłaniał z przodu wspaniałe jej włosy, które Jicchok tak podziwiał, i rzucał cień na twarz, wyglądającą na ulicy bardzo, bardzo poważnie.

— Dobry wieczór — powtórzył Jicchok szarmancko raz jeszcze, stanąwszy obok panienki.

Ta zagryzła wargi, oczyma błysnęła i spuściła je, jakby nią gniew lub wstyd miotał, a z ręki wypadła jej parasolka.

Jicchok, który też się był zmieszał, nie wiedząc co przemówić do byłej swej mistrzyni, miał teraz wyborną sposobność do popisania się kawalerską grzecznością.

Schylił się przed Lusią, lecz nieszczęśliwym trafem uderzył o nią głową, tak iż mając już parasolkę w rękę, musiał skręcić z trotoaru dla podniesienia swego kapelusza, uciekającego w dal — a pędzonego w dodatku przez wiatr swawolny.

Nie długo pogoń ta trwała, ale gdy za minutę wrócił niosąc tryumfalnie parasolkę — nie zastał już panienki na poprzednim miejscu.

— Cóż to? wyrzekł półgłosem. — Nie ma jej. — Widocznie nie widziała, gdzie się podział — pocieszył się półgłosem. — Ale jej własność mogę zanieść.

Mocno trzymał w rękę jedwabną parasolkę damską o pięknie toczonych rączce. Wszak to z jej ręki.

Udał się na pierwsze piętro. Nie zastawszy w pokoju nikogo, złożył parasolkę na biurku „aby wpadła w oczy wracającej panience“ i zapukał do Maurycego.

— Ach panie, takim zmęczony...

— Zaraz — przerwał mu Bauer i polecił w kuchni przynieść szklankę herbaty i bułki.

Jicchok zaczął się drożyć.

— Dziękuję, doprawdy, nie głodnym.

— Et — zawołał Maurycy nieco szorstko. —

Poco ceremonie. To wcale nie modnie dać się prosić.

Dziwna, Jicchok się zawstydził, iż czyniąc to co „nie modnie“ okazał niezręczność.

Ze smakiem popijał herbatę i opowiadał dzieje dzisiejszej odyssei. Przy końcu posmutniał i wzdychał.

— Myślałem, że znajdę jaki kącik i kawałek chleba — mówił. — Będąc tak ubezpieczonym na razie, byłbym w dzień robił a nocami uczył się. Tak mocno tego pragnąłem.

Tu we Lwowie dopiero patrząc w około, i porównując się z temi dziełami rozumu i przemyśłu ludzkiego, widzę że jam nic... Tu poznaję nędzotę własną i prostactwo i myślę, że lepiej nie żyć, niż być takim jak zwierzę...

Maurycy spoglądał nań ze współczuciem.

— Ha — powiada — źle jest... Jam sam... dość młody, nie znam dobrze tych stron życia, o które wy się rozbijacie, ale wiem, że tam czarno i głupio. Nie mam też wpływów ani środków...

Puścił się znowu w marsz szybki wzdłuż stancyjki.

— Ale, ale — wykrzyknął — muszę to spróbować! Cóż-to! Mamy w mieście tylu bogatych... tylu, co odziedziczyli majątki nie skosztowawszy pracy ni próby... a nie wiedzących co teraz z niemi począć...; mamy tyle wielkich gąb, co ciągle wynoszą pod niebiosa swoje idee i zasługi i dobre chęci — niech ci panowie pokażą raz

swą wartość! Do nich zapukamy, Jicchok!

— Co pan zamierza?

— Tak. Ja mogę wam służyć radą, pomocą w nauce, ale niczem więcej. Są tu jednak ludzie wpływowi, rozporządzający znacznymi funduszami, a przytem uczynni... Do nich musisz pan wstęp znaleźć.

— Na-co?

— Dobryś pan sobie. Po pomoc.

— Ale-ż ja ich jałmużny nie potrzebuję.

Maurycy przygryzł wargi.

— O tem nie ma mowy. Ale oni mają stosunki ogromne w sferze handlowej i rękodzielniczej, zarządzają stypendyami i innymi pieniędzmi publicznymi, a ich obowiązkiem jest...

— Jakżeż ja panu dziękuję! wykrzyknął Graf, któremu nagle się uśmiechnęła przychylna nadzieja.

— Et, głupstwo — mruknął młody panicz zatopiony w dumaniach. — Pytanie, w jaki sposób przestąpić te wysokie progi...

Przechadzał się przez kilka chwil w milczeniu.

— Mam go! — obrócił się do Jicchoka. — Słuchaj pan. Pójdziecie do dra X., którego adres proszę sobie zapisać. Pan-to bardzo uczony...

— Uczony?

— Doktor filozofii...!

— Doktor filozofii?

— Był profesorem na uniwersytecie...

— Ooo!

— Otóż pójdziecie tam... Ja już dziś pomówię z nim, przedstawię mu wasze położenie i coś uradzimy.

Jiechok był zachwycony.

— Pan ten musi być szczęśliwym człowiekiem — zauważył.

Maurycy uśmiechnął się smutnie.

— On biedny — i pokrótce opowiedział życiorys doktora X.

— Rysiu! dał się nagle słyszeć z drugiego pokoju głos pani Bauer. — Co tu robi na biurku parasolka Lusi?

— Idę, mameczko! zawołał Maurycy, opuszcivszy gościa.

Temu krew się lodem ścięła, gdy usłyszał, iż w tej samej chwili roztwarły się drzwi, wiodące z kuchni do pokoju, gdzie się znajdowała pani Bauer z synem, i rozległ się głos Lusi... ale tak jakoś dziwnie brzmiący, jakby przepelniony oburzeniem i płaczem.

— Wyobrażcie sobie — mówił ten głos, dzwoniący zazwyczaj pieśczętą i wesołością. — Spotkał mnie, gdym szła do Milci, stanął wśród ulicy w całej swej okazałości, w bekieszy i pejsach tych obrzydłych...

— Ale kto? kiedy? pyta matka. — Co się stało, Lusi?

Ta podniosła sopranowy głosik.

— To impertynencya niesłychana, nieznośna... W obec całego miasta mię zaczepia i potem, naturalnie zgrabny jak niedźwiedź...

Jicchok słyszał, słyszał jak mówiła gwałtownie, uderzając bukiem o podłogę i jak przy ostatnich słowach, wśród tonów gniewliwych wybuchła śmiechem, przypomniawszy sobie zapewne pocieszającą jego gonitwę za kapeluszem...

Stał przy drzwiach, podstuchując mimowoli. Krew uderzyła mu w twarz różowiąc ją aż po wysokie czoło a zębami dzwonił. Tam tymczasem Maurycy zapytał:

— Powiesz nareszcie, kto tym Don Kiszotem...

— Ależ ten waż żydziak, ten...

— Cicho — syknął brat. — On tam jest.

Jicchok słyszał krótkie szmery i chód wszystkich do drugiego pokoju. Niebawem wszedł doń Maurycy:

— Oto, widzicie — kontynuował dalej zaczęłą rozmowę, jakby żadnej nie doznała była przerwy. — Jutro przed południem będziecie u doktora.

— Tak, tak... potakiwał Jicchok nie zważając na jego słowa.

— Ale — wtrącił Maurycy tonem uwagi. — Powinniście zrzucić z siebie ten ubiór azyatycki i przeodziać się po europejsku...

— To prawda — przyznał Jicchok pokornie.

— I, jeśli zechcecie — dodał Maurycy — dam wam potrzebne suknie., i kołnierze... trochę używane, ale... wcale dobre...

— Nie, nie, dziękuję serdecznie — odrzekł Jicchok urażony w swej dumie., — Dam sobie radę. Jestem bardzo wdzięczny, ale doprawdy...

— No, bądźcie tam jutro w południe.

Jicchok wyszedł nie widząc dobrze drogi przed sobą.

— Tak więc. Jestem zerem... żebrakiem... czemś niższem od człowieka -- powtarzał z niezmierną goryczą, która go piekła i gryzła. — A przecież niedawno temu było inaczej...

— Czym pierwaj tego nie wiedział, że ona panna... piękna, edukowana bogata... a ja...?

— Ee... niewarto o niej myśleć! zakonkludował z silnem postanowieniem — i wróciwszy do domu powtarzał: zapomnę... zapomnę. Mówiąc to wyszukał z gorączkowym pospiechem zeszyt z zadaniami jej ręką poprawionemi i zaopatrzonemi gdzieniegdzie podpisami. Podpisy te, ślady jej palców przyciskał do ust... długo... namiętnie.

XXXII.

Podług opowiadania Maurycego był doktor X. dziwnym człowiekiem. Syn ubogich rodziców ukończył był studia filozoficzne na uniwersytecie lwowskim, dzięki li własnej pracy i wytrwałości; dla dalszych studyów osiadł w Niemczech i tam wkrótce dał się poznać jako nader zdolny badacz na polu nauk filologicznych. Wielkie dzieło o tym przedmiocie wzbudziło zajęcie w świecie fachowców i uczyniło autora docentem tej umiejętności przy głośniejszej akademii niemieckiej. Młody uczony był na najlepszej drodze do wysokiej karyery; nie licząc jeszcze trzydziestki posiadał sławę w Europie, był człon-

kiem kilku ciał uczonych, powagą, wyrocznią i serdecznym przyjacielem młodzieży, wielbiącej w nim mistrza w zawodzie i chorążego w walce przeciw ciemnocie, przesądom i krzywdom wieków. Katedrę profesorską miał zapewnioną i zaszczyty i miłość — ale, dziwak, sentymentalny, niepraktyczny ideolog nie potrafił z tego korzystać.

Zachciało mu się koniecznie do Polski. Nie wystarczało mu, iż dotychczas, mimo oddalenia od kraju rodzinnego, utrzymywał z nim stosunki i pisywał liczne rozprawy w języku polskim; nie wystarczało mu, iż od czasu do czasu wyczytywał w dziennikach ojezystych notatki: „sławny nasz rodak dr. X., chluba nauki współczesnej, udowadnia swym przykładem żywotność i produktyjność naszego narodu w dziedzinie ducha i myśli.“ Pewnego pięknego poranku pożegnał Niemcy i nadzieje i źródła wiedzy, i, mając w walizce manuskrypt nowego wielkiego dzieła o lingwistyce porównawczej zjechał do Lwowa.

Nie wątpił ani przez chwilę, iż kraj, któremu zamierzał ofiarować wszystkie swe siły, da mu pole do ich zużytkowania; iż profesorowie wszechnicy, którzy tylekrotnie tak pochlebne pisywali oceny jego prac, chętnie powitają go w swem gronie. Aliści — cztery lata siedzi już we Lwowie i, niepoprawny! powoli dopiero przychodzi do przekonania, że katedry mu nie dadzą. Czemu? Bo on niedwuznaczny po-

stępowiec i — żyd.

Mieszka więc w dwóch pokoikach, utrzymuje się... z lekcji prywatnych i z pisywania korespondencyj do liberalnego dziennika stolicy. Ostatnie to zajęcie przynosi mu znaczny rozgłos. Współwyznawcy co się zazwyczaj natrzęsali z jego sentymentów, szacują w nim siłę wszechmocną w potężnym dzienniku, potrzebują go i boją się zarazem.

Do tego-to człowieka udał się nazajutrz w południe Jicchok. W ciągu tej nocy zmienił się on do niepoznania.

Nosił teraz długie spodnie, z pod których sterczał dziobek i obcasy błyszczących bucików; miał na sobie krótki surducik i kapelusz sztywny — wszystko czarne, z wytartymi bokami, kamizelka była na nim za wolna, a surdut za obcisły, ale zresztą wszystko dobrze. Co najważniejsza — głowę miał gładko wokoło ostrzyżoną, tak iż ani znak nie pozostał ze zgrabnych pejsów i rzadkiego mchu bokobrodów. Stojący kołnierzyk i całkiem nowa krawatka uzupełniały strój ten, który ekschusyd dostał był dzisiaj rano u handlarza starzyzny w zamian za drogie suknie swe „sobotnie“ i codzienne. Cieszył się Jicchok, iż nie potrzebował dopłacić, mylił się ciągle podnosząc rękę do pokręcenia ogonków przy uchu lub spuszczać ją, gdzie dawniej znajdowały się tylne kieszenie bekieszy — ale końcem końców: teraz „wyglądał jak człowiek.“ Lecz z powodu wydatków na drobne uzupeł-

nienie swej toalety miał już bardzo mało gotówki.

Zapukawszy, wszedł do pomieszczenia doktora.

Powitał go mężczyzna wysmukły, o cerze bladej, oku żywym, badawczem a czole wysokiem, bardzo nawet wysokiem — kosztem przeredzających się krucznych włosów, między którymi wiły się pasma siwe, jak zwykle u silnych brunetów, myślących lub używających życia zanadto.

— Nazywam się Jiechok Graf — przemówił przybyły wpatrując się z pokornym szacunkiem w witającego go pana.

— A, proszę, siadaj pan — poprosił tenże serdecznie.

Siadł i rzutem oka objął cały pokój. Widział ściany, zasłonięte półkami, na których rozpierały się setki książek różnego formatu; dwie ściany były niemi całkiem zakryte; przy jednej stały dwie szafy zamknięte, między niemi bióro; a na jednej było kilkanaście obrazów, między którymi przeważały portrety. Na biurku teka, lampa, przybory do pisania, rozrzucony tom gruby i listy; na krzesłach pliki gazet i broszur, pisma rozmaite leżały też na podłodze stosami, na stole środkowym, na drabinie, prowadzącej do wysokich półek biblioteki. Na niektórych spoczywały siwe warstwy pyłu; kurzawa podniosła się też z fotelu, wyścielonego suknem, gdy gospodarz zrzucił z niego czasopisma zapraszając gościa do siedzenia.

Jiechok patrzył w oblicze doktora, na wąsy,

drgające chwilami nerwowo, na oczy, patrzące przed się rozumnie i uprzejmie.

— Ten człowiek przecie musi być szczęśliwym — powtórzył. — Uczony, ma tyle czasu i książek... książek tyle, a co w nich myśli i obrazów i mądrości... Wprawdzie mówił wczoraj pan Maurycy, że on biedny...

— Opowiedział mi dużo o panu Bauer — przemówił doktor — Wszak pan rozumiesz po polsku?

— Rozumiem, ale nie wszystko...

— Nic to... Jakoś się porozumiemy, mów pan po swojemu... Pan więc zamysłasz kształcić się tutaj...

— Tak, panie, panie doktorze...

— Nie posiadając funduszów...

— Ale chcę zarobić to trochę, co potrzebne na życie...

— Wiem — i po obliczu doktora ciemna przeszła chmura.

— Tylko z panem, jak ze wszystkimi żydami młodszymi... nie wyuczono ich niczego, mają tylko głowy, a niemi murów nie przebić...

— Ej, jabym głową i przebił mury, gdyby ona była naładowana nauką...

Doktor się uśmiechnął.

— A tymczasem...! w tem bieda...

— Toż tak mało potrzeba -- wtrącił Jicchok — aby złamać twierdze ciemnoty i wyłączności, w jakiej żyjemy...

— Taak? a co z tego wyniknie?

— Oświata i asymilacya i postęp cywilizacyi!

Doktor zgorzkniał.

— A co będzie, jak wszyscy żydzi zrzucą bekiesze i wezmą się do nauki, jeżeli Polacy nie chcą ich przyjąć...

Jicchok popatrzył nań zdumiony.

— Co, nie chcą przyjąć? Przecież, jak mi pan Ludwik opowiadał, wszyscy lepsi zgadzają się na ten program...

— Ale nie wykonują ci, co mają siły i władzę...

— No — zawołał Jicchok po chwili namysłu. — To my mamy przekonanie, żeśmy szlachetniejsi, mądrzejsi, żeśmy lepszymi Polakami, niż ci urodzeni, bo lepszych rzeczy chcemy dla ojczyzny dokonać...

— Czyś pan już dużo miał do czynienia z chrześcianami? zagadnął go doktor.

— Nie, panie, ale tak myślę...

— Dobra to pociecha moralna, sumienie uspokaja — rzecze doktor. — Ale rzeczywistość nie mniej gorzka. Zaczekaj pan trochę...

Nie wiedzieć, czy ostatnie słowa odnosiły się do terażniejszości czy do przyszłości, bo gospodarz otworzył do drugiego pokoju drzwi, przez które Jicchok dostrzegł pościel rozrzuconą i kilka sukien na stole. Za chwilę gospodarz wrócił niosąc w jednej ręce tacę z szklankami, a w drugiej kipiący samowar. Nalał dwie szklanki herbaty i z szuflady wyjął „kajzerki“ i masło.

— Proszę pana — zachęcił Jicchoka.

Ten własnym oczom nie mógł wierzyć że taki wielki człowiek sam zajmuje się tak drobnymi

czynnościami. Doktor powtórnie poprosił a Jicchok niedrożąc się dłużej, wziął herbatę, gospodarz zaś zajadając małą bułkę, mówił:

— Widzi pan, życie nie kieruje się podług przepisów teoryj, ani pobudek, szlachtetnych samych w sobie. My żydzi wykształciwszy się stanęlibyśmy do konkurencyi z krajowcami na wielu polach pracy umysłowej, będącej ich monopolem, oni zaś, jak zwykle, nie chcą ustępować suto zastawionego stołu przybyszom...

— Ależ potrzebują ich tylko przypuścić, nie odstępować...

— Ba, wolne miejsca zachowują dla swych braci po krwi nie po duchu... Tak przynajmniej dzieje się dotąd.

Jicchok zamyślił się głęboko.

— Wszystkiemu temu — mówił dalej doktor popijając herbatę — winien ustrój gospodarczy społeczeństwa, sprowadzający gonitwę za złotem, walkę wszystkich przeciw wszystkim, zepsucie, zmateryalizowanie...

— Nie rozumiem tego dobrze — przerwał Jicchok.

— O tem dałoby się dużo mówić — rzecze doktor. — Ja powiadam, iż tylko miłość, solidarność i ofiarność zobopólna potrafią podnieść kraj ginący. Dopóki sobkowstwo i geszefciarstwo będzie wyłącznie kierowało klasami posiadającymi żydów i chrześcian, dopóty warstwy rządzone muszą być kozłem ofiarnym... A do rządzonych należymy my wszyscy, wszyscy, któ-

rym ustrój gospodarczy już od urodzenia odmówił samodzielności majątkowej a tem samym faktycznej w życiu czynnem...

— W takim razie — powiada Jicchok — należałoby usunąć ten porządek...

— To właśnie — odparł doktor. — Jak kraj każdemu będzie dawał wychowanie, to jest możliwość pracy, prawo do pracy i pole odpowiednie jego siłom, wówczas nie będzie obawy konkurencyi i antysemityzmu, płynącego z przyczyn ekonomicznych. Wówczas to i tacy, jak pan, doznawać będą opieki i pomocy... i nie tylko tacy... Lecz klasy wydziedziczone tak mało myślą, tak powoli przychodzą do tego, co my, przekonania... A wyższe królują...!

Zaniósł do drugiego pokoju przybory do herbaty i usiadł naprzeciwko Jicchoka.

— Co! — westchnął — pojedyncza przynajmniej głowa muru nie przebije, a wiara, iż wnukom będzie lepiej, nie karmi i nie grzeje.

Zadumał się a Jicchok patrzył weń głęboko zdziwiony.

— Być-że to może? pomyślał. — To mówi człowiek taki! filozof, co innych mądrości nauczał, autor uczonych książek, profesor, którego chwalili, kochali, wielbili...

— Tymczasem życie płynie — mówił dalej gospodarz, jakby do siebie. Oczy miał w tej chwili przygasłe, z uporem w ścianę white. — Najlepsze siły fizyczne, umysłowe i moralne, które-by mogły działać i tworzyć dla dobra ty-

sięcy, dla społeczeństwa i przyszłości jego, idą na marne, rozdrabniają się, rozpraszają w walce o co? — o trochę masła do chleba...

Jicchok milczał.

Doktor zerwał się z krzesła. Cisza w pokoju przywiodła go do opamiętania. Był zły i zawstydzony.

— Nie aby pana zniechęcić mówiłem to — rzecze trąc czoło. — Nie... Bo i co? Że jest dużo głupców i złych? a kiedyż ich nie było? Że oni górą? Prędzej lub później spędzimy ich... Zbroić się tylko trzeba — pracą, nauką. Ucz się pan, i owszem, pracuj — ale z tą myślą...

— I mnie kiedyś pan Ludwik mówił — wtrącił Jicchok — iż jeszcze jedna walka bratobójcza światem wstrząśnie i gwałtem utworuje drogę sprawiedliwości i szczęściu wszystkich...

— Tylko potrzeba mieć ten cel wiecznie przed sobą, karmić się nim, uświadamiać wszystkich... Jam dopiero niedawno się nim przejął... nie teoria ale doświadczenie, praktyka nauczyły mię...

Jicchok był zmieszany. Nie rozumiał dobrze myśli doktora.

— Otóż — powiada tenże, — jak już wiem z kim mam do czynienia, warto dopomódz — przynajmniej czem chata bogata. Nie wiele mogę sam zrobić, ale mam stosunki, wpływy, w mieście liczą się ze mną, a słowo moje nie przejdzie bez skutku. Dam panu kilka poleceń do wybitniejszych żydów, udasz się do nich a potem mię zawiadomisz o rezultacie...

Wypełnił kilkanaście wizytówek i dał je czekającemu cierpliwie Jicchokowi.

— Pójdiesz pan do adresatów. Trzeba z nimi mówić ostrożnie i grzecznie. Zobaczymy.

Pożegnał go bardzo uprzejmie.

XXXIII.

Z wirującą głową opuścił Jicchok bibliotekę doktora. Nie miał jednak czasu na dokładne zdanie sobie sprawy ze wszystkich doznanych wrażeń i uczuć, bo mu było pilno. Czuł, iż kieszeń staje się coraz lżejszą a o obawa o jutro rosła. Może teraz jest na drodze do ratunku...

Na pierwszej kopercie wyczytał adres: Wielmożny Pan Mader, adwokat krajowy.“

Jicchok dopytał się pomieszkania.

Zapukał. Czekał kilkanaście chwil, poczem zadzwonił.

Z za drzwi wyjrzała pucułowata twarz słuchającej:

— Czego?

— Do pana...

— Za kwadrans proszę przyjść, pan spi. Teraz jeszcze nie godzina urzędowa.

Suplikant zeszedł na dół. Dla spędzenia czasu i zadowolenienia pustego żołądka, kupił za 4 ct. bułki i zasiadłszy na ławeczce pobliskich wałów zajadał.

Na wieży ratuszowej wybiła trzecia. Jicchok znowu zadzwonił. Ukazała się ta sama twarz i

głos piskliwy zabrzmiał:

— Do kancelaryi proszę pójść! tu salon!

Naprzeciwko tych drzwi znajdowała się istotnie tabliczka z napisem: „Dr. S. Mader. Adwokat krajowy. Kancelarya.“

W wielkim, jasnym pokoju znajdowało się kilku panów przy biurach, zawalonych aktami i księgami. Zbliżył się do najbliższego i oddał mu karteczkę.

— To do pana mecenasa — rzecze pan ten.

Jicchok rozumiał, że źle trafił.

— A gdzież pan Mader? pyta.

— Tam.

Na palcach, aby pracującym nie przeszkodzić zbliżył się Jicchok do otwartych drzwi. Znalazł się na progu eleganckiego pokoju, którego posadzka lśniła, ściany lśniły obrazami, sufit lśnił złotymi malowidłami i żyrandolem. W środku znajdowało się wielkie bióro, przy którym na miękkim fotelu leżał sam mecenas.

— Co tam? zapytał głosem nosowym.

— Do pana adwokata!

— Proszę tutaj.

Jicchok podszedł i znalazł się naprzeciwko pana, o ile mógł sądzić niziutkiego. Głowa jego była jak ogromna bryła tłuszczu, w którą wsadzono małe, wiecznie mrugające, zielone oczka, nosek ogórkowaty i szerokie usta. Pan ten miał na głowie wyszywaną czapeczkę a na kolanach pieścił pieska, także małego, tłusciutkiego, wpatrującego się leniwym wzrokiem w zalane

oczy swego pana.

Jicchok stał skromnie przy biurze, a pan odebrał bilet od niego.

— Od kogo? — zapytał.

— Od pana doktora X.

— Ah! i miękka twarz pana Madera pofałdowała się jak skóra niegarbowana. — Czegóż znowu?

Odczytał bilet i zerwał się z fotelu.

— Ci ludzie formalnie zniszczyć mnie chcą! wybuchnął, rzuciwszy gwałtownie pieska z kolana. Ten zaczął skowyczyć.

— Kiziu moja! biedna, miła, jedyna Kiziu — zawołał adwokat krajowy, schyliwszy się po psinę, że aż stęknął i całując ją w kudłaty łebek. — Co, boli? boli? — i jął ją miękko, pulchną ręką głaskać.

— A któż on jest? — zwrócił się do suplikanta.

Ten pokornie odpowiedział, iż przybył z prowincyi na naukę.

— Hm... hm... znamy się na tem, znamy... A któż się panem zajmuje?

Na to Jicchok nic już nie odpowiedział.

— Otóż to, otóż to! zawołał adwokat. Ludzie... Kiziu!... z pod ciemnej gwiazdy, o nieznaney przeszłości, bez imienia, przybywają do nas i ssą i ssą. Ty tymczasem... Kiziu!... pracuj... w pocie czoła... wszystkimi siłami... miła moja Kiziu biedna... dniem i nocą... co, boli jeszcze? co? i szastaj — z ogonem precz hultajko!... groszem chudym... tłuscioszko moja...

Tu zapewne wskutek tej natężającej pracy, o której mówił, rzucił się w wygodny fotel, sapiąc ciężko.

— A na czyjeż ręce trzeba złożyć ewentualny datek? obrócił się do Jicchoka.

— Nie rozumiem.

— Przecież wam nie mogę dać.

— Bo co?

— Hm... hm... Słuchaj... bestyjkę mała!... młody człowiek! Pokieruj tak. Jak doktor szczerze się wszystkim zajmie... to jest... niechby naprzykład imiona ofiarodawców drukował w jakimś piśmie publicznem... Kizio, będziesz spokojna... to ja... i owszem... bardzo chętnie... nie usuwam się... toż całe miasto zna, iż moja... Kizia, waruj... uczynność... psia natura! .. gotowa do usług, gdzie tylko idzie o dobrą sprawę... tak... Proszę więc powiedzieć panu doktorowi, że się kłaniam, że się z nim niezadługo będę widział i... zem gotów w każdej chwili... Dobrze? Do widzenia! Kizio...

Jicchok był już za drzwiami.

XXXIV.

— Co to za obrzydły człowiek! powiedział sobie opuściwszy kancelaryę. — Toż on skończył uniwersytet, on prawnik uczony! No, no, ładny początek!

Odczytał drugi adres: „Wielmożny Pan Heiman, przełożony zboru izraelickiego.“

„I. Heimann *Hauseigenthumer*“, brzmiał napis

na drzwiach niedalekiej kamienicy. Zapukał.

Pan Heiman był w domu. Średniego wzrostu, krępy, barczysty, obrosły — przechadzał się po jadalni przysłuchując się żonie, czytającej najnowszy dziennik niemiecki.

— Patrzcie go! wołał właśnie do żony. — Impertynencya jego doprawdy już mnie gniewa. Pisać w korespondencyi, iż właściciele domów uciskają biednych lokatorów, iż pobierają niezapracowane renty, a nie mają względów... Oho, znamy się panie korespondencie!

Służąca podała mu bilet.

— Od pana doktora X.

Żona się podniosła.

— Ciekawam, o czem ten...

— O czem? burknął małżonek. — Dyabli by go wzięli z jego napędzaniem do dobroczynności.

A podchodząc ku czekającemu na progu młodzieńcowi rzecze:

— To o panu kochany doktor pisze?

— Tak.

— Bardzo to ładnie, bardzo... Ale cóż my możemy począć? Jednorazowa pomoc nie na wiele się przyda.

Wyraził to tak drastycznie w żargonie, iż Jicchok się zarumienił.

— Bynajmniej nie chcę jałmużny...

Pan Heiman uśmiechnął się pod ryzym wąsem.

— Wiem to, dla tego nawet nie próbuję panu jej ofiarować.

— Pracy tylko szukam.

— Otóż to... łatwiej mi wyjąć kilka guldenków, niż...

Jicchok przypomniał sobie tytuł na adresie.

— Może przełożenie gminy lwowskiej...

— Oh, mylisz się pan! Jestem właśnie prezesem... to jest sekcja finansowej i wiem dobrze... Gdzież my w stanie... Mamy tylu ubogich — w dzisiejszych czasach! Ooo! Dawniej byli obywatelami a dziś wsparcia potrzebują, gdzież więc możemy się zajmować zamiejscowymi... obcymi...

— Mogę zatem odejść?

— Czekaście... tak mi to przykro. Radbym coś uczynić dla szanownego doktora.

Zamyślił się głęboko targając brodę.

— Aha! — tu wpatrzył się poważnie i badawczo w Jicchoka.

— Siadaj pan i opowiedz, co właściwie przywiodło cię do Lwowa.

Jicchok usiadł a pan przełożony jął go wypytywać i przysłuchiwać się bardzo sumiennie. Widocznie ważna jakaś myśl strzeliła mu do głowy.

— Czy masz pan istotnie szczery zamiar pracować?

— Szczery i niezłomny.

— Jako rzemieślnik?

— Mówiłem pierwej. Cele mam całkiem inne, ale tymczasem, aby wyżyć, wezmę się do każdej roboty, bylebym miał czas także do nauki.

— To źle. Powiem wam. Jestem także członkiem rady pewnej fundacyi rozdzielającej co roku kilka stypendyów rzemieślniczych.

— A czemuż nie na cele naukowe?

— Dlatego, bo nam przedewszystkiem dzielnych robotników trzeba — uczonych mamy dosyć.

— My żydzi? zdziwił się Jicchok. — Toż nam najwięcej właśnie nauki, światła trzeba.

Pan Heimam nie był widocznie z rodzaju tych, co z interesantami w długie rozmowy się wdają.

— Mniejsza o to — przerwał. — Dość iż nasze fundusze przeznaczone tylko dla rzemieślników.. Radbym zadosyć uczynić życzeniom drogiego doktora, ale dobro instytucyi leży mi na sercu. Na cele tak problematyczne nie mogę wyrzucać pieniędzy.

Jicchok wahał się dać stanowczą odpowiedź.

— Zresztą — ciągnął dalej przełożony — konkurs rozpiszemy dopiero za kilka miesięcy... na nowy rok. Do tego czasu porozumiemy się i usłyszę zdanie doktora.

— Do widzenia więc! Proszę się kłaniać.

XXXV.

Jicchok znalazł się na ulicy pełnej, ruchliwej, gwarnej. Przechodnie popychali się, spieszyli, każdy z interesem lub dla przyjemności, każdy w towarzystwie lub do towarzystwa. Jicchok uczuł się samotnym, biednym.

Wysokie czoło przerzynała mu gruba poprzeczna zmarszczka a posępne dumania gniotły duszę boleśnie.

Jak w naczyniu, przepelnionem kipiącą wodą, para syczy, wre i podrzuca pokrywką, tak masa nowych uczuć i wrażeń wstrząsała jego wątłym ciałem.

Ze spuszczoną głową, drżący z chłodu i wewnętrzznego wzruszenia przepycha się przez tłumy zalegające chodniki.

Jemu nie spieszo. Choć mrok już zapada, choć ze sklepów błyskają już płomyki a wiatr zaczyna poświstywać, on chodzi powoli, miarowym krokiem, tylko od czasu do czasu rzuca się naprzód wzburzony, lub potrąca przechodnia.

Bo i dokąd-żeż mu pilno? Ma dom, gdzie ciepło i miło? Ma istotę, która teraz go powita, uściśnie za rękę i przemówi trochę czulej, łagodniej? I w domu nikt go nie pieścił, ale tam był przecież punktem środkowym całej rodziny; a podczas wakacyj przyzwyczaił się do dźwięków innych, do wzruszeń innych... teraz czuje się tak cierpiącym.

Więcej jeszcze — upokorzonym!

Czemu-to, czemu? Zbliżył się do ludzi z wiarą, z prośbą. Wierzył, że są dobrzy, prosił o kilka promieni tej dobroci, któreby dlań były drogą mleczną, wiodącą na coraz jaśniejsze szlaki, na szczyty coraz wyższe — ku urzeczywistnieniu marzeń swych i pragnień.

Obecnie widzi, za co go uważają; nie za to-

nałego, proszącego o deskę ratunku, nie za błędzącego, szukającego drogowskazu.

To go oburzało.

— Nie jestem żebrakiem! powiedział sobie.

— A czem-że? zapytał go głos wewnętrzny. Zebrakiem, żebrakiem jesteś!

Dreszcz nim wstrząsał zimny, wstyd i ból go palił.

— Bo i cóż? medytował. — Chodzę nie od domu do domu, lecz tylko do pewnych wskazanych. To istoty rzeczy nie zmienia. Gdybym jednak tego nie czynił, nie mógłbym żyć tutaj. Muszę zatem.

Jak dawniej podczas zapalonych dysput tal-mudycznych argumentował językiem, ciałem, rękoma, tak i teraz, rozmawiając ze sobą miotał się zapalczywie.

— Ah! to wy, Graf! przemówił nagle doń potracony przechodzień. — Cóż wam?

Był to pan Maurycy.

Jicchok zdjął kapelusz.

— Wracam właśnie od panów, do których doktor dał mi bilety.

— I jakżeż? pyta Bauer. — Chodź pan ze mną.

Wziął go pod ramię, przeciskając się przez ciżbę. Co chwila kłaniał się znajomym, zagadywał spotykanych kolegów, nie wypuszczając ręki Jicchoka. Ostatni uczuł się mile pogłaskany po sercu, że ten młody, piękny, elegancki pan nie wstydzi się jego towarzystwa. Opowiadał zdarzenia dnia dzisiejszego,

Maurycy serdecznie, wesoło śmiał się na wspomnienie adwokata.

— Jest on bezdzielnym — wyjaśnił towarzyszkowi — i hoduje psięta, pani mecenasowa zaś ma swoje kotki. Bo też nie ma nic więcej do czynienia, kancelaryą prowadzą inni, on tylko ćwiczy się w coraz nowych kombinacjach przy podpisywaniu szacownego swego nazwiska.

Rozmawiając stanęli przed pewną kamienicą przy ulicy żydowskiej.

— Tutaj mam wejść — przerwał Maurycy. — Albo, chodź pan także.

— Cóż tu? pyta Jicchok.

— Powiem panu. Ja z kilku przyjaciółmi urządzamy dziś zgromadzenie młodzieży żydowskiej, na którym poddamy pod dyskusję wiele obchodzących nas kwestyj i także projekt założenia nowego stowarzyszenia.

W sali na drugim piętrze kręciło się już kilku młodych ludzi; jedni przeglądali gazety, niektórzy rozmawiali, siedząc na stole, trzymając nogi na krzesłach, rozkładając się po sofie i łóżku. Było to widocznie mieszkanie prywatne, oddane w tej chwili na użytek publiczny.

Wchodzącego Bauera witali niektórzy poutale, drudzy z odcieniem ironii.

— Serwus Mesyaszu!

— Zawczasie, za pochlebnie — wołał przybyły.

— Widzi pan — obrócił się do Jicchoka. — Chodzi nam o to, aby udaremnić machinacje asymilatorów i przeciwstawić im stowarzyszenie

narodowców żydowskich, do których i ja się zaliczam.

Jicchok z tego zrozumiał, że protektor jego działa przeciwko ideom, wyznawanym przez się niedawno a apostołowanym przez pana Ludwika. Zdziwiony, prawie przestraszony, chciał poprosić o objaśnienia, ale Maurycy prędko dodał:

— Zresztą usłyszysz pan nasze debaty. Chodzi mi bardzo o to, abyś pan, jako znawca żydów i judaizmu, zabierał głos — naturalnie ze stanowiska żydowskiego.

— Ja?

— Tak, mów pan czysto żargonem. Nie ma się czego wstydić. My wszyscy narodowcy żałujemy iż nie władamy waszą gwara. Zresztą nie będziesz pan samotny. Patrzaj.

Istotnie przy stole siedziało kilku młodych ludzi w długich bekieszach i z kapeluszami na głowach.

— To synowie bogatych tutejszych starowierców, z którymi się teraz jednoczymy — odrzucił Maurycy. — Staraj się pan z nimi zaznajomić.

Wmieształ się między resztę obecnych a Jicchok usiadł w kącie patrząc i słuchając. Z szumu i brzęku, panującego w sali, z bieganiny i suwania krzesłami, nic nie mógł rozumieć.

Za kwadrans stanął Maurycy na podwyższeniu. Wyprostowany, odrzucił w tył bujne, czarne włosy, oparł się rękoma o stół i powiódł oczyma po zgromadzeniu.

Szum i krzątania ucichły.

Maurycy zadzwonił dwukrotnie.

— Koledzy! przemówił czystym, dźwięcznym, metalicznym głosem. — Ośmieliłem się zaprosić was tutaj, by podać pod światły wasz sąd kilka spraw, żywo nas obchodzących, i by w łączności i zgodzie powziąć kilka uchwał, mających być przewodnikami naszymi na rozhukanem morzu życia współczesnego. Zanim jednak przystąpimy do właściwej pracy, proszę kolegów by wprowadzili ład w nasze narady i wybrali przewodniczącego.

Rozruch hałaśliwy znowu zapanował, a z niego wyłoniły się wykrzyki:

— Kolega Bauer prezyduje, Bauer, Bauer!

Maurycy uklonił się a twarz jego promieniała dumą i zadowoleniem.

— Dziękuję wam koledzy — zawołał — za zaszczyt i zaufanie...

Kilka śmieszków szyderych syknęło w pobliżu Jicchoka. Zaprosiwszy dwóch obecnych na sekretarzy, wczął Maurycy mowę o swych poglądach na sprawę żydowską. Jicchok rozumiał z tego, że mowca miał nieszczęście urodzić się w jednym z licznych niestety! domów, które prawie że zupełnie już zatraciły znamiona żydowstwa. Wychowanie ich i wykształcenie, naśladujące wszystkie narody europejskie, a w szczególności wzorowane na niemieckim, polskim, i francuskim, oderwało ich od istotnego pnia narodowego t. j. od Izraela. Teraz dopiero, nauczony doświadczeniem i pod wpływem długich

studyów i rozmyślań (tu rozległy się między słuchaczami przyciszone śmiechy i liczne potakiwania) zwraca on się ku tradycyom prastarego swego rodu, ku ideałom i aspiracyom niezliczonych mas Izraela, i wyrzekając się mrzonek i szalbierstw asymilatorskich (*huczne brawo!*), wstępuje w obóz narodowo żydowski, czyli palestyński, ofiarując mu zdolności swe, pracę, życie!

Tumult zapanował po ognistej tej mowie. Szczególnie garstka bekieszowców była zachwycona i wykrzykami żargonowemi wyrażała radość niepomierną.

Maurycy z głową podniesioną i roziskrzonymi oczyma, przejęty swą rolą i ważnością chwili, odetchnął głęboko, dziękował z ujmującym uśmiechem na pięknem, bladym, obecnie lekko zarumienionem obliczu, i mówił dalej:

— Czas już nam powstać jak jeden mąż przeciwko trucicielom naszego ludu! Bo i czymżeż są tak zwani asymilatorowie, jeśli nie bandą frazesowiczów, dorobkiewiczów lub w najlepszym razie utopistów, prowadzących biedną, ciemną naszą brać na bezdroża? Czymżeż są ich idee? Do czego dążą? Nas, najstarożytniejszy szczepek cywilizacyjny, nas, potomków męczenników i kapłanów, chcą przerobić na co? mówmy szczerze: na schody ku wzniesieniu się garstce chytłych szalbierzy (*brawo! brawo i oklaski*), albo w najlepszym razie — chcą nam odebrać religią naszą prastarą, (*brawo i syki*), obyczaj nasze, datujące się od patryarchów, język biblijny, w któ-

rym są pisane największe, najwspanialsze poematy literatury powszechnej, rozumu ludzkiego...

Gdy wymówił ostatnie słowo rozległ nagle wykrzyk z łona starowierców:

— Co, rozumu ludzkiego? Biblia jest boską!

Maurycy się zmieszał, lecz tylko na kilka sekund. Prędko pochwycił:

— Tak... tak... Chcą nas zabić umysłowo, unicestwić moralnie! niepomiernie naszego znaczenia kulturalnego i godności ludzkiej, rzucają nas do stóp Polaków z prośbą zebraczą: przyjmcie nas, będziemy wam służyć... A za doznawane obelgi i upokorzenia dziękują niewolniczością, pochlebstwem, obłudą... we Francyi — głoszą — mamy być Francuzami, więc w Czechach — Czechami, w Rosyi — Rosyanami, w Tataryi — Tatarami, w Chinach — Chińczykami, w Afryce — Negrami lub Zulusami... Mamy przecież być braćmi tego narodu, pośród którego żyjemy...!

Grzmot oklasków przerwał mu mowę.

— Bravo! bravo! wołano ze wszech stron, wśród ogromnego śmiechu z tego dowcipu. Jeden chrypliwy głos z pośród bekieszowców wy dobył się z chwilowego tumultu.

— Więc my żydzi, my mamy być w Rzymie — katolikami, w Niemczech — protestantami, w Turcyi — mahometanami, w Australii — poganami... Bo przecież kompletną asymilacją jest chrzest, zmiana wiary mojżeszowej na religią panującą...

— Oho! wykrzyknęło kilku.

— Na razie nie chodzi mi o religią — zawołał

Maurycy, kontynuując dalej mowę z widocznem zadowoleniem z wywołanego wrażenia.

— Co to znaczy: nie chodzi nam o religią? huknął jeden z obecnych.

— Tylko o religią, wyłącznie — wykrzyknął dwukrotnie chałatowiec.

Głośny szmer rozległ się po zgromadzeniu, ale metaliczny organ Maurycego znów zapanaował nad zamieszaniem.

— Panowie! W jednym zgadzamy się wszyscy, w nienawiści przeciw asymilacji, w przekonaniu, iż naród nasz izraelski żyje, kwitnie i istnieć ma prawo. Wznosząc święte to hasło nawołuję was wszystkich do jednomyślności, do łącznego i solidarnego skupienia sił naszych, abyśmy organizacyi wrogiej — mogli przeciwstawić własną, jednolitą organizacją; abyśmy skoncentrowanym machinacyom nieprzyjacielskim — mogli przeciwstawić naszą pracę systematyczną, zogniskowaną, silną! Stawiam wniosek założenia towarzystwa palestyńskiego!

— Brawo! wiwat Bauer! wołali obecni z zapalem, aż w ten sposób uczczony prezydent dzwonkiem przerwał demonstracją.

— Koledzy! do rzeczy. Kto sobie życzy głosu?

— Ja.

I piękny, elegancki jakiś młodzieniec wystąpił.

— Nasamprzód — zaczął — muszę zaprotestować przeciwko nieformalnemu postępowaniu naszego przewodniczącego. Znam dobrze wszystkie

formy parlamentarne, a wiem, iż niedozwolonem jest, aby prezydujący zabierał głos w dyskusyi, tembardziej, aby stawiał wnioski...

Maurycy mu przerwał:

— Cóż znowu? Kolega zwraca uwagę tylko na stronę formalną. Mnie jest ona obojętna. Nam chodzi o rzecz samą.

— W takim razie nie mam nic więcej do powiedzenia — cofnął się parlamentarzysta.

Cichy śmiech mu towarzyszył.

Powoli rozwinęła się długa, żywa dyskusya. Chodziło o ułożenie statutów dla nowego stowarzyszenia. Pierwszy paragraf brzmiał: To *stowarzyszenie prowadzi nazwę...* Trzeba było właśnie wyszukać odpowiedniej nazwy. Przeszło pół godziny na tem zeszło. Projektów posypało się bez liku, wszystkie jednak przy głosowaniu upadły, ponieważ prawie każdy z obecnych postawił był własny wniosek w tym kierunku i tylko za tym głosował, tak iż trudno było zebrać większość na jeden.

— Czas tracimy niepotrzebnie, koledzy — wołał z wyrzutem przewodniczący. — Ja wnoszę nazwę „Cyjon“.

— Dobrze, brawo! ozwali się niektórzy.

— Lepiej „*Ahawas Cyjon*“ (miłość Syonu) — wołał znowu chrypliwy głos w żargonie.

Spory zapaliły się na nowo — ostatecznie po długich debatach przyjęto wniosek Maurycego.

Paragraf drugi orzekał — o celach towarzy-

stwa i środkach, wiodących ku ich urzeczywistnieniu.

Tu dopiero wybuchły sprzeczki i kłótnie gorące. Kilkunastu mowców po kolei starało się sformułować stylizacją tegoż ustępu — bez powodzenia. Dzwonek przewodniczącego był ciągle w ruchu, umysły się rozogniły, wrzawa rosła, po polsku, po niemiecku, w żargonie strzelano racami na dany temat.

Jicchok siedział w swym kąciku nieporuszony, zatopiony duszą i ciałem w nowy obraz — parlamentaryzmu. Bystro i uważnie przypatrywał się działaczom. W niektórych widział bogato ubranych paniczków, nudzących się i kpinkujących ze wszystkiego potroszę. Ci najwięcej kłaskali i od czasu do czasu sykali, zwłaszcza przy mowie Bauera. Szyderczo też jeden drugiemu szeptał:

— Widzisz Rysia... To Cycero!

— Gada jak z książki... jak djabeł z ambony.

— Trybun ludowy...

— Którego nie zrobili wydziałowym asymilanty...

— Który się wodzi i asymiluje z dziewczkami tylko polskimi.

— Oj ten Rysio — westchnął z nich jeden filuternie. — Wysoko skończy...

— Na ławie ministeryalnej.

— Lub na szubienicy.

Zachichotali i równocześnie zaczęli bić szalone brawo, gdy się utrzymał wniosek Maurycego.

Jicchok odwrócił się z odrazą od swych sąsiadów i z rozszerzonymi żrenicami patrzył w jaśniejącą, spoconą twarz przewodniczącego, który z nateżeniem słuchał mowców, równocześnie notował na świstku i od czasu do czasu szeptał coś na ucho sekretarzom lub zbliżającym się kolegom.

Z pomiędzy tych Jicchoka zainteresowało najwięcej kilku skromnie ubranych, z oznakami długiej pracy i biedy na twarzach. Ci najżywszy brali udział w dyskusyi, biegali, gardłowali rozgorączkowani, z całym przejęciem się...

— A widzisz — mówił z nich jeden. — Jak to dobrze, że Bauer do nas przeszedł...

— Wietrznik, kurek na kościele — zauważył drugi.

— I cóż? odrzekł pierwszy. — Tem lepiej. Złączony z naszą ideą także ambicyą osobistą, będzie jej lepiej służył.

— A w każdym razie — zakończył trzeci — ma on wpływ, zdolności, werwę, a jak się raz weźmie do czego, to niechby pioruny były, on nie ustąpi.

Grupa chałatowców trzymała się osobno. Rozmawiała tylko w żargonie, komunikując się od czasu do czasu z członkami gromadki drugiej.

Jicchok obserwował ludzi tych, poświęcających się pracy tak przezeń pożądaney, pracy dla idei. Zazdrościł niektórym widocznego w argumentacyi wykształcenia i dokładnej znajomości stosunków; niektórym — daru oratorskiego.

— Gdybym go posiadał — myślał — połałbym trochę zimną wodą zapalone te głowy.

Wtem ktoś go ujął za ramię. Obejrzał się — to pan Maurycy. Przy stole prezydyalnym siedział ktoś inny.

— Słuchajcie, Jicchok — szepnął z pośpiechem. — My tu chyba końca nie dojdziemy. Wy jako znawca żydów, jako niedotknięty manią gadulstwa, wypowiedzcie głośno swoje zdanie, bo mi trudno wytrzymać.

— Ja? oburzył się Jicchok. — Ale nie umiem..

— No, jak umiecie. Wszak inni także po żydowsku gadają... Oddalił się pospiesznie.

— Pan Graf ma głos! zawołał z podwyższenia.

Na Jicchoka poty biły. Staął — nogi się pod nim chwiały. Otworzył usta — a słowa z trudnością się wydobywały. Przed oczyma migotało mu, bo mgłą zaszczyły. Wszyscy się ku niemu zwrócili, jako ku mowcy całkiem nieznanemu. Niezgrabna, wyraźnie drżąca jego postać i twarz zbladła wywołała już śmiech przytłumiony w sąsiedztwie. To go przyprowadziło do zmysłów. Wyprostował się i ręką powiodł po czole. Zapamiętał był kilka zwrotów i figur retorycznych z dzisiejszego wieczora, treść mów dotychczasowych pamiętał dobrze a zdanie o nich miał gotowe. Zaczął więc :

— Panowie! Przyszedłszy tutaj nie miałem zamiaru zabierać głosu, zmuszają mię tylko... tylko... okoliczności. I może dobrze, że się tak

stało, bo mam powiedzieć coś rzeczywiście ważnego.

Gdy pierwsze słowa zabrzmiały wśród ciszy, przestraszył się dźwięku ich i kolana znów mu zadygotały i język się plątał. Prędko jednak oswoił się i wyraźniej, donośniej ciągnął dalej:

— Wszyscy, co dotąd mówili, zajmowali się tylko sprawami nowego towarzystwa: jak ono się ma nazywać, co i jak ono ma działać... nie słyszałem jednak ani razu, aby ktoś zapytał, czy w ogóle... takie towarzystwo jest potrzebne...?

Tu zaszumiało nagle w powietrzu.

— Co on mówi? Co plecie?

— Ja — zawołał silniej Jicchok — ja mówię... mnie się zdaje, iż takie towarzystwo jest tylko szkodliwe, więc niepotrzebne!

Tu wybuchły krzyki oburzenia i gniewu. Jicchok jednak panował już zupełnie nad swym wzruszeniem, śmiało powiódł okiem w około i dźwięcznym głosem kontynuował:

— Proszę panów, ja zauważam co następuje. Kiedy pan Bauer pierwaj wymówił, że biblia jest dziełem rozumu i że on nie zajmuje się religią, poczęto tu krzyczeć przeciw niemu. Dlaczego? Dlatego, bo on nie wierzy w to, co każdy prosty żyd wierzy, bo on jest wykształconym i wielu tu jest wykształconych. Z nimi nie mogą się zgodzić zwyczajni żydzi, bo dbają o swoje przesady, bo nie znają, bo nie cierpią nauki i rozumu.

— Oho! cicho! dość! zaczęto teraz z wielu stron wołać hałaśliwie.

— Dbając o swoje przesady — powtórzył Jicchok z mocą — i pilnując ich, muszą oni być przeciw każdemu wolnomyślnemu! Potraficie-ż zatem działać razem, w jednym towarzystwie, solidarnie? Albo jedni przestaną być tem, co nazywają prawowiernymi żydami albo drudzy zaczęną robić to, w co nie wierzą... Zgoda między wami niemożliwa!

Syki i wrzaski rozległy się obecnie po całej sali, a Jicchok zamilkł na chwilę. Rozruch był silny.

— Co wam się stało? zbliżył się doń zaczerwieniony Maurycy. — Dość mi tego!

— Jakto dość? odrzekł pocichu Jicchok wzburzony. — Jakeście raz zażądali, bym mówił, niech powiem. Przecież nie chcecie, bym mówił inaczej niż myślę.

I nie zważając na Bauera ciągnął dalej wśród niepokoju, wzmagającego się z siłą burzy.

— Panowie jesteście przeciw asymilacyi, przyzywacie się palestyńcami. Czyż wierzycie doprawdy, iż wam się uda odbudować Jerozolimę? Czy myślicie, że nasze żydowstwo się na to zgodzi, gdy mu to zaproponujecie? Ono was zapyta: gdzie Mesyasz? gdzie znaki na niebie i na ziemi? gdzie anioł Gabriel...? Wy na to umiecie tylko odrzec, iż nie wierzycie w zabobony, a wówczas usłyszycie głosy: precz od nas bezbożnicy, *apikorsym*, wy nie żydzi!

Krzyki i gwizdanie zawrzały teraz szalone, ale z drugiej strony sali zaczęto też wołać:

— Słuchajcie, słuchajcie!

— Znam żydów! wołał Jicchok rozgniony.
 — Wy ich nie znacie i wszystko straciecie. Nie trzeba przemawiać do ich rozumu, bo ten głupi jest, ciemny jak u dziecka, a gdy zechcecie mówić jakie ludzkie krytyczni, gdy zechcecie rozniecać światło, odstrychną się od was, przeklną, pogardzą... Możecie więc zwolenników znaleźć chyba między wykształconymi. Tych jest mało i ci skłonniejsi do asymilacji!

Mało już teraz było oburzonych i miotających się. Owszem, słuchano Jicchoka uważnie. On przemawiał śmiało, dźwięcznie, z ogniem przekonania.

— Panowie! rzecze po chwili odpoczynku. — Gdybyście znali żydów... jacy oni biedni... gdybyście pomyśleli, wiele tam żywotów marnieje, wiele zdolności ginie lub gnije żywcem nad talmudem, wiele dusz usycha z pragnienia za kroplą wiedzy prawdziwej, a wiele ust za kawałkiem suchego chleba, to nie zajmowałibyście się takimi rzeczami martwymi... Lepiej szukajcie środków zaradczych na toczącą ich nędzę! Żydom trzeba dać pracę i naukę. Jakaż dacie im naukę — polską czy nie?

— Pewnie — zawołało kilku.

— To jakżeż się porozumiecie z żydami z Anglii lub Francji, co inaczej mówią i myślą! Chcecie po polsku nauczać, zróbcież to wspólnie z asymilatorami. POCO rozdrabniać, niszczyć siły? Ale dajcie im pracę! Chcecie ich zrobić rolnikami, rzemieślnikami, kupcami dobrymi. Przy tem wszy-

stkiem mają też pragnąć powrotu do Palestyny i niepodległości narodowej... Jak-żeż więc? Związać się z tym krajem a tęsknić do innego? Możnaż będzie myśleć o pracy trwałej dla kraju, o dobru naszych współmieszkańców, jeżeli chcemy stąd się wybrać? A kraj czy pozwoli na taką dwulicowość i politykę? Cóż zatem poczniecie?

Powstrzymane długo namiętności i oburzenie młodzieży zerwały się, jak fale bystrego z góry spadającego potoku. Prezydent dzwonił, każdy krzyczał, ci za, tamci przeciw, wszyscy hałasowali naraz i pchali się i tupali nogami, a panicykowie dla hecy czy w chęci zaprowadzenia ładu, zaczęli sykać: sz...a... ci...cho... ts...ts...

— Koledzy! dał się słyszeć metaliczny głos Maurycego. — Proszę o spokój! Koledzy! Wstyd doprawdy...

W sali stało się nieznośnie duszno. Dym cygar i wyziewy wypełniały przestrzeń ciasną. Kilka krzeseł się przewróciło, gospodarz izdebki biegał wszędy, prosząc o porządek, niektórzy wychodzili, trzaskając głośno drzwiami, aż ponad wszystkie burzliwe hałasy wzbudził się znowu głos Bauera.

— Z powodu spóźnionej pory ogłaszam posiedzenie za zamkniętą. Termin ciągu dalszego ogłoszę później.

Wrzawa długo jeszcze trwała — naokoło Jicchoka.

XXXVI.

Późna już była godzina, gdy młodzież się rozeszła. Maurycy trzymał obok siebie Jicchoka.

— Ależ nie spodziewałem się tego po was! rzekł bez gniewu. — No, no, porządną narobiście chryję.

Roześmiał się wesoło.

— Zdaje się, iż tak prędko nie zostaniesz prezesem — powiada jeden z kompanii, ów parlamentarzysta, imieniem Henio.

— Czy doprawdy sądzisz, że tylko o ten problematyczny honor mi chodzi? odparł Maurycy z niekłamanem oburzeniem. — Nie możecie uwierzyć, iż istotnie pragnę dobra żydów i rad bym nadtem pracować...

Mówił o tem dłużej, z uczuciem, z przekonaniem, niebawem jednak przyłączyło się jeszcze dwóch znajomych, których Maurycy przedstawił swemu towarzyszowi. Jicchok zauważył na nich wysokie cylindry i pięknie zakręcone wąsiki. Nazwiska ich kończyły się na... *ski*. Przynieśli kilka ciekawych nowinek i plotek.

Rozmowa całkiem inny obrót wzięła, strzelano dowcipami i uśmiechem.

— Pójdźmy do Zosi — zaprojektował Henio.

— Do Zosi — postanowili.

Stanęli przed jakąś knajpą przedmiejską.

— I wy z nami, Graf, nieprawdaż? powiada Maurycy. — Pobaraszkuje trochę. Co? wiecznie suszyć mózgownicę i pracować? Chodźcie!

Jicchok się ociągał. Nie wiedział, jak się za-

chowywać w wesołem, eleganckiem tem towarzystwie.

— Chyba jako były kandydat na rabina nie chcesz się pan profanować... Pójdźmy — ja funduję.

Jicchok wszedł za nimi do pokoiku osobnego, oświetconego drżącym płomykiem gazowym. Jeden stolik i kilka krzeseł, przykutych do podłogi, sofa i szaragi i obraz jakiś lubieżny stanowiły całe umeblowanie.

Przybyli poufale klepali gospodarza po ramieniu.

— Tak dawno panowie nie byli — skarżył się tenże.

— Odwetujemy sobie dzisiaj już wszystko.

Przyniesiono kielbaski z chrzanem i piwo.

Jicchok, nieśmiało siedząc na rogu, nie wymówił do nikogo ni słowa. Zajadał.

— Hej — krzyknął jeden, Kazikiem zwany — a ona gdzie?

— Czyby już podrożała? pytał Maurycy.

— Dyabła tam. Widziałem ją wczoraj z prostym kapralem. Otóż i ona!

— Serwus Zośka! huknęli wszyscy.

Zosia była niską, pulchniutką blondyneczką. Kibić miała bardzo zgrabną, chód nadzwyczaj szeroki, podbródek bieluchny, o dwu piętach; śmiejąc się ukazywała śliczne ząbki i rozkoszne dołeczki w pulchnej twarzyczce a oczyma mrugała tak jakoś dziwnie i figlarnie...

— Że choć całuj! wołał Henio.

— Serwus! przywitała grubym głosem młodych panów. W obu rękach niosła flaszki.

Maurycy przyskoczył.

— Powoli, pomaleńku — pisnęła — bo upuszczę.

— Ostrożnie zatem! roześmiał się Maurycy i objąwszy ją na wpół, ucałował.

— Ależ panie, co za śmiałość! krzyknęła obejmując go ramionami i bijąc flaszami w plecy.

— Nic to, aniołku, tylko piwo.

— Piwa Zośka! zawtórowali biesiadnicy.

Płomienisty rumieniec, od gęstych włosów aż po kołnierz oblał Jicchoka. Wpatrzył się bystro w talerz.

— Cóż to za borbifaksa? — szepnęła przybyła wskazując nań palcem.

— Nowy facet, ale daj mu spokój dzierlatko moja, nie dla ciebie on...

Wzięła flaszkę między kolana usiłując odkorkować.

— Ależ to ją zaszpuntowano! zauważył jeden z towarzystwa, Munio.

Znowu śmiech huczny. — Pomogę ci, biedaczko! zlitował się autor dowcipu i przysunął rękę za blisko flaszek.

Szklanki już brzęczały.

— Pij pan — podsunął Maurycy jedną Jicchokowi. — A Zosia gdzie? Hola, ptaszek nam ucieka!

Poskoczył ku oddalającej się i bezceremonialnie ją na wpół objął.

— Serdeńko! przemówił cieniem, piskliwym

głosikiem. — Nie opuszczaj-że nas biednych, spragnionych twego...

— Widoku twego... dokończył Henio.

Ona pokręciła głową. Robiła im wyrzuty za niestałość, za rzadkie odwiedziny. Udobruchała się jednak prędko.

— Cóż myślicie — zakończyła. — Pocieszam się.

— Na zdrowie tych, co nas pocieszają! krzyknął Maurycy.

Kelner przyniósł grog gorący i otworzył z alkierzyka drzwi do bilardu. Wszyscy tam przeszli, Jicchok pozostał przy stoliku przeglądając gazetę.

Stuki, skoki i podrygi kul rozległy się przy akompaniamencie wesołych śmiechów i wykrzyków. Jicchok nie patrzył tam, czuł się oburzoną i obcym... Nie mógł sobie wytłómaczyć, co Maurycy tu porabia... On — brat jej...

Nie chciał wymówić jej imienia na tem miejscu. Ona zapewne kocha swego brata — pewnie go nieraz pieści i całuje tesame usta... tesame, co przed chwilą głośiły idee i myśli szczytne, a teraz tak się bruczą...

Do alkierzyka znowu wpadła kompanija, goniąc uciekającą Zosię. Wszyscy byli już bardzo rozochoconi, z ognistemi rumieńcami na twarzach i świecącemi oczyma.

Kobietka rzuciła się zasapana na sofkę i wywijała rękoma i nogami.

— Uf... jakim przestraszona... pfuj, *fuj Teufel noch a mal*, jak mówi mój... ten kapral... Jak

pan Munio może być tak niegrzecznym!

— Ależ aniołku — perswadował Munio.

Aniele stróżu mój,

Wiecznie przy mnie stój — zaintonował Kazik.

A gdy nie chcesz stać,

To się... — zakończył Maurycy, którego włosy były rozwiane, a oczy zamglone, mieniące się.

Przysiadł się do Zosi.

— Byliście już na Nanon? zapytał towarzyszy.

— Gdybyś wiedziała, jakie tam pyszne kawałki!

— Jakie? powiedz pan, zaśpiewaj! mizdrzyła się kobiecinka.

— Słuchaj-że. Powiedz, jaka jest różnica między damą z wielkiego świata a damą z małego światka, taką na przykład, jak ty!

— Różnica... różnica hm... Że wy mnie wolicie, niż wielką damę. Kto zaprzeczy?

— Nikt — zawołał Munio patetycznie. — Ciebie wolimy, ciebie, jak długo słońce, to jest księżyc i gwiazdy świecą.

— Koncept stary i głupi, jak ty sam — sarknęła.

— Pst Zosia... stajesz się niegrzeczna — wpadł jej w słowo Maurycy. — Więc nikt nie wie? Różnica ta, że wielka dama dekoltuje się z góry, a mała... z dołu!

Śmiech trysnął za ust wszystkich.

— Brawo!

— Brawissimo!

Jicchok podniósł się, odrazą i pogardą przejęty.

Maurycy widocznie niemało już miał w czubku

Dostrzegł wstającego Grafa.

— Hej — krzyknął. — Cóż, uciekacie? Ej...

Gwałtem posadził go na stołku.

— Mielicie kiedyś zostać rabinem — ciągnął dalej. — Opowiedźcie coś o rabniach.

Jicchok nie wymówił ni słowa a rzesza ich otoczyła.

— Słuchajcie, sam więc powiem. Ale to już nie jest z Nanon. Wiecie, że żydowski cudotwórca zowie się dobrym żydem. Powiedźcież mi, jaka zachodzi różnica między dobrym żydem a niedobrym?

— To już chyba sam powiesz, bo my... wtrącił z przekąsem Kazio... ski.

Maurycy nie zauważył ironii.

— Różnica taka, — powiada -- że do dobrego żyda musisz ty jechać, dać mu pieniądze, a on ci przyrzeknie, że żona twa zrodzi dziecko, a ona dziecka nie będzie miała. Zły zaś żyd przyjedzie do ciebie, da tobie pieniądze i przyrzeknie, że żona twa nie będzie miała dziecka, a ona je zrodzi.

Wychylił szklanę grogu a koledzy za boki się brali od śmiechu.

Zosia stała wpośród pokoiku zatykając uszy.

— Doprawdy, że uciekam... wstyd panowie... Wstyd...

Munio pochwycił ją w pól i okręcił kilka razy po pokoju.

— Niewiniątko moje — wykrzykiwał. — Toż ty nic nie rozumiesz. Cóż ci wiecej szkodzi!

Zaczął jej coś szeptać do ucho, a Kazio zanucił z popularnej operetki:

Aby sła-awę mieć, — Trzeba ty...ylko chcieć!
Sposób kto na to zna, — Już ją ma, już ją ma!

— Już ją ma, już ją ma! powtórzyli wszyscy chórem.

Zosia wyrwała się z ręki szepezącego Munia.

— To obrzydliwe! wołała uderzając go po rękach.

— Ależ to prześliczne! droczył on się.

— Brr... to paskudne...

— Ależ to słodkie! powtórzył.

Wszyscy znowu huknęli śmiechem.

Zosia rzuciła się na sofkę.

— Mnie dajcie spokój, nie chcę, nie... nie...

Znowu zatrzepotała rękoma i nogami.

— Kto się zbliży, ten dostanie! zagroziła.

— Ależ ja właśnie chcę dostać! zawołał Maurycy i prędko usiadł na jej kolanach.

Nie bardzo się broniła.

Objął ją jedną ręką i przycisnął do piersi. Przytem zaśpiewał na powyższą nutę:

Aby Zosię mieć, — Trzeba tylko chcieć.
Sposób kto na to zna, — Już ją ma, już ją ma.

Wesołość obecnych nie miała granic.

— Oryginałna moja kompozycya — pochwalił się Bauer.

— Wart-eś nagrody! zawołała Zosia i odrzuciła go od siebie, że aż się zatoczył. Zerwał się w okamgnieniu i rzucił nią na sofę.

— Brawo Rysiu!

— Nie daj się Zośka — wołała młodzież niezmiernie rozochocona.

W tej chwili Jicchok był już w pierwszym pokoju i pół reńskiego zostawił gospodarzowi. Kieszeń miał już bardzo lekką, serce pełne bólu i wstydu. Chciał płakać, smagać do krwi, piorunować, grzmieć...

XXXVII.

Nazajutrz puścił się dalej w podróż z pozostałymi kartami polecającemi doktora. Rano obliczył się był z gospodynią i po zapłaceniu jej należności, za pomieszkanie pozostał z kilku centami w kieszeni. To nim wstrząsnęło silniej, niż długie rozpamiętywania i idee; zgroza sytuacji przeppełniła go smutkiem i trwogą. Drżał na przypuszczenie, że i dzisiejszy dzień może być bezowocnym jak dotychczasowe i w myśli już się widział ogołoconym ze wszystkich środków i z... nadziei. Najrozmaitsze zmory obskoczyły go i dławily niemiłosiernie.

— I gdzież prawda na świecie? pytał. To co dotąd widział, to nie było wcieleniem cywilizacji. Co zdaleka wydawało mi się prawdziwemi perłami, to tylko paciorki, olśniewające świetnemi barwami, gładkie, okrągłe, dzwoniące mile jedna o drugą — ale są tylko ze szkła, a wewnątrz puste ..

I gdzież prawda? Widziałem wprawdzie i inne paciorki, grube, o barwie gliniastej, nadłuczone; te są już z jednej masy, trwałe, ale

chropowate, rażąco szkaradne, te są zaprzeczeniem tego, co nazywał pięknem i dobrem. Czyż prawdziwych, szlachetnych pereł nie znajdzie nigdzie? — pytał — nigdzie?

Toż tylko kawał świata znam — zakonkludował. — Niech mu się bliżej przypatrzę. Prawdę znaleźć muszę. Chodzę po domach, które już nie są położone na brudnej, ciemnej ulicy Zapiecka, które są już oblane światłem i przyozdobione bogactwem. Tym cywilizacya dała przecież nie tylko szaty złudne...

Dotąd, ach dotąd, widział mało dobrych, a więcej wyrodków cywilizacyi. Bo nie inaczej, tylko poronionym płodem cudownie pięknej, niebiańsko szlachetnej matki są te okazy zła lub głupoty... One są tylko kroplami, a w morzu, z milionów kropel złożonem, falującym w wiecznym ruchu, pod gorącemi pocałunkami złotego słońca muszą być też świetne, tęczowe...

Jakżeż chciałby je widzieć! Nietylko, aby w ich dobroczynnych nurtach się skąpać, nietylko, aby po ich wyjściu zyskać zdrowie i siły, ale także po to, by utwierdzić się w wierze, że morze nie jest wyłącznie siedliskiem gadów i potworów, kierujących się zasadą, iż ryba żywi się rybą słabszą..

Do dziś dnia jednak... nie mógł natrafić na ślad, gdzie prawda?...

Trzeba dalej szukać!

Udał się najpierw do dyrektora Löw'a.

Zastał go w pysznym gabinecie nad stosem

aktów. Wysoki, chudy, miał twarz bladą, ocienioną czarniawemi bokobrodami, policzki zapadłe, a oczy małe, przebiegające niespokojnie z przedmiotu na przedmiot.

— Dobrze, dobrze — odrzekł on petentowi.
— Ale czegoż właściwie chcą odemnie? Czyż doktor nie wie, iż teraz u mnie każda chwila droga?

Mówił głosem ostrym, urywanemi tonami, z żywą gestykulacją.

Jicchok nie wiedział co na to odpowiedzieć.

— A skądże *on?* zapytał doktor. — I po co tu?

— Jestem z Zapiecka — zaczął Jicchok, ale gospodarz prędko poskoczył i oparł kościstą rękę na jego ramieniu.

— Z Zapiecka? z Zapiecka? Doskonale!

Zdziwionego Jicchoka usadowił na fotelu aksamitnym i sam usiadł naprzeciwko, założywszy nogę na nogę.

— Z Zapiecka powiadasz pan? A znasz pan dobrze miasto?

— Urodziłem się tam i mieszkałem dotychczas.

Dyrektor zacierał ręce i nogą zaczął bębnić marsz jakiś na podłodze.

— Wie pan? ja z tego okręgu kandyduję właśnie do parlamentu.

Jicchok jeszcze bardziej się zdumiał.

— Dotąd posłował stamtąd jakiś szlachcic — mówił dyrektor. — Ale tam wyborcy żydowscy przeważają. Czyż to nie wstyd, aby żydzi nie głosowali na mnie? Powiedz pan sam!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, przeszedł się długimi krokami po gabinecie.

— Mów mi pan coś o tem mieście!

Jicchok z największą chęcią rozpoczął opowiadanie, jaka to w mieście panuje nędza, jak dzikimi, nieucywilizowanymi są ludzie... Mówił, że pozostają wszyscy pod pantoflem cudotworecy...

— Którego? zapytał z pospiechem.

Jicchok go wymienił.

Dyrektor zatarł ręce.

— Przewybornie! Tylko jego muszę więc skaptować; jak on kiwnie palcem, oho-ho! A zażmożny on?

— Zdaje się, że bardzo.

Dyrektor się zachmurzył.

— No, drogo szelma każe się opłacić...

Jicchok zrozumiał o co chodzi. Oburzył się niezmiernie.

— Przekupić, przekupić... — wtrącił, interlokutor jednak pochwycił:

— A w mieście, hm, w mieście?

— W mieście — zawołał Jicchok głośno — daje się właśnie najsmutniej odczuwać wpływ cudotworecy, który wysysa i ogłupia tłum ślepy... Sądzę, że on najostrzejszą zaporą pochodowi postępu, że jego siłę najpierw trzeba złamać podkopać, zniszczyć...

Dyrektor się roześmiał.

— Frazesy, kawalerze, frazesy. I jam tych zasad, ale czy zawsze można je przeprowadzać? Toż ja go teraz potrzebuję, toż on będzie mym

sprzymierzeńcem, spodziewam się, spodziewam, będzie najskuteczniejszą mą pomocą...

Jicchok zdobył się na śmiałość.

— Ależ cywilizacya na tem traci tyle...—powiada. — Mnie się zdaje, że na jej wpływie na masy najbardziej powinno zależeć...

— No, no, kawalerze — rzecze dyrektor wpatrzywszy się weń badawczo. — Ja właśnie to samo propaguję. Patrz pan — tu podał Jicchokowi broszurkę jakąś cienką — oto dziełko przezemnie napisane... dawno już temu... ale teraz hm... właśnie w interesie cywilizacyi... Jak zasiądę w parlamencie, przeprowadzę swe idee, przedtem, jednak przedtem — nie mogę przecież swym wyborcom odczytywać tego dziełka, przypadłbym z kretesem a wraz ze mną idee cywilizacyjne... postęp... zbawienie kraju...

Wyprostował się całą długością w poczuciu swej misyi i powagi.

Jicchok wpadł w zadumę.

— A w mieście tam, w mieście — zapytał żywo dyrektor — co? kto tam rej wodzi między obywatelami?

Jicchok wymienił kilka imion najpoważniejszych *gwirów*, które interlokutor zanotował.

— Jak to dobrze, żeś się pan tu zjawił! wykrzykiwał. — Ten doktor jest nieocenionym.

Jicchok ostrożnie lecz dość wyraźnie scharakteryzował „wnuka brodzkiego“, jako bardzo wpływowego.

Gospodarz był zachwycony.

— Takich mnie dajcie, takich! powtórzył z rozjaśnioną twarzą.

W Jicchoku zaczęło kipić.

— Ależ to człowiek niegodziwy, frymarzący sumieniem, zasadami!

— Doprawdy? Toż to idealny człowiek! Specjalnie dla mnie stworzony! Bo to widzicie, ja stron tych nie znam wcale, a temi dniami zgłaszam kandydaturę. Przy pomocy zaś takich indywidualności szacownych — wygram, zwyciężę, zapanuję!

— I to ma być dla idei, dla dobra żydów? zauważył Graf smutnie.

Po wąskich wargach dyrektora przebiegł szyderski uśmiech i prędko ustąpił poważnemu tonowi.

— Naturalnie! I nacóżbym pracował, jeżeli nie dla dobra biednej, ciemnej, mej braci... Ja dla siebie, dzięki Bogu, nic nie potrzebuję — nic, mógłbym spokojnie i wygodnie paść swój brzuch — ale... doprawdy, serce mi się kraje, łzy w oczach stają, na widok... Tu przerwał i nową myślą natchniony obrócił się...

— Słuchaj pan! Świetna idea wpadła mi do głowy. Panu potrzeba pieniędzy!

— Bardzo.

— Będziesz je pan miał. Dam wam plik odezw i programów... wszak umiecie dobrze po hebrajsku?

— Tak.

— Pan mi to przetłómaczysz na hebrajskie,

zastosujesz do stosunków lokalnych, tylko zgrabnie, sprytnie, tak... a potem może udasz się pan tam napowrót, do znajomych, w okolicę...

Jicchok się podniósł z czarną chmurą na czole.

— Nie, panie.

— Ależ młody człowieku! Ja wybornie zapłacę... zaraz... a potem, jak przy kompromisie z cadykiem i tym... jak się zowie? Łajbełem zostanę wybrany, nie zapomnę o panu, wynagrodzę jeszcze... sownie, słowo honoru!

— Dziękuję panu — odrzekł Jicchok sucho i odszedł bez ukłonu.

XXXVIII.

— Bezsumienni, hańba im, przewrotnym — piorunował w tajnikach duszy. — I gdzież tu prawda? gdzie prosta uczciwość? Gdyby nawet cele jego ostateczne, gdyby jego chęci były najszlachetniejsze, możnaż się posługiwać tak podłymi środkami? On, który ukończył tyle szkół, i nie mało zapewne myślał i czytał, on teraz poda rękę idiotom i wyzyskiwaczom i nikezemnikom — choć sam może nimi gardzi... A po co? Aby osiągnąć jakiego honoru. W takim razie zasługuje, by mu w twarz pluwać. Może jednak dąży naprawdę do czegoś dobrego? ha, pocóż posługuje się tak niegodziwymi narzędziami: kłamstwem i oszukaństwem... Czyż kłamstwo i oszukaństwo nie nazywa się kłamstwem i oszukaństwem gdziekolwiek i jakkolwiek się objawia? I gdzież prawda, gdzie?

Pograżony w takich rozmyślaniach stanął przed błyszczącym „kantorem wymiany i domem bankowym“, do którego właściciela miał także polecenie.

W osobnym gabinecie, którego najważniejsze umeblowanie stanowiły dwie Wertheimerówki, siedział szef zatopiony w wielkiej księdze mosiądzem okutej. Jicchok przez kwadrans może stał na progu, przypatrując się kształtnemu profilowi i gładkiej jego łysinie. Przecież notowanie skończyło się, a posiadacz imponujących kas i bardziej jeszcze imponującej łysiny obrócił się ku niemu:

— Więc od pana doktora?

Przejrzał bilet i zmierzywszy oddawcę od stóp do głowy, rozparł się wygodnie w fotelu.

— Widzisz pan, rzecze stanowczym tonem — w tak młodym wieku nie ładnie żyć z cudzej łaski.

Jicchoka oblał ciemny rumieniec.

— Ależ panie — wykrztusił — ja nie po jałmużnę tutaj przyszedł, tylko po robotę!

— Znamy się na tem. Czyś pan z góry nie wiedział, że u mnie w banku żadnej pracy nie dostaniesz?

Czuł Jicchok całą prawdę tej uwagi i odparł z siłą:

— Sądziłem, że obowiązkiem możnego jest ułatwić życie uboższemu za pomocą wszelkich środków, jakimi rozporządzają.

Tak śmiało nikt nie przemawiał do milionowego bankiera. Ten też zdziwił się niepomału

i bacznie zaczął obserwować przybyłego.

— Tak pan sądzisz? Ja nie jestem tego zdania. Protekcyja i wsparcie psują tylko młodzież, dźwigają niedołęgów, a kto ma energią, ten sam sobie da radę. Tak, panie, pracą własną, siłą woli, samopomocą można i trzeba dojść do czego, siłą woli, powtarzam panu, energią osobistą.... Posłuchaj pan. Przed czterdziestu laty przybyłem do Lwowa, mając dziurawe buty, dziesięć zdrowych palców i trochę oleju w głowie. Przysiągłem sobie wówczas, że muszę zrobić majątek, i cóż? Zacząłem od wymiatania schodów tej kamienicy, później wycierałem tu kąty i wyuczyłem się abecadła, nakoniec urzędnicy zaczęli mi dawać papiery do przepisywania. Stąd nauczyłem się manipulacyi biórowej. Przytem składałem grosz do grosza, na giełdzie dobiłem się trochę gotówki i w kilkanaście lat po przybyciu do Lwowa byłem już współnikiem od tego interesu, a teraz jestem jego szefem...

Mówił to powoli, cedząc słówko po słówku, jakby myślą przeglądał się każdej epoce swej historyi. Mówił to głośno z dumą człowieka, wiedzącego iż tylko dziesięcioma palcami sam wzniosł wielki, piękny gmach. Dziejów swego żywota nigdy zresztą nie zatajał, opowiadał je przy każdej sposobności.

Jicchokowi nie były obce podobne historye. Odrzekł więc z prostotą:

— Ja ani razu nie przedsięwzięłem sobie zostać bogaczem, chcę tylko być pożytecznym i

wykształconym.

Taki ton był bankierowi jeszcze bardziej nieznanym.

— Głupiec, czy spekulant — pomyślał i dodał głośno: — Proszę bliżej. Siadaj pan. A cóż właściwie naprowadziło pana na tę ideę?

Nienawistnem stało się Jicchokowi to opowiadanie, którem się musiał popisywać, jak chory żebrak swem kalectwem, chciał też mówić jak najzwyczajniej. Ale bankier widocznie się zainteresował i pytał o szczegóły, nakoniec zerwał się:

— Ależ to niesłychane! Więc pan zupełnie odrzucasz talmud!

— Tak jest.

— No, to za śmiało! Ja wprawdzie na talmudzie się nie znam, w sobotę palę, ale życie mnie wiele nauczyło. Gdybyśmy się nie przyznawali do zakonu Mojżesza, zrzucilibyśmy z siebie wszystkie cechy żydostwa!

— A jak się w to nie wierzy? wtrącił Jicchok.

— Alboż to raz robi się inaczej niż się wierzy — odrzekł bankier poważnie.

— Jabym tego nigdy nie uczynił.

— No, teraz już wierzę, że pan nie będziesz milionerem. Mów pan do końca.

Jicchok opowiadał dalej, ale gospodarz niebawem przerwał z silną nutą oburzenia w głosie:

— Dość już, dość! Pan gotów-eś dojsć do ateizmu, do nihilizmu i Bóg wie do czego jeszcze...

Opowiadający umilkł.

— Wyobraź pan sobie, coby to było, gdyby

wszyscy ludzie do takich przewrotnych doszli zasad — krzyczał bankier. — To jabym na przykład nie mógł spokojnie przejść przez ulicę nikogo u siebie przyjmować, musiałbym wiecznie chodzić w koszulce żelaznej i nosić rewolwery... Strach, strach w jakich żyjemy czasach.

Jicchok nie mógł w żaden sposób zrozumieć, w jakim związku pozostają ze sobą kwestya krytyki religijnej i zbójectwa; czuł, iż jest uczciwym człowiekiem mimo swej wolnomyślności, a nie miał chęci rozbijać kasy, pomimo że był bez centa w kieszeni... Podniósł się z krzesła.

— I cóż mam powiedzieć panu doktorowi?

— To, że, że... przekonanie moje nie pozwala mi wspierać ludzi o takich ideach.. Żegnam.

Jicchok obrócił się ku drzwiom. Musiał natężyć całą siłę woli, aby nie wybuchnąć gniewem wobec tego człowieka, obrażającego jego uczucia i przekonania tak brutalnie. Bankierowi jednak w tej chwili przyszło na myśl, iż tą odmową zrazi sobie korespondenta do Wiednia...

— Młody człowieku! zawołał do stojącego już za progiem.

Jicchok wrócił.

-- Powiedz pan panu doktorowi, że jak mię zna, nigdy się nie usuwam od filantropii, owszem.. owszem... hm... I teraz bardzo chętnie ofiaruję... przyrzekam składać na jego ręce co miesiąc kwotę... kwotę... tak z dwa reńskich, jeżeli się znajdzie więcej takich, aby suma zbiorowa wystarczyła na utrzymanie zupełne.

Jicchok niezgrabnie się uklonił i wykrztusił: dziękuję bardzo. Za drzwiami miał ochotę wyciąć sobie policzek.

— Czy jam nie podlec, przyjmując od niego pieniądze?

Przypomniało mu się przysłowie rodzinne. „Ubogiemu nie wolno być dumnym“. — Nie wolno? — Ba, a jak zechce, na kim to się pomści? — Bieda nie tylko ciało pożera, nietylko żołądek kurczy — myślał z bolem. — I duch przez nią chłostany płacze, i serce, jak gąbka, wsącza w siebie łzy i gorycz... — O samopomocy mówił pan ten, ja jednak czuję, iż jego drogą kroczyć nie potrafię... Chyba inna dusza we mnie mieszka, i czyż ona gorsza, czy dlatego, że nie jest doń podobna, musi karmić się żółcią i odpadkami z cudzych stołów?... Gdzie tu sprawiedliwość? O samopomocy mówił pan ten... Dobry on sobie, a cóż na przykład mogę ja uczynić, ja, ciśnięty w świat, bez zasobów i sił... Samopomoc! ha, wymysł spanoszonych bogaczy... Gdyby ja teraz posiadał i najsilniejszą wolę i żelazną energią, cóż mógłbym zdziałać? Cóż więc wobec tego znaczy samopomoc...

Czy by nie było lepiej, aby każdemu świat dawał możność do wykazania zdolności swych i chęci... Niechby społeczeństwo stawiało każdego dojrzewającego na pierwszy szczebel pracy, zapatrując go na początek w najpotrzebniejszą zbroję... Niechby pierwszym tym szczeblem była szkoła, czy warsztat, kancelarya lub lada ku-

piecka... Od talentu i energii, od właściwego charakteru człowieka zależałoby wówczas dalsze jego wspinanie się po stopniach drabiny aż do pewnego szczytu... Walka byłaby wówczas między wszystkimi równa, godziwa, do szlachetnego prowadząca celu, a teraz...

— Teraz! Czemu jedni wchodzą na arenę życiową odrazu z koroną na głowie i ostrym mieczem w rękę, a drudzy nago... bezsilnie... O własnej pomocy bankier mówił... I cóż mogą począć ci? co — ja?

Nie bardzo był Jicchok uradowany z pierwszego błysku pomyślności, jaki mu zaświtał przez cały czas pobytu we Lwowie...

XXXIX.

Za ostatnią gotówkę sprawił sobie chudy obiad i pograżył się w myślach niewesołych, wielkimi krokami przechadzał się po szczupłej stancyjce, rzucał się i miotał gorączkowo. Rozdrażnienie nerwowe targało nim, tak iż nie wiedział co z sobą począć.

Nad wieczorem udał się jeszcze do państwa Z. Doktor mu mówił, iż tam poszukują nauczyciela języka hebrajskiego dla synka, iż wprawdzie on (doktor) z zasady jest przeciwnym nauczaniu tego przedmiotu — jednakowoż, jeżeli sobie koniecznie życzą, trzeba korzystać ze sposobności... Nadziei tej uchwycił się młodzieniec oburącz — gdyby go ona zawiodła, znalazłby się na odludnej, dzikiej wodzie, skąd nie widział czółna

ni brzegu ni mostu.

Zadzwoił. Jakiś jegomość w liberyi otworzył mu drzwi i kłaniając się do ziemi wymówił uniżenie :

— Całuję ręczki panu dobrodziejowi.

Jicchok się przestraszył.

— Dobry wieczór — rzecze. — Przyszedłem do p. Z.

Lokaj wyprostował się i wściekłem wejrzeniem obrzucił przybysza.

— To pan nie zaproszony na wieczorek dzisiejszy ?

— Mam interes...

— Psia krew sobacza! mruknął, i głośno syknął:

— Nie można, państwo dzisiaj mają gości.

Jicchoka dreszcz przeszedł.

— Ależ ja do państwa muszę! powiada. — Koniecznie...

— Hm... jak mam zameldować ?

— Od pana doktora X...

— Proszę tu zaczekać.

Jicchok usiadł na sofce przy piecu. Znajdował się widocznie w przedpokoju; na wieszadłach, na wszystkich krzesłach leżały paltoty i zarzutki, parasole i kapelusze. Zmrok tutaj panował, tylko z otwartych drzwi tryskało białe światło, rzucając grube cienie na znajdujące się tu przedmioty. Jicchok przechylił się ze swojego siedzenia i dostrzegł na mahoniowych stołach wielkie kandelabry srebrne, w kątach kolumny marmurowe a na nich przśliczne kwiaty; kwiaty

jakieś dziwne, olbrzymie, rozgałęzione, obsypane puchem i czerwienią stały też w porcelanowych wazonach, a na przeciwległej ścianie lśniło ogromne zwierciadło w ramach złotych, mające po obu stronach obrazy, z których wyglądały, oblane rzesistem światłem, kobiet postacie. Jicchok skulony w kątku sofki, nawpół zasłonięty piecem, przyglądał się chwilami olśniewającemu przepychowi i przysłuchiwał szmerowi i szumowi powstałemu zapewne z cichej rozmowy wielu osób, znajdujących się w dalszych pokojach. Za chwilę niewyraźne dźwięki podniosły się i aż do przedpokoju doleciały odgłosy:

- Karty, karty!
- Kibicować?
- Tylko klabra...*)
- Słodki klabr!

Ostatnie słowa brzmiały miękko, srebrzyście, jak z ust młodej, delikatnej kobiety.

Jicchok poruszał się na swem siedzeniu niecierpliwie.

— Cóż? pomyślał. — Czy tu dom gry?

Musiał czekać, bo lokaja nie było. Dumał boleśnie o postaciach swego partykularza, którym całe życie spływało wśród męki i goryczy wszelkiej; których jedyną rozrywką był sobotni odpoczynek, a jedyną potrawą — cebule...

Z drugiego pokoju drzwi się otwarły i wszedł ten sam lokaj, niosąc w obu rękach srebrne

*) Klabr: ulubiona gra w karty pewnej części żydowskiej plutokracji Lwowa.

tace, na których piętrzyły się stosy ciast, cukrów; na rękach miał zawieszony koszyk, z którego wyglądały szyjki butelek.

Facet ten widocznie zapomniał o czekającym. Znikł w drzwiach salonu, a Jicchokowi stanęła w myśli jego stancyjka z zamieszkującymi ją nędzaczami; i blada suchotnica pracująca 16 godzin na dobę, i ojciec jej paralytyk; małżonkowie Froimowie, dzielący się gnijąciami pozostałościami nierozsprzedanych ogórków, ów przymusowo próżnujący robotnik, ponury, mrukliwy, który wczoraj dał gospodyni dwie koszule, nie mogąc gotówką zapłacić czynszu...

— Wiwat! rozległ się nagle ogromny krzyk z pokojów, spleciony z szebiotliwych sopranów i basów silnych.

— Wiwat! powtórzył chór, pomieszany teraz z cienkimi chichotami i grubym, hucznym śmiechem.

Za chwilę wszystko ucichło i tylko krótkie, urywane głosy dolatywały, jak echa komendy:

— Ojciec daje bank!

— *Habt Acht!*

— *Contra!*

— *Recontra!*

— *Terz!*

— *Quart!*

— *Fuss!* huknął głos jakiś tryumfalnie przy akompaniamencie licznych okrzyków: A to ci dopiero! Z tatem nie chcę grać więcej! Muszę ojcu dobrze już patrzeć w palce!

Ostatnie te wołania brzmiały tu wyraźnie, gdyż z jadalni, zamienionej obecnie na pokój do gry, gdzie starzy i młodzi, dzieci z rodzicami, panowie o wykształceniu uniwersyteckiem z rozkwitającymi panienkami zapalczywie, namiętnie oddawali się ulubionemu klabrowi, drzwi się właśnie roztwarły i do przedpokoju weszła jakaś para...

Jicchok chciał się ku niej zbliżyć, ale ta ścisnęła się w przeciwległym kącie obok drzwi, szepcząc coś na ucho. Siedzącego nieruchomo w cieniach gęstego zmroku młodzieńca doszły tylko wyrazy:

— Droga moja!

— Tak rzadko się widzimy!

-- Mam już osobne pomieszkanie...

A za chwilę:

— Więc jutro... wieczorem...

— A będziesz sam?

— Nie bój się... ostrożności wszelkiej...

— Ale on... on...

— Tak to mię kochasz!?

— Przyjdę!

Para ta złączyła się rękoma, pocałunkami, a Jicchok, który wprzód nie chciał przeszkadzać, obecnie wyprostował się i chrząknął.

Para ulotniła się w okamgnieniu. Niezadługo wyszła z salonu dama jakaś kształtnej kibici, z majestatycznym wejrzeniem.

Jicchokowi zdawało się, iż to ta sama, która niedawno tuliła się do mężczyzny.

— Czego pan życzy sobie? zapytała.

Przedstawił jej, z czem przychodzi.

— Nie — odrzekła dama rozdrażnionym głosem. — Nie, nie potrzeba... Proszę przeprosić pana doktora, ale dziecko moje... doprawdy... takie szczuplutkie, a ma pracy szkolnej tyle...

Jicchok wyszedł, mając już pewność, że gruchającą damą była właśnie pani domu.

Poraz pierwszy uczuł żal i gniew z osobistymi motywami.

— Dlaczego — pyta — mają tacy wszystkiego podostatkiem, a my mrzemy w głodzie i ciemności... czemu? czemu? I gdzież prawda? Gdzie sprawiedliwość?

XL.

Stąd udał się wprost do doktora. Ten śmiał się i zgrzytał zębami przysłuchując się dziejom wędrówki swych biletów.

— Widzi pan — powiada — co to Lwów...

— Więc te kilka osobistości, które poznałem, mają przedstawiać Lwów...!

— Przynajmniej wierzchnią jego warstwę — odparł doktor poważnie.

— A co najgorsza — zauważył Jicchok — to młodzież...

— Ba, panie, a jakie ta bogata młodzież ma wzory w domu? Jak haniebie tresuje się ją w szkole!... I cóż dziwnego, że ona nie ma polotu, życia, ideałów...

Jicchok zapytał o charakter młodego Bauera.

— Maurycy — odrzekł doktor — jest najżywszem zaprzeczeniem Ludwika. Jako nieodrodny syn stulecia jest on potroszę blagierem i bardzo ambitnym, ale przy tem wszystkiem — wierz mi pan — ma on dobre serce. Wyrachowanie złym lub fałszywym nie będzie on, jest tylko zanadto krewki z natury, wrażliwy, a przytem — wychowany bez ojca... Ludwik zaś — pocziwiec, jakich mało, z zamkniętymi oczyma brnie po uszy w idealizmie... Który z nich więcej złego zrobi, trudno przesądzać.

Jicchok westchnął.

— Ach, gdyby mnie nie był malował Lwowa tak złudnie pięknym, tak nęcącym... gdyby mię przynajmniej dobrze był przygotował...

— Cóż-by się było stało? uśmiechnął się doktor. — Jestem pewny, iż można jak najbardziej pesymistycznie być usposobionym przybywając tutaj, a po krótkiem studyowaniu okaże się, iż pesymizmu jeszcze za mało.

— Ale jedno byłbym choć uratował, wiarę w świat... w istnienie prawdy.

Doktor filozofii ściał usta gorzko.

— Wiara w świat... w istnienie prawdy... I po to przybyłeś pan do Lwowa! Naiwny pan jesteś niepospolicie. Uczynił ruch, jakoby odpędzał od siebie mary natrętne.

— A któż nie posiada za młodu tej prostoty ducha... a wielu później marnieje, zaprzepaszcza się z tego powodu! Lwów, panie, nie zasługuje na tę nazwę. Powinien nosić imię, jakim go

ochrzcił humorysta, powinien się nazywać: Wilków, Wilków panie!...

— Przecież Lwów — wtrącił Jicchok — jest stolicą kraju, a osoby, u których byłem, są zapewne znacznymi, wybitnymi, jeśli więc po nich mam sądzić — nie widzę tej cywilizacji, tego postępu...

— Cywilizacja, postęp! Jak Loew mówił: Frazesy, kawalerze, frazesy! Ja powiadam, że wszystko dyabła warte, co w ludzi nie wszczepia szlachetności i tego co nazywają altruizmem... Wytłómaczył się bliżej i ciągnął: — Gdzież tu znajdziesz tego ducha? Nie w tej warstwie, którą pan poznałeś. A jednak do tej pana posyłałem, gdyż ona króluje szczęśliwie, błogo... Zstąp niżej, a znajdziesz jeszcze wysokie wykształcenie, pracowitość nadludzką, uczynność ofiarną, ale w wyższych dziesięciu tysiącach — tfu! Jak człowiek z gminu, nie jak filozof, splunął przytem pogardliwie. — To jest hańbą naszą, to naszym nieszczęściem — kończył — że dowodzący u nas sztab oficerski nie łączy w sobie prawdziwej inteligencji z charakterem dzielnym. A dopóki jedno z drugim nie idzie w parze — pożegnaj się z nadzieją o lepszej dla kraju doli!

— W Warszawie, we Wiedniu — zaczął znowu po chwili — masz ludzi wyższych nad miarę trywialności codziennej. Tam są wielkie zdolności i namiętności wielkie, a tu wszystko takie poziome, płaskie o baraniej lub lisiej poczciwości. Między tamecznymi żydami znajdziesz wielkich finansistów, a u nas — tylko geszefciarzy, o któ-

rych każdy zna jakąś bajeczkę. Tam znajdziesz żydów - autorów, poetów, artystów — a u nas tylko mistrzów kulinarnych. Tam znajdziesz mecenasów, działaczy szlachetnych — a u nas groszowych dobroczyńców. Widziałem tam salony wielko-światowe, wspaniałe, a tu są szopki dla karciarzy, dla kwoczek i gąsek. Tam znajdziesz mężów publicznych, a u nas masz *znachorów* o krótkim wzroku i długim ogonie ambicyi. Jakieś przekleństwo nad tutejszą arystokracją żydowską ciąży! że gdzie się obrócisz, napotkasz tylko sobkowstwo, błotnisty egoizm, małpiarstwo obcych, blichtr łudzający, kuglarstwo... Wszędzie służalczość wobec wyższych, zwierzęca zajadłość wobec niższych, zbydłecenie w czei dla fetysza złotego...

Bo i któż tu stanowi rdzeń plutokracji?! Mamy lichwiarzy kilku, polujących na niedolę lub podłość ludzką; adwokatów, z których większość nie broni żadnej sprawy przed swoim sumieniem a każdej przed sądem; bankierów, których wyniosły matactwa giełdowe i faktorstwo... Oh, gdyby Diogenes tu przyszedł ze swą latarnią, nielada jaką miałby robotę... Gdyby się zjawił ktoś, coby te stajnie Augiaszowe chciał wyczyścić, albo nowy Mojżesz, aby zdruzgotać wznoszące się na publicznych ołtarzach złote cielce, zwane bóstwami, ideałami, celami życia...

Jiechok z tej mowy prawie wszystko rozumiał.

— Więc tak źle, tak rozpaczliwie źle tutaj! szepnął schyliwszy głowę jak człowiek, którego siły opuszczają.

Doktor znowu się wstrząsł, jakby oprzytomniony.

— No — powiada łagodniej — są wyjątki... kto wie... Gdyby Bóg na tę Sodomę zechciał spuścić deszcz ognisty — naturalnie mówię tylko figurycznie — zdołałby może jaki Abraham wyszukać kilku sprawiedliwych; ale całość, panie! ogół jaki! Toż tu mowa o klasie społecznej, i to o tej, która zawsze występuje jako reprezentantka żydów... Znowu się uniósł i podniesionym głosem mówił: — Wolę już o wiele średnią warstwę, kupców, przemysłowców, szczególnie lekarzy naszych, acz tu walka o chleb koszławi sumienie... Ale ta warstwa przynajmniej nie pieczętuje się znamieniem cywilizacji wyższej, ta nie uważa się za wyłącznego arendarza enót publicznych i kierownictwa losami setek tysięcy... Doprawdy, że przeszłe generacje były pod wielu względami o wiele sympatyczniejsze! Prowadziły szlachetne życie rodzinne, a teraz masz wyrafinowane nadużycia... były istotnie nadzwyczaj dobroczynne, a teraz masz chudą filantropią okazową o wielkiej gębie... Tamte nie miały pola do pracy politycznej, a teraz masz na tem polu — co? To co tak bujnie, tak niepowstrzymanie kwitnie zawsze i wszędzie: blagę i szwindel, geszeft lub indferentyzm. Czyż kilka wyjątków obali regułę?

— Więc gdzie prawda, panie? gdzie prawda?

Doktor ulżywszy wezbranemu sercu odetchnął głęboko i przeszedł się po szczupłej stancyjce.

— Prawda, przyjacielu — rzecze powoli — prawda dla nas: <http://jeszcze.org.pl> jeszcze nie listnieje. Są gdzie-

niegdzie świty prawdy, a gdzieniegdzie jej przyjaciele...

— A ci co mają czynić? zawołał Jicchok, a głos jego brzmiał prawie błagalnie, jak tonącego prośba o deskę ratunku.

— Ci mają szukać niestrudzenie...

— Jak? gdzie?

— U wszystkich warsztatów, gdzie możliwą jest myślowa lub fizyczna praca... niezależna, sumienna, wiodąca do doskonałości w swym rodzaju... Wskazał na półki biblioteczne.

— Są na świecie duchy wzniosłe, nieskalane... Są też miliony istot, rwących się wyżej, tęskniących do czegoś lepszego od terażniejszości... Pierwsze są temi meteorami, co od czasu do czasu przelatują po szarem naszym niebie, drugie zaś — robakami, które muszą żyć w ziemi, a które depce każdy przechodzień... Ha, gwiazda a robak! Lecz powiadam panu, przyjdzie czas, gdy gwiazdy te tuż nad nami stale zajaśnieją, a robaki nędzne się uskrzydlą...

— Nie rozumiem...

— Patrz pan! są myśliciele, co od wieków nieprzerwanym łańcuchem ciągną się po niezmiernej dziedzinie piękna i dobra... Oni kierują kopaniem, zasiewem, pieleniem wielkiego ogrodu spraw ogólnie - ludzkich... Sądzisz pan, że bezowocnie? Nie — widzę już kwiaty tego owocu, wyłaniające się z pod śniegów długiej zimy...

— Mimo to wszystko co teraz jest?!

— Mimo wszystkie podłości dnia dzisiejszego... Dlatego, bo robak deptany zrobi w sobie broń

odporną... Dlatego, mówmy po prostu, bo część dolna, biedna, społeczeństwa wzmacnia się, szlachetnieje, a wyższa... ta niech żyje, niech używa, niech pielęgnuje brzuchy i kieszenie! Nie zardroszczę tym dziesięciu tysiącom. Historya na nich się zemści — ich własnymi dziećmi.

— Nie rozumiem...

— Dzieci te będą lepsze, wówczas to pogardzą swymi rodzicami; albo będą od nich gorsze, podłejsze. W pierwszym razie — zwycięży na świecie i zapanuje miłość powszechna, a w drugim... ha! czem gorzej, tem lepiej. Miliony ludu mającego pożerające tęsknoty i żądła, rozprawia się z garstką gnijących uzurpatorów...

Doktor długo tak marzył głośno. I słowa jego rozlegały się posępnie jakoś w słabo oświetlonym pokoju; w kątach ścieliły się długie cienie a książki stojące symetrycznie w półkach wydawały się Jicchokowi: mogiłami czy kolebkami?

— To nonsens! powiedział sobie na tę myśl i przeszedł do dumań nad losem swego gospodarza, który ogromny zapewne zasób wiedzy zamyka wśród czterech ścian, pustych, zimnych, smutnych... a nie ma znikąd miłości, współczucia, ręki siostrzanej...

Przy pożegnaniu wetknął doktor swemu gościowi kopertę. W sieni spostrzegł ten w niej — banknot pięcioreńskiowy.

Ręka mu zadrżała. W pierwszej chwili chciał pobiedz, zwrócić go, lecz nie śmiał pociągnąć za dzwonek; ten doktor, co sam bieduje, obrazi

się może... fantazyą spostrzegł Jicchok naraz zmorę głodu, uczuł nagle próżnię kieszeni. Robiąc sobie gorzkie wyrzuty, schował datek doktora.

XLI.

Ciemno było i wszyscy współlokatorowie pogrążeni byli we śnie kamiennym, a on leżał na tapczanie, z oczyma przymkniętymi i z rękoma skrzyżowanymi nad głową. Nie spał jednak, oddychał prędko, gwałtownie, jak człowiek ciężko pracujący lub jak chory.

Istotnie pracował ciężko. Przed kilku tygodniami widział był przed sobą gmach wspaniały i postanowił wejść weń. Obecnie dostawszy się do wnętrza, widzi za późno, iż budowla stoi na cienkim lodzie. Lód pęka, a on pogrąża się w zimnych nurtach... Już woda dosięga szyi, już fala o usta bije... on tonie — a nie widzi ratunku... znikąd... Czy doprawdy już wszystkie środki i drogi stracone?

To jasna, że nadzieje, które go do Lwowa przyprowadziły, zwiodły go i postawiły w trzęsawisku, z którego wyjście trudne. To pewne, że oddać się systematycznej, spokojnej, nauce... nie będzie mógł. Gorzej jeszcze. Rzeczywistość tak jest okropną, tak nielitościwą, iż skąpi mu kawałka suchego chleba i pługa, do którego-by się mógł zaprzędz... Jak temu niedawno! myślał, że przebojem świat przejdzie, wzbogaci, przyozdobi ducha, zajaśnieje na widnokręgu... Myślał, iż ze swego bogactwa umysłowego będzie rozdawał pomoc potrzebującym, aby i ci mogli wyjść

z nory na świat jasny, szeroki, rozejrzeć się po nim, zbratać, żyć, połączyć się wszystkimi niemi miłości patryotycznej, potem i krwią ciała, węzłami wspólnej myśli z tem, co szlachetność i mądrość ludzkości uznały za dobre i zbawienne... A teraz — gdzie te rojenia, gdzie te plany? Zaciemniają się, znikają jak ta różowa mgła, co nieraz w wieczór wisiała nad strumykiem leśnym i topniała w morzu ciemności, oblewajacem okolicę całą... Co bardziej — on sam odpędza od siebie mgły te barwne, bo zasłaniają mu oczy, nie pozwalają widzieć całego otoczenia terażniejszego... Tak! Precz z marzeniami! Trzeba trzeźwo zimno obliczyć się z surową rzeczywistością.

Więc znajduje się sam jeden w ogromnem mieście. Miał dwie znajomości, życzliwe, nieskąpiące pomocy, rady, a i te stracił. Nie będzie mógł więcej ukazać się doktorowi. Ach, jak go piecze, jak mu cięży otrzymana wieczorem piątka! Doktor wyczerpał już wszystkie siły, jakimi rozporządzał; mógłby może znowu raz utworzyć kieszeń — on biedny pracownik... Takiej zapomogi Jicchok w żaden sposób nie mógłby przyjmować. — A czemu w ogóle jest skazany na szukanie zapomogi? czemu? Widział już kawał świata, ludzi młodych i starszych, używających życia pełnemi usty, hulaszczych, swawolnych, przewrotnych. Ci rozporządzają znacznemi funduszami, nie znają co to potrzeba nie mogąca być zaspokojoną, co to powaga życia, chłosta nędzy, widmo śmierci głodowej... Ci kąpią się w brudnych rozkoszach, a inni marnieją i gniją żyw-

cem; ci są roślinami, wysysającymi soki żywej ziemi, a inni, mogący być ozdobami i pożytecznymi oraczami tej ziemi, nie mają dla siebie kącika, ni ździebełka... Czemu-to?

A jeżeli już ślepy traf urodzenia lub podstępem zdobyta siła rządzi w świecie, to dlaczego ulubieńcy jego nie korzystają z tych niezasłużonych darów w myśl prawdy i sprawiedliwości? Oni nie są wyobrazicielami tej cywilizacji, która ziści wielkie ideały ludzkości, ale dlaczego do ognisk swych nie dopuszczają przybywających wędrowców, spragnionych, zgłodniałych? Nawet na prośby o wypełnienie zwyczajnego obowiązku mają uszy zamknięte... Pocóż więc istnieją? Gdzie prawda, gdzie sprawiedliwość?

Oburzenie, żal i jakoby zazdrość kipiały w nim gwałtownie. Prędko jednak zeszedł z tego toru. Ręce skrzyżował na piersiach a szeroko rozwartymi oczyma patrzył w ciemności gęste i w okno. Nagle blada gwiazdka, płynąca na skrawku nieba zagładnęła na poddasze... Patrzył na nią Jicchok bezmyślnie, aż prędko i ona w dal uleciała.

Ha! Znowu, znowu zabłądził w lesie rozmyślań, niepotrzebnych, bo nie wiodących do celu praktycznego. On teraz musi koniecznie jakiś wynaleść, coś postanowić, bo życie nie jest sielanką wakacyjną, nie jest żartem...

Oh, pamięta ten lasek, ten żart... piękny, Tam — mniejsza o to, zapomnieć trzeba koniecznie, wyrwać sobie z serca wspomnienia te- tak słodkie, tak rozkoszne... Do czegoż dopro-

wadzą? Dawniej myślał, iż jest tylko niezgrabą, nieumiejącym się znaleźć wobec... wyrażać się należyście... Teraz widzi, że jest zerem, żebrakiem, ku któremu piękna królowna mogła na chwilę skłonić główkę i rzucić czyn jałmużny, uśmiech, użyć go do chwilowej rozrywki — na nudy wiejskie... Pocóż więc zaprzętać sobie nią głowę? Odpędzić obraz ten z przed oczu! Kiedy się nie daje... Musi być...

To zresztą przyjdzie z łatwością. Nigdy nie uda się więcej do państwa Bauerów. Acz pani sama taka dobra, uśmiecha się zawsze łagodnie i zaprasza do stołu. Cóż z tego? Pan Maurycy... Rozumiem już trochę tego człowieka. Chce używać, jest przecież lepszy od innych, a nie chce żyć gorzej... Ale tak wstrętne, tak haniebne, jak wówczas w knajpie!

Eks-pobożny talmudyssta, pełen ducha moralności starego zakonu wstrząsł się i z pogardą plunął.

Nie mógłbym mu ręki podać, choć nie jest dumny a mnie pomocny...

Cóż więc począć wobec tego!

Uporczywie tłukła mu się po głowie myśl:

Masz jeszcze gotówkę... póki siły nie osłabione, póki wszystko nie stracone, wróć do Zapiecka, wracaj... Z myślą tą bił się długo.

A cóż będzie w mieście rodzinnem? Tam wiedzą wszyscy, iż uciekł z domu, od zakonu... Tam go przeklną, wyrzekną się go, napędzą...

Mniejsza o to! Ale tam żyć nie będzie mógł. W dotychczasowym kółku, w modlitewni lub

przy bogatym jakimś stole — nie, a gdzieindziej go nie dopuszczają... toż tam sami fanatycy lub przewrotni...

Pozostać zatem we Lwowie... gdyby to się dało! Może przecież znajdzie się jakiś sposób, punkt oparcia, choćby wąski, choćby kolący...

Przed oczyma stanęły mu sylwetki sekretarza towarzystwa i przełożonego zboru. Oni radzili wziąć się do rzemiosła... Do rzemiosła zatem!

Gdy roztrząsał ostatni projekt, drzwi pomieszkowania się roztwały i postać jakaś padła ciężko na ziemię obok Jicchoka.

— To wy. Chaim? zapytał, domyślając się, że to współlokator - robotnik, wracający zawsze bardzo późno z całodziennej wędrówki.

— Aha — brzmiał głos sąsiada.

— Proszę was — rzecze Jicchok, przysunąwszy się doń bliżej. — Powiedźcie mi, jakie są tutaj warunki rzemieślnika.

— Cóż wam po temu? — oburknął go Chaim.

— Chciałbym zostać robotnikiem.

Silna dłoń sąsiada na nim spoczęła.

— Czart was opętał? ha! czyście zgłupieli...

— Eh, naczóż gadaniny, powiedzielibyście lepiej.

— Toż wy mieli zostać filozofem — roześmiał się grubo Chaim.

— No no, dajcie spokój, mnie nie na śmiech się teraz zanosi.

— Ale mnie wesoło... Spotkałem się z kilku kamratami, ha, ha, ha, i poraz pierwszy od kilku tygodni połknąłem porządną kolacją.

Z ust jego, przybliżonych do Jicchoka wionął

zapach wódki. Jiechok z odrazą się odsunął.

— Gdziebym więc mógł dostać zajęcie dobre?

— Ależ młody człowieku, dajcie spokój! Chcecie być rzemieślnikiem? Posłuchajcie, gdyby wszyscy dyabli porwali rzemiosła, nie dałbym im na drogę ani westchnienia. Jakiem miał lat dwanaście oddali mię starzy do majstra. Każdy mię szturkał, każdy targał za czuprynę; majstrowej myłem podłogę a terminatorom czyściłem buty. Przez taką praktykę musi przejść każdy, każdy, chyba że pójdziesz do wielkiego zakładu i dopłacisz... A macież takie pieniądze?

— Trochę, kilka reńskich...

— Macie kilka reńskich...? hm...

— Więc co? uderzył Jiechok nogą milczącego sąsiada.

— Potem? albo cię wyzwolą za lat dziesięć albo nie. Możesz wiecznie być „chłopcem“. Robisz szesnaście, piętnaście godzin na dobę wśród brudu i smrodu — i jesteś wołem, osłem, świnia. Bo cóż? Czy ktoś na ciebie popatrzy? Ktoś z tobą pomówi po ludzku? Uważają cię za człowieka? Gdybyś przynajmniej był u wielkiego majstra katolickiego, ale robotnik żydowski, ha, ha, ha!

— A czemuż teraz nie macie roboty!

— Ot, czy ja pierwszy, czy ostatni? Kto z nas pewny swego jutra? Majster czasem nabije sobie kabzę, ale najczęściej wszyscy gryziemy biedę. Nie umiemy dobrze robić, zabijają nas katolicy, bazary hurtowne, maszyny. Oj te przeklęte maszyny!

Jicchok niezmiernie się zdziwił.

— Cóż-to? wyrzekacie na maszyny? Przecież to najdobroczynniejsze wynalazki cywilizacji! Ułatwiają pracę, robią towar tani...

Robotnik na swem posłaniu aż się podrzucił.

— A bodajże! zaklął potężnie. — Gdyby pies zjadł wasze mądrości, toby się wściekł. Ja n. p. robiłem u majstra może dwadzieścia lat i brałem trzy reńskie na tydzień. Wiecie co to we Lwowie mieć trzy guldeny? A przecież byłem już kiedyś żonaty... *mоя* prała i prasowała i żyliśmy jakoś we dwoje...

Tu nastąpiła pauza kilkuchwilowa.

— No, stało się, umarła biedaczka. Dziw, że ja żyję... Aż tu niedawno majster spanoszony — utył z naszej krwi — zakupił maszynę.. Pokazało się. Nie potrzebuje już tylu robotników... Do czarta z tem... Wałęsam się, czy ja pierwszy lub ostatni? a roboty nie widać, nie... Chyba z głodu zdechnę, albo co...

Umilkł a Jicchok nie mógł już więcej słowa zeń wydobyć. Raz tylko towarzysz pytał: dużo macie pieniędzy?

Długo leżał Jicchok, oddany na pastwę szarpiącym go myślom. Z przerażającą plastycznością stanęła mu przed oczyma postać proletaryusza... nie mógł się zdecydować. Wiedział, iż swą godność ludzką narazi na poniewierkę, iż na zawsze zamknie przed sobą wrota oświaty i pracy wyższej. Po tylugodzinnej robocie natężającej zdołaż oddać się studjom i rozmyślaniom? A teraz już... czuł się za starym, za rozwiniętym, by rozpocząć

czyścić buty przełożonym. Cóż jednak to wszystko wobec widma głodu? Z drugiej strony, czyż warto starać się o utrzymanie ciała i równocześnie pogrążyć ducha w najbrudniejszej ciemności, w wiecznem oddaleniu od tych rozkoszy i darów, jakie daje wyższa oświata...

Sen go umorzył, zanim przyszedł do jakiejś decyzji. A ciężki był to sen.

Jiechok znajdował się w jakiejś ogromnej sali. Leżał tam w kącie, skamieniały, bezwładny. Był jak gwoździami przykuty, a dziw... gwoździe te nie sprawiały mu bólu, acz krew lała się jeszcze z ran obficie, acz ciało było poszarpane. Nie cierpiał, ach, bo już był umarłym od dawna. Spoczywał nieruchomo, a obok niego dziesiątki, setki, tysiące trupów. Każdy wyglądał inaczej. Jeden był z samych kostek zbity i pozółkłą obwleczony skórą, drugi miał mięśnie silne, dłonie żylaste, a głowę rozłupaną, trzeci — był to trup kobiecy — był wynędzniały a piersi krwią tryskające wtykał w usta niemożliwie. I trupów tych były tu stosy, gromady, zakrwawione, zdruzgotane.

Do sali weszło kilku ludzi. Na sobie mieli liberye a w sobie jaszczurki.

— Urządźmy więc salony — rzekli.

— Malowidła ścienne wyblakły — przemówił pierwszy.

Drugi zaraz naczepał ciepłej krwi sączącej się z piersi matczynej i ściany pokropił.

— Teraz dobrze — przemówił najstarszy. — Ale u okien nie ma firanek.

Trzeci wyrwał z kilku czaszek pęki długich włosów, splótł je misternie i zawiesił.

— Teraz dobrze — przemówił najstarszy. — Ale aksamitne obicie mebli już wypłowiło.

Czwarty wyszukał prędko kilka młodych, gładkich ciał panińskich, zerwał z nich skórę i obił meble.

— Teraz dobrze — przemówił najstarszy. — Ale z tronu wypadły drogie kamienie.

Piąty wyłupił kilka czarnych i niebieskich oczu i wsadził je w poręcz tronu.

— Teraz dobrze — przemówił najstarszy. — Ale u tych drzwi nie ma gwoździ.

Szósty wyłamał kość u młodego trupa, wybił mu nią wszystkie zęby i drzwi naprawił.

Czynili to wszystko w milczeniu. Tylko najstarszy rozkazywał a z ust jego wychodziły słowa wśród dymu i ognia.

— Teraz dobrze — powiada. — Skończyć!

Wszyscy rzucili się, rozmiażdżyli, rozścielili trupy po podłodze, nakryli je ogromnym dywanem. Poczem ustawili się na rogach sali.

Najstarszy roztworzył drzwi na oścież.

Dziesięć par tańczących wpadło. Panowie byli bladzi, trzęśli się jak w newralgii, a mieli ubrania z srebrnych nici utkane, chustki z papierów państwowych, miasto guzików — wysokie ordery.

Panie były delikatne, nawpół obnażone; na palcach stopy nosiły drogie pierścienie, u góry nóg — błyszczały branzolety. Na niektórych młodych wisały kartki, zaopatrzone stemplem, pie-

częcią urzędową i napisem: Jestem milion.

Najstarszy znów dał znak.

Pary te puściły się w płasy szalone. Na miękkiej podłodze, wśród zupełnej ciszy, każdy przylgnął do swej tancerki, okręcali się w uściskach i podrygach, a gdy ktoś wyczerpany zapragnął się orzeźwić, przemówił po amerykańsku lub po niemiecku do mistrza ceremonii. Ten przykładał do podłogi pompę a tancerz złapał.

Trwało to niedługo. Prędko wszyscy padli na podłogę, znużeni, bezsilni, oczy im gasły a ustami jeszcze ssali. Nagle sala zadrżała. Jedna ściana runęła wśród straszliwego łoskotu. Jak huragan wleciał jakiś czarny olbrzym stugłowy, nagi, o żelaznych członkach ciała. Za nim drugi i trzeci i setny i tysięczny. Jicchok poznał w nich rysy twarzy dobrze sobie znanych... były to oblicza Zapiecka, i chłopstwa okolicznego i robotniczych ulic Lwowa. — Dzień sądu! krzyknął mistrz ceremonii przeraźliwie.

Złapał jakąś maszynkę. Chciał wystrzelić, olbrzymy nań się rzuciły. Z kątów stugusy przyłączyły się do przybyszów. Uczujący próbowali też strzelać z armatek, co wyglądały jak tabakierki.

Olbrzymy rzuciły się z wściekłością, pazury i zęby zatopiły w ciałach pań i panów. Spletli się w śmiertelnym uścisku, chrzęst kości gruchotanych się rozległ, trysnęły krwi fale. Tuż zaraz nastąpił strzał jakiś. Wśród huku i wycia potwornego ziemia się zatrzęsła, wszyscy poszarpani w sto części legli pod gruzami i — świat cały zapadł się <http://czeluscie.piekielne>.

XLII.

Jicchok się zerwał. Potem oblany dzwonił zębami i trząsł się na całym ciele. A tu w mieszkaniu również zgiełk panował niezwyčajny. Gruba Ruchel Lea toczyła się jak kaczką po pokoju.

— To tylko on — wykrzykiwała. — Tylko ten ..

— Co się stało? pyta przestraszony.

— Co się miało stać? Z szafy skradziono koszule i szabasowe lichtarze.

Opinia powszechna wskazała Chaima, jako na sprawcę tej kradzieży. Gospodyni lamentowała i załamywała ręce.

— Ten kapcan — wołała — ten łajdaczyko! Rano budzę się, jak zwykle najpierwsza w domu, patrząc — jego już nie ma. Poszedł? myślę sobie — to poszedł, ten hołysz. Idę do szafy i poznaję, oh! bodaj mu zdrowie zrabowali, temu łotrowi!

Jicchokowi, który już całkiem przyszedł do siebie, myśl strzeliła do głowy. Przetrzęsł spodnie, które leżały pod poduszką. Omal nie z płaczem wybuchnął:

— Moje pięć złotych, moja piątka!

I węzełek jego, gdzie miał trochę bielizny i drobiazgów znikł bez śladu.

Wszyscy domownicy teraz do niego się zbiegli. Nie zważając że nie jest jeszcze kompletnie ubrany i że stoi wobec kobiet, zerwał się, rozrzucając pościel.

— Nie ma — wyjąknął. — Skradzione!

— Co? kto? gdzie? jak? krzyczała gospodyni. — I do was jeszcze trafił ten rozbójnik?

Jicchok powiedział wszystko. Trwoga nie-

zmierna ścisnęła mu serce. Był bez centa. Zarzucił na się ubiór i biegał po pokoju strapiiony.

— Co będzie? co będzie? powtarzał boleśnie.

— Boże, Boże! wtórowała mu gospodyni. —

— Że też ten hultaj tylko do mnie zaszedł. Co ja pocznę, co ja poradzę?

W tej chwili jakby zapomniała o własnej stracie.

— Bie-d-bied-ny ten Jic-chok, — wybelkotał też paralityk z niekłamanem współczuciem.

— A może — szepnął Graf po niemym namyśle — może to nie on? Może nad wieczorem pieniądze zgubiłem? Ba, ale węzełek?

Wszyscy go zakrzyczeli.

— To ten złodziej, Chaim...

I Jicchok przypomniał sobie dokładnie, iż kładąc się spać miał pieniądze. Zresztą znaleziono niebawem kopertę, w której piątka wczoraj spoczywała.

Obecnie stał w środku pokoju z załamaniem rękoma.

Gospodyni położyła szeroką swą dłoń na jego ramieniu.

— Ja także mam szkodę, wielką szkodę, ale wy co poczniecie?

— Pójdę na policją... nie daruję... z pod ziemi go wykopię!

Stara uchwyciła się za głowę.

— Aj-aj! nie róbcie tego, moi drodzy!

— Jakto? dużo mam ja piątek?

— Bo to wiecie... policja się dowie, że u mnie nocują ludzie i bieda gotowa. Was także

zapakują do aresztu, boście nie meldowani...

Jicchok uważał się za zgubionego. Bo i jakże może tak ciężko narazić gospodynię?

Ta jeszcze dodała:

— Myślicie zresztą, że on jest we Lwowie? Kto wie, gdzie się obecnie znajduje ze skradzionemi rzeczami! Nie trafią nań, a przynajmniej nie tak prędko. Bodaj go cholera trafiła!

Jicchok siedział na swem posłaniu z głową w obu rękach, opartych na kolanach. Był w rozpaczy. Stara zanim wybrała się do miasta zbliżyła się doń i życzliwie, przyjaźnie przemówiła, jakto ją jego szkoda boli... więcej niż jej własna... ale niech sobie sprawy tak bardzo do serca nie bierze... Potem mówiła rozczulona, jak się już do niego przyzwyczaiła, a nawet pokochała go. Bo on taki dobry, i... miły jakoś... a ona miała syna, jedynaka, który umarł a był tak bardzo do Jicchoka podobnym... tak bardzo...

Tu się rozrzewniła i łzę otarła z pomarszczonego oblicza. Z pewnem zakłopotaniem dokończyła:

— Jeżeli pan Graf sobie życzy... niech tu dalej przychodzi na nocleg... a może także na obiad... jam nie taka zła... choć mówię czasem za głośno... a przytem mąż was tak kocha... Potem, jak nastaną lepsze czasy, zapłacicie już wszystko cdrazu... Toż na świecie da sobie radę taki człowiek dobry i rozumny, jak pan Graf.

I Jicchok był wzruszony radośnie — ale i na myśl mu nie przyszło korzystać z dobroci biedaczki. Czuł się nią upokorzony, przygnębiony.

XLIII.

Całe południe przeszło mu na wędrowkach od jednego warsztatu do drugiego. Gospodyni prowadziła go do znajomych rzemieślników, wskazywała nieznanym, a on wszystkim się kłaniał i prosił o przyjęcie.

— Nie — odpowiadano po dłuższych lub krótszych korowodach. Gdzieniedzie pytano go, czy ukończył cztery klasy gimnazjalne lub realne, tu znowu zauważano, iż jest za stary i nie będzie zapewne elastycznym w usługach i cierpliwym w odbieraniu cięgów „chłopcem,” tam wyśmiewano go, wskazując na białe delikatne ręce i bezsilność ciała. W ogóle okazało się, iż wszyscy rzemieślnicy mają dość robotników, praktykantów zaś przyjmują tylko za dopłatą w porządniejszych warsztatach, a w nieporządnym Jicchoka uderzał taki ścis i brud, iż ze wstrętem wychodził, nie chcąc być kopaczem na gnojowisku. I tu zresztą nie chciano go przyjąć...

W południe leżał na swem posłaniu niedługo i zasnął. Był bardzo osłabiony — z powodu całodziennego postu. Potem obliczał, czy ze swej garderoby nie może czegoś sprzedać, ale tego co miał na sobie, nie mógł się pozbyć.

Wyszedł na miasto. Natrafił właśnie na okazały pogrzeb żydowski. Gdy nieboszczyka wynoszono z domu, stanął na ganku miejscowy kapłan boży i w szumnych, patetycznych słowach, naszpikowanych cytatami z biblii i Schillera, uczcił pamięć zmarłego, wielbiąc jego cnoty i zasługi, uważając go za świecznik Izraela, za godnego

potomka wielkiej rodziny i za wzór dla potomności... Przed domem stały liczne masy, deputacye, wieńce, karawan z pysznemi końmi. Wielu z obecnych płakało przy mowie kapłana, wielu się śmiało.

— Kim był nieboszczyk? zapytał Jicchok jednego z ostatnich.

— Bogaty lichwiarz — brzmiała odpowiedź.

Blady młodzieniec wydał usta.

— Wieczne kłamstwo, wieczna komedia! szepnął pogardliwie.

Powoli przechadzał się po głównych ulicach, bez planu, bez celu.

Na rogu jednej ulicy ktoś go poufale uderzył po ramieniu.

— Serwus, kamrat!

Był to współlokator, czyściciel butów, czarny, obrosły, skrobiący komuś trzewik.

Jicchok się wzdrygnął.

— Znalazły się pieniądze? zapytał „kamrat“, ujmując go za guzik surduta.

— Nie.

— Cóż robicie?

— Nic.

— Wiecie co, przystańcie do mnie!

W wesołym uśmiechu wyszczerzył białe zęby z ust zacernionych. Kilku towarzyszy otoczyło Jicchoka wśród drwin i konceptów rubasznych.

— Ha, nie łaska? wy filozof?

Jicchok szybko się oddalił.

— Więc tak nisko stoje! szepnął boleśnie. Pokręcił głową, jakby odpędzając myśl natrętą.

— I cóż? czyż nie ma on słuszności? czyż nie pracuje uczciwie na kawał chleba? Czemuż się wzdrygam? A jednak nie mógł przyzwyciężyć odrazy do tego zajęcia. Uważał się za coś lepszego. — Ależ żadna uczciwa praca nie poniża! perswadował sobie z przekonaniem. — Prawda! przyznał i wrócił na róg ulicy, lecz gdy spostrzegł obdartusa, biegającego za przechodniami, glansującego buty wśród zgietku ulicznego, musiał odeń się odwrócić ze wstrętem. Nie miał siły przystać doń, acz głód dokuczał już mocno. — Podlec jestem! oburzył się na siebie. — Do żebraniny byłem gotów, a do roboty nie. Pragnął wyciąć sobie policzek, rwał się w stronę „kamrata“, lecz coś go odpychało powtarzając uparcie. — Nie, nie, nie... nie dla ciebie los taki! — Nie jestem: wart lepszego! krzyknął z pogardą i pospiesznie udał się w inną dzielnicę miasta. Stał przed wspaniałym gmachem, przyozdobionym kopułą i portyerem w liberyi.

— To *tempel* izraelski.

Przed świątynię zajechało właśnie kilkanaście powozów, z których wysiadały eleganckie panie i wyfraczeni panowie, z urzędowemi bukietami i uśmiechami. Gawieź uliczna cisnęła się ciekawie i od niej Jicchok się dowiedział, iż tu odbywa się wielkopańskie wesele. Wtem zaszło w orszaku coś nadzwyczajnego. Powstał tumult, popłoch; rozległy się krzyki przerażenia i zamieszania.

— Doktora, doktora!

Gawieź gapiowata podniosła śmiech huczny.

— Panna młoda, panna młoda zemdląta — obiegała wiadomość z ust do ust podawana ze złośliwemi spojrzzeniami i rzadkiemi oznakami współczucia.

Istotnie, oblubienica, w drogocennej sukni białej i w wianku mitrowym padła bez zmysłów na progu świątyni.

Pan młody, szpakowaty, wyłysiały szmajgeles, na którym wycięcie fraku uwydatniało potężne kształty okrągłego brzuszka, biegał jak opętany, wołając: *Ratujcie, aj waj mir...*

Matka panny młodej, matrona o bardzo czci-godnem obliczu, trzymała córkę w objęciach i lamentowała:

— Taki wstyd... A samaś przecie już się zgo-dziła...

— *Tableau!* Nie udał się babie handel! wymó-wił pan jakiś do swej damy w pobliżu Jicchoka.

Ów wzruszył ramionami:

— Dyabła tam...

Było już dość późno. Acz w życiu niezliczone razy już pościł, nigdy tyle co dziś nie cierpiał. Chodził z głową spuszczoną, bardzo powoli. Zda-leka można go było wziąć, — ot za handelesa, po-grążonego pewnie w spekulacyach. Wzrok jego gasł, nogi nabrały ciężaru ołowiu. I na krótko przestał nawet czuć i myśleć, bezwładność jakaś przejęła go, znękany organizm popadł w senność a Jicchok jak lunatyk, szedł automatycznie...

Nagle prąd jakiś płomienisty przeszedł go po całym ciele.

— Muszę ją zobaczyć!

Panny Lusi nie widział od dni kilku, od chwili gdy sobie powiedział, iż nie może żadnych mieć nadziei ni pretensyj. Jednak obrazu jej odpedzić z przed oczu nie mógł. Więc aby go usunąć, by całkiem pamięć o niej zgasić, powtarzał wielokrotnie, nieraz całemi kwadransami:

— Nie będę o niej myślał, nie będę...

I gdy usta to wymawiały, wyobraźnia rozkoszowała się i krwawiła widokiem lazurowych oczu i włosów złocistych, cudownych; śmiechem jej, jak odgłos srebra padającego na marmur, dźwięcznym, czystym, przejmującym na wskroś.

— A przedmiotem tego śmiechu, nie, pośmiewiska, byłem ja — wspominał znowu, aby się ochłodzić. — Toż tutaj jest ona bogatą, dystygowaną panienką wielkiego świata...

— Prawda — i równocześnie wstrząśł nim dreszcz zachwytu. Przeniósł się myślą w owe błogie chwile spędzone przy niej w Zapiecku, uczuwał uścisk jej ręki. Ach, gdyby jeden taki moment wrócił, pół życia by oddał chętnie.

Fantazyja rozkołysała się w nim nagle jak dzwon olbrzymi, budząc echa w całym organizmie, aż pchnięty siłą potężną, której w żaden sposób oprzeć się nie mógł, stanął Jicchok przy pomieszkaniu Bauerów. — Na ganku, wiodącym do kuchni, powiedział sobie półgłosem.

— Muszę pomówić z panem Maurycem... Wszak on dla mnie taki dobry... A że ma swoje wady — nie moją rzeczą go poprawiać... Teraz, gdy głód już me wnętrzości targa, nie czas być dumnym i świątobliwym.

W kuchni stanął na chwilę struchlały, szyję wyciągnął naprzód i nadśluuchiwał.

Doszło go ciche, przytłumione łkanie. Ach, toż z jej piersi ono wypływa... I głos urywany, płaczem nabrzmiały, powtarzał:

— Mama zawsze taka... Czemu nie mogę pójść na ten wieczorek... czemu... czemu... ja nieszczęśliwa!

Oh, jak dobrze znał Jicchok głos ten.

Otworzył drzwi i oto co dostrzegł.

Panna Lusia siedziała, trzymając główkę w obu dłoniach, opartych na stole. Piersi jej szybko falowały, oczy ocierała, i zawodziła żałościwie...

— Nieznośna jesteś! zabrzmiał z drugiego pokoju głos matki. — Mówiłam ci już...

Panienka usłyszawszy, iż ktoś wchodzi, zerwała się by uciec. Ale Jicchok, którego serce gorzało, stanął przed nią prędko.

— Pani! rzecze przytłumionym głosem. — Co pani jest? Czy pani... czegoś potrzeba?

Lusia stanęła wyprostowana, z twarzą zaczerwienioną, z oczyma pełnymi łez jeszcze.

Jicchok wpatrzył się w nią z zachwytem.

— Pani — powiada głosem elegijnym — pani może tego nie wie, co się ze mną dzieje... Ale od czasu, gdym panią poznał, inny ze mnie człowiek... Muszę zawsze myśleć o pani, i to mię tak boli i taką sprawia przyjemność... Ale jakby mię nożem krajano, tak mi było, gdym usłyszał... płacz pani. Powiedz pani... może trzeba... jabym nie nie żałował... jabym życie dał... jabym...

Tu tehu muh... Na policzki wy-

pływały ogniste rumieńce, oczy błysnęły jako skrzące się czarne dyamenty.

Lusia przy pierwszych jego słowach stanęła jak wryta. Potem zmierzyła go od stóp do głowy i nagle parsknęła ogromnym, niepowstrzymanym, perlistym śmiechem.

— Ha, ha, ha, ha! dzwoniło po pokoju hucznie, jak z piersi zdrowego, trzpiotowatego dziecka, i znikła w pokoju sąsiednim...

Jicchok skamieniał.

— Niegodziwa! wymówił powoli, jak z ciężkiego snu zbudzony. — Naigrawa się...

Wtem rzucił się ku stołowi. Spozrzegł na nim chusteczkę łzami nasiąkłą. Uchwycił ją i namiętnie do ust przycisnął.

W tej samej chwili stanęła przed nim pani Bauer.

— Przykro mi to bardzo, panie Graf, ale od dzisiaj nie możesz pan u nas dłużej bywać.

Wyrzekła to łagodnie, a zwyczajna dobroć i przyjazny uśmiech nie opuściły jej twarzy.

— Pani... wymówił Jicchok osłupiały — pani... mię wypędza...

— Nie gniewaj się pan, ale, doprawdy, tylko dobra pańskiego pragnę... Wierz mi pan... że tylko wzgląd na dobro pańskie mną kieruje.

— I serdecznie, szczerze życzę panu szczęścia — dodała, wyciągając ku niemu rękę.

Jicchok uczuł w swojej dłoni banknot. Położył go na stole i złamanym głosem wyrzekł:

— Dziękuję... za wszystko.

Pani Bauer zadumana patrzyła za odchodzą-

cym młodzieńcem, a zwyczajny uśmiech przyjazny nie opuścił jej twarzy.

XLIV.

Niewymowna męka go targała. Teraz dopiero uczuł strach przed przepaścią, w którą lesiał, i zgrozę — beznadziejności.

Chwiejący się, blady, z oczyma błyskającymi dziko przepychał się przez tłumy, zalegające chodniki. Twarz drgała mu od chwili do chwili nerwowo, a czoło przerzynała poprzeczna zmarszczka.

Przechodnie potrącali go, popychali wśród rozmów gwarnych, a on nie czuł, nie słyszał, wpatrzony we wnętrze zakrwawionej swej duszy.

Płomyki gazowe, jak wielkie iskry drżały w szarym zmroku; wietrzyk dżdżysty smagał mu i pokrapiał oblicze rozpalone.

— Czyżby już wszystko, wszystko się miało skończyć? pytał. — I nie ma dla mnie ratunku?

Jakby w rozmowie z kimś drugim roześmiał się gorzko.

— Czegóż-bo chciałem? Od czasu do czasu na nią popatrzeć, posłuchać słów kilka... a gdy bardzo ciężko na sercu, byłbym się dotknął jej dłoni i poprosił o dobre słowo... To tak wiele, że aż na śmiech, aż na wypędzenie zasługuje! Prawda... Bo i czem-żeż ja?..

Znajdował się na skrócie ulicy. Fala tłoczących się wzajemnie ludzi oblała go ze wszech stron i ścisnęła. Jicchok nieco oprzytomniał.

— Ja... — tu myśli jego innym poszły torem

— ja... głodny i sam jeden w takim tłumie... opuszczony, nieznan...

Zwierzę w nim się obudziło. — Jeść, jeść! wołało.

Z najbliższej kamienicy oblał go strumień wesołego światła. Obejrzał się, w wystawie stały stopy cukrów o misternych formach, stały piramidy ciastek, pieczywa delikatnego. Przez wielkie szyby wyglądały twarze, zapychające się, zalewające słodyczami. Wraz z kilku ulicznikami Jicchok się na to zagapił.

— Kawałka, kawałeczka chleba... błagał w myśli. Prędko oddalił się od błyszczącej cukierni.

Wiatr zabuczał silniejszy, przejmujące zimno zapanowało.

Ze spuszczoną głową chodził Jicchok powoli.

— A możeby wrócić do gospodyni...

Kurcze ranionej tą myślą dumy objęły go.

— Tak serdecznie prosiła... pocziwa — dodał.

— A ty przyjmiesz od tych nędzarzy jałmużnę! zawołał do siebie.

Ruch ulicy uniósł go przed gmach okazały, skąd się właśnie wylała masa strojnych ludzi, śmiejących się głośno, wesoło powtarzających dowcipy i wygwizdujących arye z usłyszanej dopiero co operetki.

On zmierzył ich ze zdziwieniem.

— Jak można tak się cieszyć...

— Ci ludzie używają życia, radują się życiem — powiedział sobie — Ci, a my...

Przez „my“ rozumiał te niezliczone szeregi maluczkich i wydziedziczonych, wśród których

wyrósł, które poznał niedawno.

Na ulicach sklepy zamykano, niebawem i w kamienicach wszystkich zatrzaskano bramy. Miasto pustoszało. Jicchok niecierpliwie wielkimi puścił się krokami.

— Et — mruknał — co mi tam! dyabelnie głodny jestem...

Stanął przed swem pomieszkaniem i podniósł rękę do dzwonka. Przypomniawszy sobie jednak stróża, który zawsze pykał dymiącą fajeczkę i kłał co niemiara, jeśli mu nie dawano kilku centów; przypomniał sobie gospodynię, u której kilka centów było majątkiem, u której ubytek kilku centów stanowił bolesny deficyt — na niekorzyść nieszczęśliwego kaleki, córki nieszczęśliwej...

— A co będzie, gdy się teraz nasycę? dodał. — Co jutro? pojutrze? Tuczyc się jej krwawym potem?... — Nie. Trzeba dzisiaj wychylić do dna kielich, który jutro będzie nieuniknionym.

Drobnym posunął się krokiem, bezmyślnie przygryzając wargi. Wiatr poświstywał, a niebo ciemniało zupełnie.

Naprzeciwko długim rzędem stojące drzewa szumiały leniwie, monotonnie, a cienie ich, łącząc się z cieniami rzadkich przechodniów i dorożek, wyglądały jak hydry stugłowe, jak fantastyczne smoki, jak szubienice ruchome, krzyżujące się, potworne. Jicchok oparł się o bramę jakąś, przyzymkając oczy.

— Teraz... teraz musi spoczywać na wygodnym łożu... rozkosznie, błogo, cudnie piękna... Ach, co za szczęście być obok niej, nasycić się

tym czarem, dziwować się tym cudom...

Stał tak długo. W pamięci przesnuły mu się chwile wakacyjne, gdy codzień z nią obcował tak blisko, tak rajsco przyjemnie... gdy latał w niebiosa na skrzydłach myśli szczytnych, idei wielkich... I wszystko to na wieki stracone!

Niepowstrzymane łkanie rozdzierało mu piersi, wstrząsało całym ciałem.

— Czemu, czemu ja taki nieszczęśliwy! Do-
bywając z siebie resztę sił, pospieszył naprzód.

— Doprawdy — zaczął spokojnie medytować — bardzo byłem nierozsądny, bardzo głupi. Jak-
żeż mogłem przez chwilę mieć w nią wiarę... Jakżeż mogłem się spodziewać, że Lwów będzie dla niezdarnego, niedorzecznego *buchera* mieć jakieś szczególne względy... Ten pan Ludwik... zły on, czy niemądry? I zaraz wybuchnął:

— Bodajbym nigdy nie był się wyrwał z tego bagna, w którym inni grzęzną po uszy... bodajbym nigdy nie był stanął w rwącej tej kipiącej rzece... Muszę więc tonąć... tonąć — bez ratunku... muszę ginać...

Drżał, jak we febrze, a twarz to mu bladła, to płomieniała.

— Te katusze, te chłosty, te żrące jady — zaco? czy za to, żem pragnął całą duszą prawdy? żem chciał też kilka owoców uszczknąć z drzewa wiedzy i mądrości. rosnącego w wielkim ogrodzie, cywilizacją zwanym... To taki grzech? to tak srogie przewinienie? A gdybym był pozostał w tamtej dziurze, podlizywał się bogatym, oszukiwał żonę, oszaczbrowywał pobożnością głu-

piech żydów, lub wysysał chłopów, byłbym opływał w dostatki, miał honory, majątek... A tak, zem tego wszystkiego nie chciałem, muszę ginąć? Więc w tem ma klątwa!

I gdzież prawda? gdzie sprawiedliwość?

Chwiał się na nogach, a w głowie myśli zaczęły mu się mieszać i dziwnie plątać. — Prawda? sprawiedliwość? Twarz mu się wykrzywiła.

— Szukać ich tam, gdzie cywilizacya. Alboż ten cały kram istnieje? Widziałem przecież. Złoto, nauka, zaszczyty, przyjemności idą do tych co lisie mają rozumy, a jaszczurcze serca... ja głupi byłem... Zowią to cywilizacyą. Ha, ha! wieczna komedya, wieczne kłamstwo.

I aby być świadkiem tego, cierpieć boleć, warto żyć? A niechby się zap: zepaściła taka ludzkość i taka cywilizacya, wśród której nie masz miłości i prawdy!

Musiał znowu oprzeć się o mur. Wyciągnął omdlałe członki i przetarł oczy. Zegar głucho bił godzinę północną, a uderzenia padały ciężko, sprawiając młodzieńcowi szum nieznośny w uszach. Życie mu się stało okrutnym ciężarem, obrzydłem. Bez westchnienia, bez łzy zrzuciłby go z siebie.

Tymczasem noc wrześnieowa zawiąła zimnym, siekącym deszczem. Jicchok dzwonił zębami i z trudnością dostał się między drzewa, „wałów“. Padł na ławeczkę. Deszcz go tutaj nie dochodził.

— Poco żyć? naco? dla pracy? Ależ ją odrzucają. Dla braci? może istotnie lepiej nie odbierać im tego, co za dobre uważają, jeżeli nie mam, co im dać w zamian. Ale prawda... oni nie mają słuszności; są w błędzie — powiadasz pan, panie Ludwiku... Alboż cywilizacya jest prawdą? Alboż dzieci jej są sprawiedliwe? Mają-ż krztę miłości dla bliźnich? Tak... lecz pierwsi głupi, a drudzy przewrotnie mądrzy... Dobrze

doktor mówił... należy pracować dla jutra... dla ludzkości...

Nie mógł się oprzeć głośnemu, dzikiemu śmiechowi.

— Ludzkość? ludzkość? a cóż ona mię obchodzi? Czy ona daje mi kawał chleba, kiedy głód mię targa i trawi? Czy da mi ona ciepłą odzież, gdy mróz i deszcz mię na wskroś przejmują? Da ona mi odpowiedź na te wszystkie pytania, co mnie prześladowają i teraz... gdy już toczony przez żerców krwawych... Ludzkość... ludzkość. — Ludzkość nie daje mi możności życia, bo pragnąłem, bo chciałem zachować to, co uznawałem za uczciwe, i pragnąłem tego, com osądził za dobre. — Ludzkość obdarza hojnie tych, co żyją bez myśli i zasługi, lub takich, co niegodziwi są i wiecznem żyją kłamstwem, wieczną drapieźnością... Nie masz prawdy!

Przed bledniejącą, zmaconą, udręczoną fantazyą stanęli mu nagle wnuk brodzkiego i szadchen. Wzdrygnął się. Wzruszył ramionami, jakby dawał odmowną odpowiedź na jakowąś propozycyą.

— Wieczna podłota.

Wyciągnął się na drewnianej ławeczce. Drzewa nad nim posępnie szumiały i krople deszczu spadały mu z liści na włosy, na twarz płonąca, przemaczały odzież.

— A niechby tam! mruknął. — Cóż?...

A za chwilę krzyknął z gniewem i trwogą, niby na najzaciętszego swego wroga.

— Ach, po co, umiem ja myśleć po co!?

Oddychał z trudnością i co chwila przewracał się z boku na bok, ale podźwignąć się sił nie miał. Twarde drzewo gniotło mu członki, głód szarpał wnętrzości jak obcęgi, mgłę rzucał na umysł mętniejący. Jicchok zapadał w odrętwienie, a ustami ruszał jeszcze:

— Gdzież prawda? gdzie?

Myśl jego nagle się cofnęła. Jak senne widziadła przesunęły się obrazy czarne, szare, smutne. Znalazł się w ciasnej, dusznej izdebce, poszturkiwany przez rodzeństwo, karmiony niedogryzkami. Widział się w ciemnym chajderze, słyszał poświst kańczuka, wrzawę budzących się myśli... Wargi z wolna mu drżały i półgłosem, niewyraźnie, jak przez sen, jął mówić:

— Nigdy... nigdy nie byłem dzieckiem... Nie znałem jasności ni uciechy niezmaconej... Nie wiem, co to swoboda, co śmiech i swawola młodzieńcza, co uścisk i pieśczoła... W wiecznym bólu, w bezustannem pasowaniu się — z niedostatkiem, z wrogiem, z burzliwym rozumem... z zaporami jeżącymi się... dni mi spływały... Piołunami karmiony -- żółć piłem... z octem... I gdzież ma wiosna? gdzie? Widziałem ją! ach widziałem... zbliża... lecz uleciała... obsypując mię węglami rozżarzonemi, które tak pieką... ach, tak palą... bez miłosierdzia! Widziałem jeszcze... nad sobą wysoko... i inne niebo... widzę je... tu... cudowne... zasiane gwiazdami jasnymi... uśmiechniętymi, czarodziejskimi... ach!

Podźwignął się na ławeczce i szeroko otworzył oczy, aby uchwycić obraz w dogorywającej fantazyi wysnuty. Ujrzał nad sobą ogromną, czarną, nieprzeniknioną płachtę. Czy to niebo? Spadały z niej krople ciężkie... brudne... piekące... To deszcz dobroczynny? Liście wiały, szeleszczały przeciągle i ponuro... To drzew głosy? Jicchok ruchem konwulsyjnym rozpaczy rozłożył ręce i wciągnął powietrze jakby leki ożywcze... Nie, to nie leki, nie chleb!

Z głuchym jękiem padł młodzieniec na ławeczkę ogrodową.

XLV.

Nad ranem stało obok niego kilku przechodniów i policyant trząsał nim silnie.

— Hej, wstawać!

— Pijany czy chory? szeptali ludziska.

Nawpół nieprzytomnego, przemokłego, dzwoniącego zębami stróż bezpieczeństwa zaprowadził na inspekcją policyjną.

Jicchok odpowiadał, jak przez sen; ani jednego żywszego ruchu nie uczynił. Siedział skulony, apatycznie, drżąc chwilami w ciepłej izbie jak podczas zimy srogiej.

Urzędujący komisarz krótko zadecydował:

— Na podstawie ustawy o włóczęgostwie... szupasem ma być odstawiony na miejsce przynależności. Teraz do więzienia z nim!

Wypełniając nową pozycję w księdze urzędowej, mruzczał jeszcze:

— Skaranie boskie... Że też z całego świata tałałajstwo do Lwowa się garnie... Alboż nie dosyć mamy swoich włóczęgów? I ten żyd... Hm... toż żydzi słyną z solidarności i filantropii...! Dziwna...

Policyant ujął skazanego za ramię, a ten, jak masa bezwładna usunął się na ziemię.

— Ależ panie komisarzu — rzecze policyant.

— On wygląda jak chory... Tyfus ma, czy dyabeł wie, co?

— Tak? i pan o trzech gwiazdkach na kołnierzu aksamitnym rzucił okiem na sofę przez poręcz swego fotelu.

— Tak? Co robić! Zawieść go do szpitala.

INSTITUT

BADAŃ LITERACKICH PAN W Zbarażu, 18. sierpnia 1888.

BIBLIOTEKA

Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

KONIEC.



2

F

21.934